PAPIEŻ KONTRA PAPIEŻ

Jak Franciszek usiłuje udawać kontynuatora Benedykta XVI

TYGODNIK LISICKIEGO

DO ZECZY

NR 19/577 6–12 MAJA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha ostro o ekoterrorystach z Ostatniego Pokolenia

I Z CZEGO SIĘ ŚMIEJECIE? HISTORIA BŁAZNÓW NA DWORACH WŁADCÓW

Afera po wycieku e-maili lekarzy zajmujących się osobami transpłciowymi

Groteskowe imperium Sikorskiego

SZEF MSZ PROWADZI DYPLOMACJĘ PAŃSTWA POLSKIEGO JAK SWOJE KONTO W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 19 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 0ffd589c24

ALIOR BANK

wypłata dywidendy

PO RAZ PIERWSZY PODZIELIMY SIĘ ZYSKAMI Z AKCJONARIUSZAMI

Bank dobrych wiadomości:

- rekordowe wyniki za 2023 r.,
- wzrost kursu akcji o 152,7% w okresie 1.04.2023 – 31.03.2024,
- najwyższy rating S&P w historii Alior Banku,
- w 2024 r. wypłacamy dywidendę.

Dziękujemy Wam za zaufanie.

eprasa.pl 0ffd589c24

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Polska pomoże?

Niedawna deklaracja obecnego wicepremiera i zarazem szefa MON, Władysława Kosiniaka-Kamysza, który ogłosił, że Polska jest gotowa pomóc stronie ukraińskiej w tym, żeby „ci, którzy są objęci obowiązkiem służby wojskowej, udali się na Ukrainę", nie wywołała wstrząsu. Ba, wręcz można powiedzieć, że przeszła bez echa. Jest to z kilku powodów szokujące.

Przede wszystkim nikt nie zapytał, w jaki konkretnie sposób ta „pomoc" będzie wyglądała. Szef PSL mówił: „To jest obowiązek każdego obywatela w danym państwie […], obywatele Ukrainy mają obowiązki wobec państwa". I dodawał: „My już dawno sugerowaliśmy, że jesteśmy w stanie pomóc stronie ukraińskiej w tym, żeby ci, którzy są objęci obowiązkiem służby wojskowej, udali się na Ukrainę". Nie wykluczył też, że Polska miałaby zorganizować transport tych obywateli, których prawo do pobytu w Polsce nie zostanie przedłużone. „Wszystko jest możliwe" – podsumował Kosiniak-Kamysz.

Dziwne. Czy to oznacza, że polskie służby będą wyłapywały Ukraińców, których dokumenty straciły ważność wskutek decyzji władz Kijowa, a następnie będą ich deportowały na Ukrainę, skąd trafią prosto na front? Biorąc pod uwagę obecny nastrój Ukraińców w Polsce, których głosy przytaczają różne media, nic nie wskazuje na dobrowolny wyjazd do własnego kraju. Najzwyczajniej w świecie Ukraińcy, a przynajmniej wielu z nich, boją się śmierci, nie wierzą w powodzenie walki i będą robić wszystko, co w ich mocy, żeby na front nie trafić. Pojawia się zatem problem moralny: czy Polska, która początkowo przyjęła z otwartymi ramionami masy uciekinierów (wspaniała decyzja rządu PiS), ma teraz moralne prawo wymuszać na nich powrót na front (wspaniała decyzja rządu PO)?

Zastanawiam się też, jak w praktyce miałoby to wyglądać. Ludzie, którzy boją się śmierci, są zdeterminowani i zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby nie dać się złapać. Ile sił należałoby użyć? Jak zwalczać zjawisko, które z pewnością będzie miało masowy charakter, a więc zejścia Ukraińców do swego rodzaju podziemia? Jeszcze przed lutym 2022 r. przebywało ich w Polsce na stałe znacznie powyżej miliona, co oznacza, że ogromna większość potencjalnie ukrywających się będzie miała zapewnione wsparcie rodziny i bliskich. Już teraz nastroje społeczne w stosunku do Ukraińców są niechętne; można być pewnym, że rozpoczęta przez władze „łapanka" młodych mężczyzn tylko sprawę pogorszy.

Zakładając jednak, że taka operacja przymusowego wydalenia dziesiątek tysięcy, a może setek tysięcy młodych Ukraińców na front się polskim władzom powiedzie, pojawi się dodatkowy problem. A co w sytuacji, w której mimo tego dostarczenia armii kijowskiej świeżego narybku cała operacja zakończy się niepowodzeniem i Ukrainie nie uda się zrealizować zakładanych celów militarnych? Do kogo wówczas największe pretensje będą mieć Ukraińcy wysłani przymusowo z Polski na front?

Inaczej mówiąc: czy taka decyzja nie oznacza w szybkiej perspektywie zrodzenia się wrogości i nienawiści wobec Polski za to, że najpierw otworzyła przed Ukraińcami swoje granice, a następnie wysłała ich na śmierć? Jeśli Kosiniak-Kamysz zrobi to, co sugeruje, że zrobi, i jeśli Ukraina nie pobije Rosji, to polski rząd kreuje dla nas dramatyczne zagrożenie, którego konsekwencje mogą się okazać wręcz niewyobrażalne. Roztropność podpowiada zatem: Polska może wspierać powrót Ukraińców na front, ale bez używania przymusu.

Przykro to powiedzieć, ale ze zdziwieniem zauważyłem także, że milczą ci polscy politycy, eksperci i publicyści, którzy do tej pory najgoręcej zachęcali Ukraińców do wojny. Od miesięcy wzywali ich do walki o każdą piędź ziemi i potępiali wszelkie potencjalne negocjacje, które pociągałyby za sobą utratę terytoriów, czy to Krymu czy części Donbasu. Teraz nabrali wody w usta. Nie mówią nic ani ci, którzy twierdzili, że Ukraińcy walczą za Polskę i za Zachód w imieniu naszych wspólnych wartości, ani ci, którzy deklarowali, iż „jest to nasza wojna". Teraz powinien być ich czas. Teraz, w obliczu oporu Ukraińców do wyjazdu na front, powinni się odezwać. Widząc tak wielką niechęć poborowych do powrotu do ojczyzny i do udziału w walkach, to właśnie polscy zwolennicy tezy „o naszej wojnie" powinni być pierwszymi, którzy sami z siebie wyręczą niechętnych obywateli Ukrainy. Solidarność na tym polega, czyż nie? Tym bardziej że mogliby liczyć na nową amerykańską pomoc wojskową i finansową, która – jak sami twierdzą – przechyli szalę i pozwoli pokonać Moskwę. Skoro sami wierzą w to, co mówią, powinni, zamiast zasłaniać się innymi, dać świadectwo prawdzie i ruszyć ochoczo do walki. Biorąc pod uwagę zapał, który okazywali przez ostatnie miesiące, byliby znacznie lepszymi żołnierzami niż rozgoryczeni i przestraszeni ukraińscy poborowi. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

TEMAT TYGODNIA

14 JAN FIEDORCZUK
WIZJONER CZY TROLL
Polityka zagraniczna wymaga powagi

KRAJ

18 PIOTR SEMKA
LEWICA NA UBOGO
Cień dawnej wielkości

21 ŁUKASZ WARZECHA
CHULIGAŃSKIE POKOLENIE

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
FRUSTRA MEDIALNA

26 ROZMOWA Z PATRYKIEM MARJANEM
TRZEBA MYŚLEĆ, CO PO WĘGLU

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
LEWICOWA DESTRUKCJA ŚLĄSKA

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
SKAZANI NA SAMOCHODY

32 ZUZANNA DĄBROWSKA
ŚLUB PO NOWEMU

KULTURA

34 PIOTR SEMKA
ROZSTRZELANA AWANGARDA
Wystawa w Wiedniu

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
UCZULONY NA RZECZYWISTOŚĆ

40 PIOTR GOCIEK
AMERYKANIN W PARYŻU

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

48 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
STREFA ŚLEPYCH MORALISTÓW
Koniunkturalizm i tchórzostwo elit

50 JAN PARYS
MAŁY ATOM, DUŻA SPRAWA

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
„KONTRREWOLUCJA" KONTROLOWANA

56 MARIUSZ JAGÓRA
TRANSSKANDAL

HISTORIA

60 ŁUKASZ CZARNECKI
I Z CZEGO SIĘ ŚMIEJECIE?
Zabawne karły i władze

64 ROZMOWA Z WACŁAWEM HOLEWIŃSKIM
SZPIEGOWSKIE QUI PRO QUO

ŚWIAT

66 WITOLD REPETOWICZ
CZEGO PRAGNĄ IRAŃCZYCY?
Izrael nie jest zagrożony

70 MACIEJ PIECZYŃSKI
TURYSTYKA W CIENIU WOJNY

EKONOMIA

72 JAKUB WOZINSKI
KŁOPOTLIWIE WYSOKI CYFROWY ŚLAD WĘGLOWY
Wirtualna zabawa w klimatyzm

FELIETONY:
SEMKA (5), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (69), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 0ffd589c24

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kroplówka dla Ślązakowców

PIOTR SEMKA

W dyskusji o głosowaniu w Sejmie w sprawie godki śląskiej mówiono o wszystkim, tylko nie o najważniejszym. Przepis Ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych oraz o języku regionalnym stanowi, że „organy władzy publicznej są obowiązane podejmować odpowiednie środki w celu wspierania działalności zmierzającej do zachowania i rozwoju języka (śląskiego)". Środki te przekazywane mogą być z budżetu jednostek samorządu terytorialnego organizacjom lub instytucjom realizującym zadania służące zachowaniu i rozwojowi języka śląskiego. Nie ma wątpliwości, że Ruch Autonomii Śląska, Rada Języka Śląskiego czy Ślonsko Ferajna zaczną występować o dotacje. A nowi ministrowie i marszałkowie sejmików województwa śląskiego i opolskiego z PO chętnie sypną groszem.

Pojawi się idea stworzenia studiów dla nauczycieli, którzy prowadziliby zajęcia z tego kreowanego na siłę języka. Potem postulat napisania podręcznika o wiedzy o regionie. Dalej zadanie ochrony języka śląskiego będzie podstawą do wniosków o dotacje dla instytucji kulturalnych mniejszości śląskiej. Autonomiści zadbają, by pieniądze trafiały do ludzi z ich kręgu. Na przykład do dziennikarzy przygotowujących audycje w godce śląskiej i o historii regionu w lokalnych redakcjach mediów publicznych. Znając dotychczasowe publikacje ślązakowców, można przewidzieć, że będzie to opowieść odrębności dziejów Śląska od historii Polski.

Prawnik Bartosz Lewandowski przypomniał, że środki na język śląski mogą być przekazywane przez szefa MSWiA z budżetu państwa bez konkursu. „W sprawie uznania śląskiego za język regionalny chodzi nie tylko o symboliczne podkreślenie odrębności mieszkańców tej części Polski, lecz także o ogromne pieniądze, które będą płynąć do organizacji podkreślających odrębność Ślązaków i żądających autonomii Śląska" – ostrzega Lewandowski.

Ustawa przyjęta przez koalicję oznacza ogromną finansową kroplówkę dla ruchu ślązakowskiego. Niedawno działacze RAŚ przegrali przy urnie wyborczej, ale wygrali głosami „koalicji 13 grudnia" w Sejmie. Jeśli kiedyś któryś rząd czy samorząd odmówią autonomistom dotacji, to odwoływać się będą do Parlamentu Europejskiego czy trybunałów europejskich. Jak myślicie – po której stronie staną w takich sporach eurosędziowie? Już po ogłoszeniu nowej ustawy w katowickiej filii Klubu Jagiellońskiego odbyło się spotkanie z dr. Tomaszem Słupikiem, przedstawicielem zaplecza intelektualnego RAŚ. „Autonomiści przechodzą od romantycznego okresu do pozytywistycznego" – wyjaśniał Słupik. W jego opinii oznacza to: „budować kwestie języka, wykorzystywać środki, pisać podręczniki, wykształcić nauczycieli – to jest taka praca u podstaw, którą ma teraz do zrealizowania szeroko rozumiane środowisko regionalistyczne".

Oswójcie się z myślą, że cała ta robota wykonywana będzie za pieniądze z waszych podatków.

WIĘCEJ O PROBLEMACH ŚLĄSKA STR. 28

FOT. ADOBE STOCK

EURO ZAMIAST ZŁOTEGO? „TO ZŁY POMYSŁ"

– Zgadzam się z Adamem Glapińskim w tym, że w tym momencie wchodzenie do strefy euro jest nieuzasadnione – oznajmił minister finansów Andrzej Domański na antenie telewizji TVN24, podkreślając, że złoty służy gospodarce i odgrywa ważną rolę w „tłumieniu zewnętrznych szoków ekonomicznych". Minister finansów podkreślał, że polski rząd nie prowadzi obecnie żadnych przygotowań do przyjęcia unijnej waluty.

eprasa.pl 0ffd589c24

Honorowa
INSTRUKCJA POSELSKA EUROWYBORY 2024

Posyłając swych przedstawicieli na sejmy Rzeczypospolitej, wydawaliśmy im instrukcje od pięciu wieków. Dziś mandat posła nie zobowiązuje do wykonywania instrukcji wyborców. A jednak czas znowu mówić, czego chcemy. Czas zmienić obyczaj, że to od polityków dowiadujemy się, co z naszym państwem zrobią. Wynajmujemy ich do pracy dla nas, zatem mówmy im, co mają dla nas zrobić, a czego w naszym imieniu robić nie mogą.

W obliczu zbliżających się wyborów do europarlamentu mówimy kandydatom na posłów, jaka jest nasza HONOROWA INSTRUKCJA POSELSKA właściwej relacji z Unią Europejską oraz innymi podmiotami. Zapraszamy do podpisywania jej wraz z nami.

1. Zawsze i w każdych warunkach pierwszym i najważniejszym zadaniem polskich władz, tj. prezydenta, Sejmu, Senatu, rządu, władz administracyjnych, samorządowych, sądowniczych i branżowych, jest troska o dobro obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Interes czy wola żadnego innego państwa, narodu, zbiorowości, organizacji, osoby czy podmiotu gospodarczego nie będą stać przed interesem Polski i Polaków.

2. Polskie władze nie będą wykonywały, jawnych i niejawnych, poleceń innego państwa, organizacji międzynarodowej, branżowej, społecznej czy podmiotu gospodarczego.

3. Naszym celem jest utrzymanie, a raczej – po raz kolejny w naszych dziejach – odzyskanie właśnie traconej niepodległości. Polskie władze nie będą oddawały fragmentów polskiej suwerenności, podpisując dokumenty wyrzekające się władzy nad polskim bezpieczeństwem, obronnością, bezpieczeństwem energetycznym, gospodarką, ochroną środowiska, geologią, polityką społeczną, rolną, zdrowotną, edukacją, kulturą ani żadną inną sferą.

4. Wypowiedziane zostaną wszelkie dokumenty, które suwerenność oddały i działają na szkodę polskiej gospodarki, zdrowia, kultury, edukacji, w pierwszej kolejności te będące narzędziem gospodarczej czy politycznej dominacji innych państw lub podmiotów zewnętrznych oraz oparte na ideologicznych obsesjach, a nie na naukowych podstawach i fundamentach etycznych. Chodzi m.in. o ETS, „Fit for 55", Zielony Ład, „kamienie milowe", pakt migracyjny. Wszelkie uzurpacje władz Unii Europejskiej wykraczające poza dotychczasowe Traktaty należy ogłosić jako niebyłe, bo niemające prawnych podstaw, a więc i prawnych skutków. Wszelkie zgody, jakich udzieliły polskie władze na bezprawne działania władz Unii Europejskiej, zostaną wycofane jako siłowo wymuszone, a władze Unii zostaną wezwane do zaprzestania bezprawnych działań.

5. Naszym celem jest zdecydowane przeciwstawienie się szybko postępującej moralnej, prawnej i organizacyjnej degeneracji Unii Europejskiej. Nie zgadzamy się na traktatowe ograniczenie prawa

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

Okładka: **Marek Konrad/Fotonews/Forum**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — POLSKIE WYDAWNICTWO
spółka notowana na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl,
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

eprasa.pl 0ffd589c24

weta. Z zasady samostanowienia narodów wynika, że wszelkie próby tworzenia sztucznego narodu europejskiego należy odrzucić.

6. W polskim interesie leży wyłącznie Unia, która szanuje suwerenność poszczególnych narodów, tworzy „Europę ojczyzn". Celem naszym jest odrzucenie idei i praktyki centralizacji i federalizacji Unii.

7. Dyskusja nad bilansem zysków, strat i zagrożeń członkostwa musi zawierać opcję wystąpienia z coraz bardziej autorytarnej organizacji, jeżeli nie uda się ocalić pierwotnej istoty Unii w obrębie jej obecnych struktur. Ci, dla których przynależność do międzynarodowej organizacji jest niepodważalnym dogmatem, nie mogą nas reprezentować ani stanowić władz Rzeczypospolitej. Mogą Ją reprezentować i z naszego nadania stanowić Jej władze tylko ci, dla których to Jej dobro jest celem najwyższym.

Artur Bartoszewicz, Adam Borowski, Lidia Dudkiewicz, Marcin Dybowski, Witold Gadowski, Grzegorz Górny, prof. Tomasz Grzegorz Grosse, Jacek Karnowski, Bogusław Kiernicki, Wojciech Korkuć, Cezary Krysztopa, Jerzy Kwaśniewski, Paweł Lisicki, Tomasz Łysiak, Paweł Nowacki, prof. Andrzej Nowak, Marzena Nykiel, Katarzyna Obłąkowska, Maciej Pawlicki, Jan Pietrzak, Jan Pospieszalski, Rafał Ziemkiewicz

PODPIS ZŁOŻYĆ MOŻNA NA STRONIE:
www.honorowainstrukcjaposelska.pl

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Cała nadzieja w... Lewicy?

Nie myślałem, że może to nastąpić, a jednak – coraz częściej zgadzam się z politykami Lewicy. Weźmy przykład kuriozalnego spotu Ministerstwa Rozwoju i Technologii, w którym jedną z głównych ról gra pieszo-rowerowa kładka nad Wisłą, a ministerstwo cieszy się, jak to wspaniale zmienia się Polska. Kuriozum tej sytuacji dostrzegli oczywiście politycy i publicyści prawej strony, ale – o dziwo! – także niektórzy politycy i publicyści lewicowi, jak np. Anna Maria Żukowska („Mamy kładkę przez rzekę, i cyk, Polisz rozwój stronk, zero potrzeb") albo Paulina Matysiak z Razem („Już nawet się nie kryją ze swoim sposobem myślenia, że Polskę naszych marzeń można ograć kładką nad Wisłą. Gdzie rozwój? Gdzie ambicje? Gdzie nasze marzenia?").

Ta sama Matysiak głośno mówi o konieczności odejścia Macieja Laska, gdyż ten nie chce budowy CPK. Może to tylko polityczna gra przed eurowyborami, ale jeśli nie, to apeluję do ludzi z koalicji 13 grudnia, którzy nie są jeszcze zakładnikami Tuska – walczcie o CPK, walczcie o projekty ważne dla Polski, ważne dla nas wszystkich. Bo po Trzeciej Drodze chyba nie można się spodziewać mówienia własnym głosem. Spacyfikowani.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

REKLAMA

„Foreintrade S.A z siedzibą w Janówku informuje, że wprowadzony do obrotu wyrób: przedłużacz Kraft&Dele Professional 20 m, KD4020, kod EAN: 5903175338334 nie spełnia wymagań dla sprzętu elektrycznego określonych w rozporządzeniu Ministra Rozwoju i Finansów z dnia 2 czerwca 2016 r. w sprawie wymagań dla sprzętu elektrycznego, z uwagi na to, że: stwarza ryzyko urazu lub innej szkody, mogącej powstać w wyniku bezpośredniego lub pośredniego kontaktu z elektrycznością; zastosowane w wyrobie gniazdo II umożliwia podłączenie wtyczki urządzenia klasy I, powodując nadmierne nagrzewanie i przyśpieszoną degradację izolacji, a w konsekwencji brak wystarczającej ochrony użytkownika wskutek braku ciągłości obwodu uziemienia, przez co wyrób stwarza ryzyko porażenia prądem elektrycznym. Powyższe ogłoszenie publikuje się w związku z prowadzonym postępowaniem przed Prezesem Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów".

eprasa.pl 0ffd589c24

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Amerykańska intifada

Polskie media, jak zwykle, jakoś omijają temat, nie wiem, czy zakładając, że Polaków to nie obchodzi, czy bojąc się oskarżeń o polityczną niepoprawność w ogóle, a o antysemityzm w szczególności. A tymczasem takiej fali zamieszek na amerykańskich uniwersytetach nie widziano chyba od czasów wojny wietnamskiej. Arizona, Utah, Illinois, Waszyngton (stan, nie miasto), Kalifornia, Floryda, Minnesota, New Jersey, długo by wymieniać – wszędzie tam policyjna pacyfikacja propalestyńskich „okupacji" na kampusach zaczęła się mniej więcej w tym samym czasie, co sprawia wrażenie akcji zarządzonej na szczeblu federalnym, choć oficjalnie nikt niczego podobnego nie powiedział.

Sądząc po filmach, zalewających media społecznościowe, amerykańska policja, która z Antifą i agresywnymi bojówkami ruchu BLM miziała się jak nasza z „Babcią Kasią", tym razem okazuje stanowczość i brutalność. Z komentarzy przebija szok pałowanych aktywistów, w dużej części zapewne tych samych, co wtedy, lewaków, którzy przez lata przyzwyczajani byli do bezkarności, a teraz nie tylko dostają wciry, lecz także w zwykle popierających ich bezwarunkowo mediach piętnowani są jako neonaziści „tylko" dlatego, że gdzieś podczas pałowania krzyczano: „Kill the Jews!".

Jest to jedna z takich spraw, w których nie ma kogo popierać. To, że Izrael dopuszcza się w Gazie ludobójstwa, jest poza dyskusją, gwałtowne reakcje na pogłoski o planowanym przez Trybunał w Hadze nakazie aresztowania premiera Netanjahu i kilku jego wysokich urzędników pokazują jasno, że nikt nie ocenia takiego nakazu jako absurdalny czy niemożliwy. Z drugiej strony, wiele haseł protestujących jest absolutnie nie do przyjęcia, a i ich lewacka proweniencja normalnego człowieka odrzuca. Jednak zjawisko społeczne wymaga zauważenia. Pacyfikacja Gazy uruchomiła proces, który chyba już nie zostanie zatrzymany: odrzucenia lewicowo-liberalnego establishmentu przez lewaków, których on sam wyhodował i przyzwyczaił do bezkarności. Nie lubię ludzi, którzy mówią „a nie mówiłem", ale pamiętają państwo, co pisaliśmy? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Powietrze wolności

Jeśli wewnątrz wielostronnego sojuszu dochodzi do konfliktu dwóch państw, to strony niezaangażowane zachowują z reguły pozory, a nawet intencje neutralności. Jeśli jednak sojusz jest dla nich ważny – to nie pozostają bezstronne. Poświęcają prawa słabszych, mniej potrzebnych – na rzecz bardziej przydatnych. Tak wykorzystywały swą wagę Sowiety w czasie wojny światowej, uzyskując przyzwolenie Amerykanów i Brytyjczyków na ujarzmienie walczącej u ich boku Polski.

Tej reguły nie uchyliło również NATO; gdy pół wieku temu doszło do jedynej w historii przymierza wojny między jego uczestnikami – nikt nie wykluczył Turcji z sojuszu po bezprawnej (!) okupacji północnego Cypru i nikt nie przyszedł Grecji z pomocą.

Co niegdyś Turcja mogła zrobić należącej do NATO Grecji (i chronionym przez Grecję cypryjskim chrześcijanom), teraz Azerbejdżan (wspierany politycznie przez Turcję) mógł – w cieniu wojny na Ukrainie – zrobić Armenii i Ormianom z Republiki Arcach. Zresztą nie ma już Ormian w Górskim Karabachu, tak jak od pół wieku nie ma Greków na północy Cypru. A Turcja pozostaje tak ważnym sojusznikiem Stanów Zjednoczonych, że może sobie pozwolić nie tylko na polityczne wspieranie Azerbejdżanu, lecz także Hamasu.

Armenia do tej pory zdana była na łaskę Rosji, występującej jako arbiter w konfliktach ormiańsko-azerskich. Ormiańską geopolitykę mogłoby zmienić silne przymierze Gruzji z Zachodem, ostatnio UE, USA i NATO wykonały wobec Erywania wiele przychylnych gestów. To jakieś światło w tunelu, choć warto pamiętać, że za rozluźnienie związków z Rosją Armenia płaci stratami terytorium narodowego, a Zachód z kolei nie jest w stanie obronić nawet swego najwierniejszego przyjaciela na Kaukazie, zadręczonego w więzieniu byłego prezydenta Gruzji Micheila Saakaszwilego.

Pokój jest ważny dla wszystkich, ale słabszym potrzebny jest jak powietrze. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O TeleKabul

Dawno temu w ramach rozbioru politycznego włoskiej telewizji publicznej RAI kanał trzeci przypadł komunistom. Za czasów, gdy w Afganistanie rządzili namiestnicy Kremla, Włosi przezwali RAI 3 „TeleKabul" ze względu na styl i kolportowane tam treści. Do dziś w RAI 3 zmieniło się niewiele.

Serena Bortone, postępowa autorka talk-show „Chesara'" w RAI 3 (2–3 proc. oglądalności), w związku z obchodami Dnia Wyzwolenia od faszyzmu i nazizmu (25 kwietnia) zaprosiła do wygłoszenia monologu na ten temat jeszcze bardziej postępowego pisarza Antonia Scuratiego. Literat dostarczył tekst, w którym wymienił zbrodnie włoskich faszystów i niemieckich nazistów, by potem ostrzec naród, że do władzy w Italii półtora roku temu doszli polityczni spadkobiercy obu zbrodniczych ideologii, więc duch faszyzmu, którego uosobieniem jest w szczególności Giorgia Meloni, nadal zagraża włoskiej demokracji i trzeba mieć się na baczności. Atak na włoską premier i obecny włoski rząd stanowił 60 proc. tekstu.

Władze RAI (toczy się wewnętrzne śledztwo, kto konkretnie), rzekomo z powodów finansowych, pisarza przegoniły, uznając, że honorarium 1,8 tys. euro jest za wysokie. To oczywiście humbug. Znany raper Fedez został niedawno zaproszony do studia RAI, by opowiedzieć o swoim rozstaniu z jeszcze bardziej znaną influencerką, i za opowieść rodem z magla zainkasował 70 tys. euro.

Zapewne telewizja publiczna RAI uznała, że Dzień Wyzwolenia nie powinien być okazją do szerzenia rojeń zideologizowanej lewicy o rzekomym powrocie faszyzmu czy postfaszyzmu. Cała sprawa całkowicie zdominowała włoskie media. Scurati jest w tej chwili najpopularniejszym literatem w Italii, może poza Dantem i Petrarką.

Lewica podniosła wrzask, że postfaszystowski reżim Meloni wprowadza cenzurę i zamordyzm. A ta, by uciąć spekulacje i oskarżenia o ręczne sterowanie telewizją publiczną, opublikowała pełny tekst monologu na wszystkich swoich mediach społecznościowych. Gem, set i mecz – Meloni. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 0ffd589c24

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

DZIECI ŻAL?

Przedziwny wpis opublikowała w mediach społecznościowych Agnieszka Perepeczko, czyli wdowa po serialowym Janosiku, Marku Perepeczce. Przebywająca aktualnie w Australii gwiazda zatroskała się o... ceny alkoholu. „Znowu podwyższają ceny na alkohol. My już swoje wypiliśmy, ale dzieci żal" – stwierdziła zaniepokojona Perepeczko. Dalej aktorka postanowiła rozwinąć swoją myśl, zupełnie nie wyczuwając, że coś mocno nie gra. Gwiazda martwi się, że skończy się „wesołe drinkowanie". „Tu chodzi o to, że dzieci już nie będzie stać na wesołe drinkowanie, bo drogo... haha" – wyjaśniła bez poczucia zażenowania. No cóż, chyba jednak lepiej i zdrowiej jest żyć w „smutnej" trzeźwości niż być uzależnionym od „wesołego" drinkowania. Ale co kto lubi.

FOT. TOMASZ URBANEK/DDTVN/EAST NEWS

STYLOWE PORADY MAI

Promowana przez stację TVN stylistka Maja Sablewska postanowiła wyedukować Polki w zakresie zakupów. A dokładniej stylu, o który należy zadbać, idąc do pobliskiego warzywniaka. Sablewska zwróciła uwagę, że wiele kobiet wygląda mniej atrakcyjnie, wracając z zakupów, gdy w dłoniach trzyma torby pełne produktów. Stąd ma dla nich genialne rozwiązanie, które nie musi wyglądać „beznadziejnie". Stylistka zaleca, by wziąć ze sobą torbę-shopperkę (dla niewtajemniczonych: to taka większa torba o specjalnym kroju) – nawet jeżeli ma się na ramieniu już coś innego. – W modzie jest noszenie dwóch torebek teraz. Na zakupy tego typu, wygodne zakupy, wybierzcie torbę, która nazywa się shopper. To torba na lata, kosztuje ok. 100 zł – zauważa Sablewska. Zgodnie z maksymą, że słowa uczą, a przykłady pociągają, Majka zapozowała z zapakowanymi zakupami w shopperce, mówiąc: „Zobaczcie, jak to może wyglądać. Całkiem ładnie i stylowo. Bo każda kobieta, moje drogie panie, powinna wyglądać z klasą i elegancko". Rady stylistki nie spotkały się z powalającym entuzjazmem. W sieci pojawiło się mnóstwo komentarzy na temat stylowego wyglądu z shopperką na zakupach. „Rada: jak popsuć sobie wszystkie fajne torebki, by być śmiesznie elegancką"; „widzę już, jak mi się ucho od tej stylowej siateczki urywa"; „OMG już czuję spięcie i ból w mięśniach przy zgięciu ręki przez minimum 2 tygodnie" – komentują internautki. Trudno się nie zgodzić. A poza tym kręgosłup ma się jeden.

ZAZDROŚNICY

Aktualna edycja programu „Taniec z gwiazdami" niezmiennie budzi ogromne zainteresowanie. Skoro tak, to z zainteresowania medialnego chcą uszczknąć coś dla siebie także ci, którzy brali udział w programie lata temu. Wokalistka Ewelina Lisowska zwyciężyła w finale czwartej edycji jesienią 2015 r. Zanim jednak sięgnęła po Kryształową Kulę, w trakcie na chwilę odpadła z programu. Wróciła tylko dlatego, że kontuzja wykluczyła z treningów aktorkę Annę Cieślak. Teraz Lisowska wyznała, jak patrzyli na nią pozostali uczestnicy, gdy nagle okazało się, że dostała drugą szansę. – To nie była komfortowa sytuacja, bo już odpadłam, wszyscy się dookoła cieszyli, że mają mnie z głowy, a nagle wracam i znowu jestem zagrożeniem [...]. Nie było to dla mnie przyjemne i łatwe, bo wszyscy patrzyli na mnie spod byka – przyznała. Było naprawdę niesympatycznie. – Wyobraźcie sobie, że niektórzy nawet nie mówili mi „cześć" na korytarzu, ignorowali mnie i udawali, że mnie tam nie ma. Nie mogłam uwierzyć, że tak zachowują się dorośli ludzie, ale w takich momentach poznaje się, jaki człowiek jest naprawdę. Zweryfikowałam wiele osób – wskazuje celebrytka w jednym ze swoich nagrań na TikToku. I takie właśnie są te przyjaźnie w show-biznesie.

MARYLA MA LUZ

Czy to koniec pewnej epoki? Na to wygląda. Nowy burmistrz Zakopanego zapowiada wprowadzenie nowych porządków. Łukasz Filipowicz chce zmienić wizerunek miasta. – Nie będzie rządów Leszka Doruli w Zakopanem, nie ma Jacka Kurskiego w TVP, więc nie będzie „Sylwestra marzeń" – zadeklarował. Do informacji odniosła się Maryla Rodowicz, jedna z etatowych gwiazd imprezy. – Jest mi wszystko jedno, czy sylwester odbywa się w Zakopanem czy w Gdyni. Artyści w tym czasie są zajęci, mają próby i nie mają czasu na zwiedzanie, chodzenie po górach czy balangowanie. Z drugiej strony trochę mi żal, bo lubię Zakopane – lubię popatrzeć na Giewont i zjeść oscypka z grilla. Ale poza tym to jedziemy tam tylko na jeden dzień: próbę, koncert i do domu. Jest mi więc wszystko jedno – przyznała w rozmowie z Plejadą. To jednak nie koniec. Okazuje się, że Rodowicz nie dostała zaproszenia na tegoroczny Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu. I tym też wydaje się zupełnie nie przejmować. – Nie zostałam zaproszona, ale już tyle razy byłam w Opolu, że nie będę płakać. Nie mogę w kółko powtarzać tego samego repertuaru, a musiałby być jakiś ważny powód, dla którego chciałabym wystąpić w Opolu – stwierdza. Gwiazda dodaje, że obecnie nagrywa nową płytę i na tym chce się skoncentrować. – Będą to duety z młodymi artystami. Wyszedł już pierwszy singiel z Mrozem, a reszta na razie jest tajemnicą – wskazała. Ale ta Maryla ma luz! ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak tam po majówce? Przetrwaliście, niezależnie od tego, gdzie rzucił was los, czyli pewnie albo na dyżurze w korpo, albo na przymusowym grillowaniu z osobami płodzącymi w małych ośrodkach, albo na wyjeździe tymkrajowym, gdzie stłoczeni z Polakami staliście w kolejce do kolejki na Kasprowy, albo może niektórzy z was ze średniej kadry menedżerskiej pozwolili sobie na city break w Berlinie?

Pewnie zastanawiacie się, co my robiliśmy – tym razem wypadł nam dyżur w korpo, ale to dobrze. Co prawda, były takie momenty, kiedy żałowaliśmy, iż nie możemy wziąć wolnego, ale jednocześnie mamy świadomość, iż po pierwsze, przychód sam się nie zrobi, a po drugie, iż wynajem kawalerki prawie w centrum Krakowa (tylko 45 minut tramwajem do Rynku) sam się bez nadgodzin nie opłaci.

A poza wszystkim włączaliśmy sobie kamerki z najpopularniejszych tenkrajowych kurortów, aby przekonać się na własne oczy, iż nie chcielibyśmy spędzić tego majowego weekendu wśród tych wszystkich Polaków, którzy nie dość, iż – jak alarmują media – mają niedobory witamin, nie myją zębów, wciąż biją swoje żony i tylko umiarkowanie cieszą się z obecności w Unii Europejskiej, to jeszcze pewnie byli mocno spoceni, bo majówka była ciepła.

No i właśnie też chcieliśmy zwrócić uwagę na to, iż w czasie majówki minęła 20. rocznica wejścia tego kraju do Unii Europejskiej, a więc największego fartu, jaki zdarzył się w całej jego historii (bo herstorie to mają na Zachodzie, pamiętajcie). To w zasadzie tak, jakby Motor Lublin wszedł do Ligi Mistrzów i się tam utrzymał. Porąbane. A Polacy nie dość, że się – jak wspomnieliśmy – umiarkowanie cieszą, to pewnie w większości tego nie pamiętają.

Bo powiedzcie sami – czy 1 maja podczas grillowania ktokolwiek z was odśpiewał „Odę do radości”? Czy ktokolwiek owinął się unijną flagą? Pewnie nie, i my to rozumiemy, wy żyjecie tym na co dzień i macie to po prostu w sercu. Nie musicie tego okazywać takimi gestami, jak romantyk janusz z Sanoka, który na rocznicę związku kupuje swojej grażynie goździka i nawet umyje zęby.

Nam chodzi o całą tę obojętną resztę, która przyjmuje członkostwo w Unii jak coś, co nam się zwyczajnie należy. Trochę tak jest, of kors – Unia prawem, nie towarem. Ale wypadałoby się też o nią trochę postarać. Może zmniejszyć trochę emisję CO_2, może nawet przejść na zeroemisyjność, pobronić konstytucji, sprzedać diesla, kupić elektryka, negować plany dotyczące CPK i polskiego atomu (lol, jak to w ogóle śmiesznie brzmi), a na koniec oczywiście głosować na tych, którzy są gwarantami naszego miejsca w Europie xD.

To jest, kochani, takie proste, wystarczy tylko chcieć i wystarczy trochę pozytywnego myślenia, uśmiechu, no nie wiemy, jakiejś takiej ogólnej życzliwości do siebie nawzajem (mówiąc „siebie”, mamy na myśli of kors osoby postępowe i świadome), damy radę przecież, żebyśmy za 10 lat, kiedy będzie kolejna rocznica wejścia do UE, mogli się nadal z tego cieszyć. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

W piwnicy

Mateusz, może nie przesadzaj z tym, że Orbán to taki twój przyjaciel.
Ale czemu mam prawdy nie mówić, Ryszard?

Bo niedawno mówiłeś, że to sojusznik Putina.
Ja? Mylisz mnie z kimś chyba.

No raczej nie. Mówiłeś też, że musimy wejść w Zielony Ład, a teraz mówisz...
Nic takiego nie mówiłem. Nigdy!

Bez jaj. Przecież pamiętam. Na zebraniach komitetu politycznego nawet mówiłeś.
To nie ja!

A kto?
Nie wiem! Ja siedziałem zamknięty w piwnicy! A jak wyszedłem, to się okazało, że już jest po wyborach. Wyobrażasz sobie, jak ten mój sobowtór namącił przez ten czas? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Gdyby tak pozbierać możliwe wyroki dla liderów PiS na listach do PE, to zebrałoby się dobre 20 lat”.

DONALD TUSK, *premier, na portalu X*

eprasa.pl 0ffd589c24

dwaj panowie g

I znowu wybory: teraz europejskie. Nie możemy się doczekać. Jeśli kampania będzie równie ciekawa jak układanie list PiS, to czeka nas thriller skrzyżowany z komedią. A gdyby porównywać z układaniem list PeŁo? Wtedy dramat wojenny „Wielka ucieczka". Tylko że zamiast uciekać z niemieckiego obozu, tym razem więźniowie uciekają do Niemców, tzn. niby do Brukseli, ale wszyscy wiedzą, jak jest naprawdę.

Układanie list nie zakończyło w PiS sporu o to, czy niektórzy kandydaci pomogą czy jednak zaszkodzą w dobrym wyniku. Wskazuje się z nazwiska: Mario Kamiński, wice-Mario, czyli Maciej Wąsik tudzież Obajtek Daniel. Dziwnym trafem najwięcej o szkodliwości tych kandydatur rozprawiają dotychczasowi europosłowie z długim stażem. Nas to nie dziwi. Historia znana jak świat, tak zbudowano cywilizację zachodnią: stare pieniądze kontra nuworysze.

W związku z nadchodzącymi eurowyborami najważniejsze stają się njusy międzynarodowe. Zajrzeliśmy więc za kulisy CPAC, czyli konserwatywnej konferencji w Budapeszcie zwanej przez Radka Sknerusa Sikorskiego „sabatem proputinowskich nacjonalistów". Wbrew tej opinii rozmawiano głównie o nielegalnej migracji, rosnącym antysemityzmie i deklarowano wsparcie dla bohaterskiej walki Izraela z Hamasem. Sprawy Unii były na przedostatnim miejscu, a gender – na ostatnim.

Wszystkich uczestników CPAC gospodarz Orbán przewiózł przez miasto na kogutach do swojej nowe siedziby, która mieści się w byłym klasztorze Karmelitów na Zamku w Budzie. Podczas welcome drinku na tarasie klasztoru towarzystwo podzieliło się na delikatnych południowców i twardych ludzi Północy. Południowcy pili w kurtkach założonych na garnitury, gdyż pogoda nie rozpieszczała. Ludzie Północy, w tym Polacy z Mateuszem Morawieckim, popijali bez kurtek. Wielki podziw wzbudzały żony amerykańskich kongresmenów, które uświetniały taras w powiewnych wieczorowych sukniach. Być może wszystkie pochodzą z Alaski.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Gorąco za to było na koniec. Otóż samolot, którym wracał do Warszawy Morawiecki, miał usterkę. Rozszczelniły się drzwi. Akcja ratunkowa trwała dobrą godzinę, ale powiodła się dzięki wysiłkowi dzielnych węgierskich mechaników i maszyna LOT mogła wreszcie odlecieć do Warszawy, z równie dzielnym Morawieckiem na pokładzie. Niektórzy pasażerowie się dziwili, że były premier lata lotami rejsowymi. Przecież stać byłoby go na własny.

Tymczasem na Szucha. MSZ działa tak jak cały reżim Tuska. Czyli idzie po bandzie. Otóż bez pytania o zgodę prezydenta Andrzeja Sebastiana resort Radka wysłał wnioski o tzw. agreement dla nowych polskich ambasadorów. Chodzi o zgodę państw przyjmujących na przyjęcie nowych ambasadorów. Do tej pory prośbę o zgodę się wysyłało, otrzymawszy wcześniej placet prezydenta. Cóż, w tej sytuacji nie dziwi nas, że Duży Pałac odmówił zgody na odwołanie dotychczas urzędujących ambasadorów. Choć byli wśród nich osobnicy, za których Andrzej Sebastian umierać nie zamierzał.

Apropos Andrzeja Sebastiana: wyszło szydło z worka i okazało się, kto jest ulubionym współpracownikiem prezydenta – Wojciech Kolarski. Niektórzy wątpili, gdy pisaliśmy, że PAD chce mieć wpływ na kształt list PiS do europarlamentu. No więc właśnie kandydatura popularnego Kolargola (jedynki z Wielkopolski) była tym wpływem. Dodajmy, że sam Wojciech jest człowiekiem skromnym, dlatego w zupełności wystarczyłoby mu kandydowanie z Małopolski. Ale tam o jedynkę walczyło zbyt wielu innych. Mniej skromnych.

Powiemy szczerze: popełniliśmy błąd. Niewłaściwie wybraliśmy ścieżkę kariery. Tak naprawdę chcielibyśmy pracować w Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej. Otóż PAŻP zamówił sobie kilkadziesiąt samochodów służbowych. I nie ma to tamto, że dyrektorzy będą jeździli jakimiś tam limuzynami dla biedaków typu Skoda Superb. PAŻB szarpnął się na Audi Q7. Naszym zdaniem każda sztuka po jakieś pół bańki, lekko licząc. Jeśli chcecie zapytać, czemu drożeją bilety lotnicze, to już wiecie.

Pewien neoprokurator, zwany też paleoprokuratorem, znalazł sposób, by pognębić Zbyszka Ziobrę za Pegasusa. Wymyślił, że będzie wzywał emerytowanych funkcjonariuszy CBA w charakterze podejrzanych. I proponował im deal: albo się przyznają i dostaną zarzuty nieumyślnego wyłudzenia zgód na Pegasusa, albo się nie przyznają i dostaną zarzuty umyślnego wyłudzania zgód. W pierwszym przypadku dostaną wyrok w zawiasach lub wręcz umorzenie. To oznacza, że zachowają prawo do emerytury resortowej. W drugim przypadku grozi im utrata emerytury. Znamy tego prokuratura. Słynie z tego, że najpierw stawia zarzuty, a potem szuka dowodów. Taki polski Andriej Wyszyński w wersji kieszonkowej.

Apropos Pegasusa. Pierwszy zespół śledczy od tych zbrodni nie ostał się był w prokuraturze. Powołani do niego śledczy uznali bowiem, że stosowanie Pegasusa było zgodne z prawem. Powołano więc nowych. Dlaczego nie jesteśmy zdziwieni?

Jest robota. Zwolniło się stanowisko naczelnego „Newsweeka". Zakres obowiązków wymaganych od potencjalnych następców: brać pieniądze od Niemców i j...ć PiS. Wychodzi na to, że naturalnym kandydatem byłby ktoś z PeŁo. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

DRAMAT POLSKICH ZWYCIĘZCÓW

Niemiecka twierdza – Zacięta obrona południa Włoch dawała III Rzeszy nadzieję na wygraną w wojnie

Droga śmierci pod Monte Cassino – Wstrząsające wspomnienia weterana 2. Korpusu Polskiego

Tajemnica ostatniej uczty – Nic nie mogło wskazywać na to, że uroczysta biesiada zakończy się dla Kazimierza Sprawiedliwego tragicznie

Tragedia w Mayerlingu – Dramatyczna śmierć austriackiego następcy tronu i jego kochanki do dzisiaj inspiruje historyków, dziennikarzy, pisarzy i kompozytorów

Eunuch niszczycielem imperium – Przebiegły kastrat Zhao Gao unicestwił cały dorobek pierwszej cesarskiej dynastii Państwa Środka

Konungahela w słowiańskim ogniu – Zablokowany na lądzie Bolesław Krzywousty zorganizował wyprawę morską na największe miasto na Półwyspie Skandynawskim

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 0ffd589c24

Wizjoner czy troll

Jan Fiedorczuk

Radosław Sikorski prowadzi dyplomację państwa polskiego jak swoje konto na portalu X. Jego wypowiedzi są ostre, kontrowersyjne i powodowane przede wszystkim miłością własną. W dobie geopolitycznego chaosu i przebudowy dotychczasowego ładu międzynarodowego stery polskiej polityki zagranicznej spoczęły w rękach showmana

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. MICHAŁ KAMARYT/CTK/PAP

Kolejne wpadki i gafy, które Radosław Sikorski popełniał przez ostatnie lata, nie przeszkodziły mu w powrocie do resortu dyplomacji. Nie tylko wrócił do rządu, lecz także stał się niemal z dnia na dzień jednym z jego jaśniejszych punktów. Przynajmniej jeżeli mówimy o liczbie fleszy, które na sobie skupia – w tej dyscyplinie jedynie marszałek Hołownia może być dla niego konkurencją.

Po niedawnym wystąpieniu na Radzie Bezpieczeństwa ONZ, gdzie Sikorski punktował Rosjan, jego notowania w Koalicji Obywatelskiej miały ponoć poszybować jeszcze wyżej. W ostatnich tygodniach coraz częściej pojawiają się głosy, że – dopiero co przejęty – resort dyplomacji jest już za mały dla Sikorskiego, a na horyzoncie majaczy stanowisko unijnego komisarza. W tym kontekście mówi się m.in. o nowej funkcji do spraw obronności, czego nie wyklucza sam Donald Tusk. Przyszłość szefa MSZ budzi też spore zainteresowanie mediów, czego przykładem choćby portal OKO.press, którego dziennikarki dywagowały, czy Radosław Sikorski zostanie kandydatem KO na prezydenta Polski w 2025 r. Taki scenariusz jest dzisiaj wyjątkowo mało prawdopodobny, gdyż z sondaży wynika, że pod względem popularności nikt nie może się równać z Rafałem Trzaskowskim, co nie zmienia tego, że obecny szef dyplomacji wydaje się grać o zdecydowanie wyższą stawkę niż jedynie minister w rządzie Tuska.

Bez względu jednak na to, czy minister ostatecznie wyląduje w europejskich strukturach, to właśnie tam, w unijnym mainstreamie, widzi przyszłość Polski. W niedawnym exposé – tworzonym na użytek polityki wewnętrznej i strategię polskiego państwa traktującym dość po macoszemu – Sikorski zasugerował możliwość zmiany traktatów UE i zgodę Polski na rezygnację z zasady jednomyślności, czyli głównego gwaranta polskiej suwerenności. Skoro zatem szef MSZ w exposé porusza ten temat, to możemy założyć, że na szczeblu rządowym decyzja już zapadła. Oficjalnym powodem tych zmian jest poszerzenie UE (m.in. o Ukrainę), co nasza dyplomacja a priori uznaje za korzystne dla Polski, jak również przekształcenie obecnej Unii w paneuropejskie „mocarstwo". W swoim wystąpieniu Sikorski posługiwał się również terminem Unii Europejskiej jako „geopolitycznego aktora", co jest już wprost wzięte z wystąpień kanclerza Olafa Scholza. Problemem nie jest oczywiście to, że nowe władze starają się naprawiać relacje z Belinem i Paryżem po ośmiu latach rządów PiS, tylko że zdają się robić za przekaźnik niemiecko-francuskiej wizji Europy. Dlatego też zaproponowana niedawno przez Sikorskiego koncepcja „kreatywnej asertywności", jakkolwiek retorycznie zgrabna i ciekawa, nie koresponduje z zarysowaną przez niego wizją polityki Polski.

POWRÓT SHOWMANA

„Byłem najdłużej urzędującym ministrem spraw zagranicznych wolnej Polski od czasu płk. Józefa Becka" – to jedne z pierwszych słów, którymi Radosław Sikorski rozpoczął swoją autobiograficzną książkę „Polska może być lepsza", która ma być wykładnią jego „filozofii polityki zagranicznej". Następnie zaś, wspominając swoją karierę w MSZ (książka powstała w 2018 r.), kontynuował: „Historia dała mi szansę, aby realizować marzenie pokolenia »Solidarności«: nie tylko walczyć o polskie interesy, lecz także wpływać na losy całego kontynentu". I – jak możemy wywnioskować z kontekstu – minister stanął na wysokości zadania i tę historyczną szansę wykorzystał.

Cytowany fragment wydaje się dobrze oddawać charakterystyczne dla ministra samozadowolenie. Jeden z polityków PO w rozmowie z „Newsweekiem" na wpół żartował, że gdy Sikorski został marszałkiem Sejmu, to w parlamencie schodził wyłącznie po schodach, gdyż ze swoim ego nie mieścił się w windzie – to złośliwe, ale raczej trafne ujęcie charakteru szefa MSZ.

Przyznam szczerze, że był krótki moment, gdy miałem pewną nadzieję, iż powrót Sikorskiego na stanowisko szefa dyplomacji będzie przebiegać w innym stylu. Gdy premier Tusk otwarcie beształ Donalda Trumpa, potencjalnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, głównego gwaranta polskiego bezpieczeństwa, Sikorski zdawał się tonować nastroje. Nie odciął się od słów szefa rządu (to zrozumiałe), ale podkreślał, że Trump jeszcze jako prezydent również przesyłał broń na Ukrainę, zarazem szef MSZ dawał do zrozumienia, że

eprasa.pl 0ffd589c24

antytrumpowskie nastroje niekoniecznie są na rękę Polsce. Czy po tym wystąpieniu minister Sikorski miał długą rozmowę z premierem czy może ktoś inny mu doradził zmianę kursu, tego oczywiście nie wiadomo, ale faktem jest, że ten krótki przebłysk normalności szybko przeminął i jakiś czas później powrócił stary, znany i klasyczny Radosław Sikorski – butny i traktujący piastowane stanowisko jak narzędzie do promocji własnej osoby. Powrócił Jego Wysokość Radek, jak go wiele lat temu przechrzciło „Do Rzeczy".

Duże ego, poczucie własnej wartości i pociąg do mediów mogą być przydatne w polityce, ale niekoniecznie, gdy się pełni funkcję szefa dyplomacji. Pod pewnymi względami obecny minister spraw zagranicznych stanowi bowiem przeciwieństwo swoich poprzedników z czasów PiS. Za ministrów Raua czy Czaputowicza MSZ nie pełniło, najdelikatniej mówiąc, szczególnie istotnej roli. Polityka amerykańska przypadła prezydentowi, relacje (eufemistycznie rzecz ujmując) z Unią Europejską – premierowi i Nowogrodzkiej. Obecnie sytuacja jest odmienna. Resort dyplomacji nie tylko ma ponownie odgrywać pierwszorzędną rolę, lecz także każdy ma być świadom, kto tym pierwszorzędnym resortem kieruje.

Zatem z jednej strony Sikorski próbuje uchodzić za poważnego dyplomatę w stylu angielskiego dżentelmena i wizjonera, który narzuca ton całej Europie; z drugiej strony jednak widać, że cały czas siedzi w nim mały chłopiec, któremu największą frajdę sprawia płatanie figli politycznym oponentom. Szef MSZ nie może się zdecydować, czy chce być wizjonerem czy trollem dyplomacji.

Temperamentem Sikorskiemu jest bliżej do publicysty niż szefa dyplomacji, czemu polityk niejednokrotnie dawał wyraz czy to podczas publicznych wystąpień, czy też za pomocą mediów społecznościowych. Tak było choćby, gdy kilka miesięcy temu sugerował, że rząd państwa polskiego rozważał udział w rozbiorach Ukrainy, albo gdy przekonywał, że białoruskie śmigłowce nad Białowieżą należało po prostu zestrzelić, albo też w końcu gdy publicznie dziękował USA za domniemane wysadzenie Nord Stream 2. Po tym ostatnim wystąpieniu Sikorski stał się bohaterem rosyjskich mediów, a jego wpis z X komentował na forum ONZ przedstawiciel Rosji. Od „podziękowań" polskiego polityka odciął się w końcu sam Departament Stanu USA, który zapewnił, że Stany Zjednoczone nie uczestniczyły w wysadzeniu gazociągu, oraz niedwuznacznie dał do zrozumienia, że słowa Sikorskiego stały się narzędziem rosyjskiej propagandy.

Victor Hugo twierdził, że dyplomaci mogą zdradzać wszystko z wyjątkiem swoich uczuć, i jeżeli ta sentencja jest prawdziwa, to Sikorski jest zaprzeczeniem dyplomaty. W rzeczywistości jest to dyplomata twitterowy, którym kierują namiętności i żądze. X to portal, który pozwala publikować jedynie krótkie wpisy (do dwóch–trzech zdań), przez co jak bodaj żadne inne z mediów otumania swych użytkowników i wulgaryzuje wszelką dyskusję. Sikorski w tym morzu krótkich wirtualnych bon motów czuje się jednak jak ryba w wodzie, jest w swoim żywiole. Cel – tweet – ognia. Ofiara pada rażona siłą kolejnego dwuzdaniowego uderzenia. Klasycznym przykładem tej twitterowej dyplomacji jest sytuacja z 2013 r., gdy w trakcie negocjacji Brukseli z Kijowem na temat wejścia Ukrainy do UE Sikorski zaatakował ukraińskiego prezydenta. „Oczekuję od polityków PiS deklaracji, ile polskich miliardów chcą wpompować w skorumpowaną gospodarkę Ukrainy, aby przekupić prezydenta Janukowycza" – pisał wówczas zbulwersowany minister.

X to być może niezła droga do budowania rozpoznawalności. Portal pozwala medialnie zaistnieć dosłownie każdemu, jednak nie jest to najlepszy sposób na prowadzenie dyplomacji państwa. A właściwie: jest to sposób jak najgorszy.

„PAN APPLEBAUM IDZIE NA WOJNĘ"

Sikorski stał się zakładnikiem swego ego, a jego polityka zakładnikiem twitterowej formy. Skutki tego odczuwa obecnie cała dyplomacja państwa polskiego. Przykładem choćby niedawna awantura dotycząca odwołania 50 ambasadorów – ruch absolutnie niespotykany w dziejach III RP i obliczony jedynie na krótkotrwały, twitterowy efekt.

To, że nowa władza dokonuje „czystek" np. w spółkach Skarbu Państwa i obsadza je „swoimi" ludźmi, może budzić sprzeciw, ale jest to wieloletnia praktyka i każda ekipa tak czyniła. Polityka zagraniczna państwa powinna być jednak wyłączona z tego rodzaju partyjnych walk. I nie jest to naiwne marzenie – oczywiście bywały utarczki na tym polu, jednak żadna władza do tej pory nie planowała gruntownego wyczyszczenia placówek dyplomatycznych. Donald Tusk tymczasem deklaruje, że rząd powoła ambasadorów „lojalnych wobec państwa", wprost dając do zrozumienia, że dotychczasowi dyplomaci lojalni wobec Polski nie byli, a z kolei Radosław Sikorski uzasadnia tę „czystkę", twierdząc, że państwo nie może prowadzić „dwóch polityk zagranicznych". Dlaczego z góry założono, że dotychczasowi ambasadorzy będą prowadzić własne polityki z pominięciem Warszawy – nie wiadomo.

Do tego dochodzi kwestia techniczna. To prezydentowi konstytucja daje prawo mianowania i odwoływania ambasadorów. Stosując kruczki prawne, nowy rząd mógłby zapewne powołać p.o. ambasadorów w postaci chargé d'affaires, jeżeli jednak faktycznie nastąpiłaby nagła wymiana korpusu dyplomatycznego w postaci 50 nowych chargé d'affaires na miejsce dotychczasowych ambasadorów, to – już pomijając koszta takiej machinacji – mielibyśmy do czynienia z wprost niespotykaną kompromitacją państwa polskiego na arenie międzynarodowej oraz kolejny dowód dla zachodnich partnerów, że Polska to państwo niepoważne, szarpane partyjniactwem i niezdolne do kierowania się swoją racją stanu.

Podczas konferencji w Sejmie Radosław Sikorski wypalił: – Żołnierze krajów NATO są już w Ukrainie

Chaos dyplomatyczny, który wywołali Sikorski z Tuskiem, to typowy dla polskiej sceny przykład składania polityki zagranicznej na ołtarzu partyjnych gierek. Jest to szkodliwe, choć w ograniczonym stopniu. O wiele poważniej wygląda to, że człowiek o tak rozbuchanym ego

eprasa.pl 0ffd589c24

kieruje polityką zagraniczną państwa polskiego w dobie największych przetasowań geopolitycznych ostatnich 30 lat. Szef MSZ jakby nie dostrzegając, że u polskich granic trwa nieprawdopodobnie brutalny konflikt, zaczął w ostatnim czasie licytować się na antyrosyjskość z Emmanuelem Macronem. Gdy prezydent Francji rozpętał burzę, sugerując, że państwa Zachodu mogą wysłać swe wojska na Ukrainę, Sikorski najpierw pochwalił go za tę deklarację, gdyż intencją Macrona jest, by „to Putin się obawiał, a nie my Putina", a następnie oświadczył, że wojska sojuszu już de facto są na Ukrainie. – Żołnierze krajów NATO już są w Ukrainie i chciałbym serdecznie podziękować ambasadorom tych krajów, które takie ryzyko podjęły. One same wiedzą najlepiej, które to są – powiedział szef polskiej dyplomacji podczas konferencji w Sejmie związanej z 25. rocznicą wejścia Polski do NATO.

Te słowa oczywiście wykorzystała rosyjska propaganda, ale nie tylko Kreml z ożywieniem przyjął deklaracje Sikorskiego. Światowe media – od Politico, przez „Bild", do ukraińskich mediów – pisały o jego rewelacjach. Wyjątkowo kąśliwy artykuł opublikowała angielsko-chińska gazeta „Asia Times", która artykuł poświęcony ostatnim wypowiedziom polskiego ministra opatrzyła wymownym tytułem „Pan Applebaum idzie na wojnę".

Czy minister Sikorski faktycznie chciałby „pójść na wojnę" i wysłać polskich żołnierzy na ukraiński front, tego oczywiście nie wiadomo (premier Tusk jednoznacznie zaprzeczył, że rząd rozważa taką możliwość), rażąca jednak jest dezynwoltura, z którą szef MSZ steruje polską dyplomacją. Nawet jeżeli w kierownictwie NATO zapadły decyzje dotyczące wysłania wojsk na Ukrainę, to przecież nie po to uznano, że nie należy tych informacji podawać do publicznej wiadomości, aby polski minister trąbił na ten temat na konferencji prasowej. Tym bardziej jeżeli misja na Ukrainie przebiegałaby według scenariusza, o którym mówi się od dłuższego czasu, czyli obejmowałaby państwa NATO, ale odbywałaby się poza parasolem ochronnym sojuszu.

Podobną brawurą Sikorski popisał się kilka tygodni temu, gdy w rozmowie z CNN wystosował apel o przesłanie Ukrainie pocisków dalekiego zasięgu umożliwiających rażenie obiektów na terytorium Rosji. Odkładam na bok w tej chwili zasadność samego postulatu, ale jeżeli nawet w interesie Polski byłoby przesłanie tych pocisków, to na pewno nie należało nagłaśniać tej sprawy w jednej z największych światowych telewizji. Dyplomacja powinna dyskretnie naciskać na Amerykanów, nie wypuszczając do mediów żadnych przecieków, gdyż w obecnej sytuacji, jeżeli Ukraina ostrzelałaby rosyjskie miasta, to mamy oto ministra Sikorskiego radośnie machającego rękoma do Putina z okrzykiem: „To nasza zasługa, to wszystko dzięki nam".

PO PIERWSZE, EUROPA

Obecnie jest zbyt wcześnie, by oceniać sukcesy i porażki polskiej dyplomacji, dysponujemy jedynie wypowiedziami i zapowiedziami polityków. Jednak już po tych kilku miesiącach z działań Sikorskiego wyłania się pewna wizja polityki zagranicznej. Wydaje się zatem, że będziemy mieli do czynienia z kontynuacją linii prezentowanej w latach 2007–2014, gdy Sikorski przekonywał, że boi się „niemieckiej bezczynności, a nie siły", stąd też próba reaktywacji Trójkąta Weimarskiego oraz szybkie zakończenie sporu z Brukselą. Z tym zastrzeżeniem, że o ile za poprzednich rządów PO nasz twitterowy dyplomata chciał wdrażać „reset" z Rosją, tak obecnie ściga „sojuszników Putina". W książce, którą cytowałem na początku tekstu, jest fragment, gdzie Sikorski sugeruje, że de facto opieranie się europejskiej integracji nie ma sensu, gdyż Berlin i Paryż i tak zrobią to, co uznają za stosowne. „Jeśli wbrew naszym własnym interesom, a na przekór złym Niemcom, nie zechcemy wejść do strefy euro ani do integracji europejskiej obronności, to sami wepchniemy się do przedsionka pokoju, w którym zapadają decyzje" – pisał w 2018 r.

Kurs na ściślejszą integrację wydaje się być z kolei skorelowany z coraz wyraźniejszym rozchodzeniem się dróg USA i UE. – Jeśli wybory w USA pójdą w złym kierunku, to będziemy mieli poważne kłopoty. Błagam, koledzy, musimy poważnie podejść do kwestii europejskiej obronności – apelował w europarlamencie pod koniec zeszłego roku. Szkopuł w tym, że wygrana Trumpa może przyspieszyć pewne zmiany, ale samo rozejście się Ameryki i Unii jest procesem „ponadpartyjnym", który może się dokonać nawet pomimo sukcesu Bidena i demokratów.

Jeżeli prześledzimy publiczne wypowiedzi Sikorskiego, to zobaczymy, że szwarccharakterem epoki są dla niego wszelkiej maści „nacjonalizmy". Świat w jego opinii dzieli się na postępowych Europejczyków oraz twardogłowych nacjonalistów owładniętych wizją suwerenności.

Czym jednak dla Sikorskiego jest sama suwerenność? Jeszcze raz wróćmy do książki ministra: „Jest to poczucie, że na żadnym etapie wzmacniania współpracy międzynarodowej nie tracimy podmiotowej zdolności do podejmowania korzystnych bądź błędnych decyzji. Innymi słowy, tak jak to rozumieli nasi przodkowie, o nas nie decyduje się bez nas. Kluczowe jest, czy danym regułom poddaliśmy się dobrowolnie oraz czy w ostateczności moglibyśmy się z nich wycofać". To ładny cytat, tylko że w praktyce wiele nie wnosi, gdyż UE zmierza właśnie w tym kierunku, aby wyeliminować możliwość oporu państw członkowskich i sprowadzić poszczególne kraje do roli województw w unijnym imperium.

Klucz do wzmacniania polskiego bezpieczeństwa Sikorski widzi oczywiście we włączeniu Polski w główny nurt europejskiej polityki, co miałoby zagwarantować naszemu państwu wpływ na podejmowanie najważniejszych decyzji w UE. Przynajmniej w teorii, w praktyce oznaczałoby to wejście do strefy euro oraz poparcie dla kolejnych „proeuropejskich" inicjatyw. Problem w tym, że minister Sikorski nie działa w próżni i dzisiaj to Niemcy i Francja wyznaczają, co oznacza bycie „proeuropejskim", a oba te państwa wyraźnie obrały kurs na stworzenie paneuropejskiego mocarstwa.

Sikorski bezkrytycznie wpatrzony w liberalny Zachód atakuje każdego, kto podnosi wady obecnej UE. Nasz dyplomata twitterowy dobrze odnajduje się w krótkich, jaskrawych podziałach – my i oni, albo Niemcy, albo Rosja, dobra Unia i źli nacjonaliści. Odrzuca wszelkie niuanse i dwuznaczności. Jest to na swój sposób zrozumiałe – twitterowa logika wymusza taki sposób działania. Chodzi o to, by uderzyć głośno i dotkliwie, niekoniecznie z głową. Cel – tweet – ognia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Lewica na ubogo

Piotr Semka

Niewielka liczba miejsc, które w wyborach do europarlamentu, jak się szacuje, zdobędzie Lewica, pokazuje jej obecną mizerię. Dawną potęgę może już tylko wspominać

Symboliczne »tak« powiedzieli sobie Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek". Takimi tytułami epatowały jesienią 2023 r. liczne portale. Ślub był oczywiście na niby i był elementem spektaklu „Spartakus. Miłość w czasach zarazy" wystawionego w ramach Kieleckiego Międzynarodowego Festiwalu Teatralnego. Krzysztof Śmiszek mówił dziennikarzom: „Choć był to spektakl teatralny i poruszający wydarzenie sceniczne, to były i nerwy, i emocje, i wzruszenie. Ale był też gniew. A właściwie wściekłość. Gniew na to, że w 2023 roku, w środku Europy, dwoje kochających się ludzi nie jest widzianych przez swoje państwo".

Tej wiosny Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek mają wszelkie powody, by być w znacznie lepszych nastrojach. Obaj mają szanse na wybór do europarlamentu, gdyż otrzymali „biorące" jedynki z Warszawy (Biedroń) i z Dolnego Śląska (Śmiszek). Oprócz nich lewicowcy marzą jeszcze o zdobyciu trzech miejsc. Ale to już wszystko.

Ta niewielka liczba miejsc, które w wyborach do europarlamentu, jak się szacuje, zdobędzie Lewica, pokazuje jej obecną mizerię. Dawną potęgę może już tylko wspominać przy okazji 20. rocznicy

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

wejścia Polski do Unii Europejskiej. Gdy dwie dekady temu prezydent Kwaśniewski i premier Miller świętowali wejście Polski do Unii Europejskiej.

KANDYDATÓW WIELU, SZANS ZNACZNIE MNIEJ

W czasie prezentacji jedynek wspólnych list Lewicy i Razem można było dobrze przeanalizować aktualny układ sił w postępowym obozie. Wspomniałem już o zdumiewającym uprzywilejowaniu pary Robert Biedroń i Krzysztof Śmiszek. Tak na dobrą sprawę to nic nie uzasadnia umieszczenia ich na biorących jedynkach w Warszawie i we Wrocławiu. Biedroń jako współlider Nowej Lewicy (wraz z Włodzimierzem Czarzastym) nie wykazał się w ostatnich latach niczym specjalnym. Pod jego współrządami Lewica uzyskała w zeszłorocznych wyborach parlamentarnych nędzny wynik 8,61 proc., zdobywając 1 859 018 głosów. Cztery lata wcześniej, w 2019 r., w poprzednich wyborach do Sejmu Lewica uzyskała wynik 12,56 proc., co oznaczało 2 319 946 głosów. Łatwo obliczyć, że pod rządami Biedronia Nowa Lewica straciła 460 928 wyborców. Dokąd poszli? Większość zagłosowała tym razem na Koalicję Obywatelską, a pewna część na Trzecią Drogę.

Podobnie nic nie uzasadnia tak uprzywilejowanego traktowania Krzysztofa Śmiszka. Cztery miesiące temu objął funkcję wiceministra sprawiedliwości i nie zaznaczył się literalnie niczym na tym stanowisku. A teraz niezwykle chętnie porzuca swój gabinet i już marzy o wspólnym prowadzeniu gospodarstwa domowego razem z Biedroniem w Brukseli.

Kolejną charakterystyczną cechą listy jedynek Nowej Lewicy są fory dla dinozaurów ze starej postpezetpeerowskiej Lewicy. Oto Włodzimierz Cimoszewicz otrzymuje pierwsze miejsce na liście zachodniopomorskiej, a Marek Belka jedynkę w Łodzi. Dzieje się to po tym, gdy wielu młodszych działaczy Lewicy sarkało na trio Belka, Cimoszewicz, Miller jako sługusów Platformy, ze wspólnej z resztą opozycji listy Koalicji Obywatelskiej.

Co zdobyła Nowa Lewica? Zajęła jedynki w okręgach podlasko-warmińsko-mazurskim (Bożena Przyłuska), lubelskim (Agata Fisz), na Mazowszu (Anna Maria Żukowska), w Wielkopolsce (Joanna Scheuring-Wielgus), na Pomorzu (Katarzyna Ueberhan), w okręgu kujawsko-pomorskim (Piotr Kowal) i w Małopolsce (obecny wiceszef MSZ Andrzej Szejna). Najmniej uzyskała partia Razem, która otrzymała od Lewicy tylko dwie jedynki: w województwie śląskim (Maciej Konieczny) i na Podkarpaciu (Wiktoria Aleksandra Barańska).

Notabene w wypadku Katowic doszło do bardzo charakterystycznego konfliktu. Dotąd Lewicę reprezentował w Brukseli Łukasz Kohut. Teraz Razem, które i tak zostało zepchnięte na margines listy, nie zgodziło się na wpuszczenie Kohuta na pierwszą pozycję kosztem jej działacza. Kohut zorientował się, że z drugiej pozycji na Śląsku nie ma szans. Zauważył, że w Koalicji Obywatelskiej trwa właśnie moda na wspieranie śląskiego regionalizmu, i zaczął rozmowę z wysłannikami Donalda Tuska. I okazało się, że dobrze ocenił swoją wartość. Partia wzięła go na trzecią pozycję w Katowicach. Kohut mógł zatem efektownie trzasnąć drzwiami i opuścić nabierający wody okręt Lewicy.

Ta demonstracja lekceważenia uświadomiła liderom Nowej Lewicy, jak słabą mają pozycję przetargową. W rezultacie nerwy puściły Robertowi Biedroniowi. Na antenie Polsat News skrytykował „zdrajcę". Mówił: „Łukasz Kohut podjął decyzję, siedzi dzisiaj po prawicy swego ojca, przeszedł na prawicę. To wyborcy ocenią tego typu polityczne salto mortale". Na słowa Biedronia natychmiast zareagował na platformie X sam Kohut: „Panie Robercie Biedroń! Mój ojciec zmarł kilka tygodni temu. Nie jest panu wstyd? Chociaż może to po prostu modlitwa o wynik w Warszawie. Wszak przy mikrowyniku 2,2 proc. w wyborach prezydenckich niewiele poza modłami zostaje. Jestem dumny, że startuję z trzeciego miejsca Koalicji Obywatelskiej w województwie śląskim. Elektorat Lewicy już dawno głosuje na kandydatów KO".

To ostatnie zdanie było bardzo celnym trafieniem. W ciągu ostatniego roku Donald Tusk niezwykle sprawnie ograbił Lewicę z jej sztandarowego hasła aborcji na życzenie. Teraz to obecny premier ubiera się w togę obrońcy praw kobiet. Tę tonację sprawnie podchwytują też członkinie rządu z Koalicji Obywatelskiej. Aleksandra Gajewska, wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej, gromko ogłasza: „Nie wyobrażamy sobie, żeby w kwestiach praw człowieka, praw kobiet organizować plebiscyt albo jakiś ogólnokrajowy sondaż. Cały czas to powtarzamy naszym koalicyjnym partnerom". Z kolei Izabela Leszczyna, minister zdrowia, stała się bohaterką feministek, przeforsowując tabletkę „dzień po", która ma być dostępna bez wiedzy rodziców nawet dla 15-latek.

Na dodatek Lewica niewiele skorzystała z wejścia do rządu. Jak wynika z niedawno ogłoszonego sondażu Onetu, aż 40 proc. Polaków nie zna członków lewicy zasiadających w rządzie – minister pracy

eprasa.pl 0ffd589c24

Agnieszki Dziemianowicz-Bąk i wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego. Z kolei Joanna Scheuring-Wielgus, wiceminister kultury, wybiera się do europarlamentu i też nie zdołała niczym zapaść w pamięć Polaków w ciągu ostatnich ponad czterech miesięcy.

NAPINANIE MUSKUŁÓW

Okazją do prezentowania starannie wystudiowanej pewności siebie była prezentacja list Lewicy do europarlamentu 27 kwietnia w Warszawie. Lewica startować będzie pod hasłem „Europa dla ciebie" i myślą przewodnią jej kampanii ma być walka o „prawa zwykłych ludzi". Najchętniej wszyscy przemawiający odwoływali się do symbolu sprzed 20 lat. Kolejni kandydaci rozwodzili się, jak świętowali wejście Polski do Unii 1 maja 2004 r. Joanna Scheuring-Wielgus pracowała wtedy w Wielkiej Brytanii: „Chodziłam po tym pięknym, dostojnym i europejskim Londynie i zastanawiałam się, czy Warszawa kiedyś też będzie stolicą państwa unijnego. Czy będą nas chcieli do Unii, czy wszyscy się na to zgodzą. Marzyłam o tym, żebym była Europejką w całości, a nie tylko geograficznie. I to się stało w 2004 r. Na pełnych prawach weszliśmy do Europy. Na miejsce, które nam się należało" – mówiła Scheuring-Wielgus.

Ten typ dosyć naiwnego eurouwielbienia był w Polsce modny dokładnie 20 lat temu. Dziś jednak polskie drogi okupują rolnicy głęboko zaniepokojeni efektami Zielonego Ładu, a wielu zwykłych Polaków bardzo krytycznie reaguje na pomysły wprowadzenia euro. Pytanie, z czym chce dotrzeć do nich obecna Lewica. Próby grania kartą najbardziej pryncypialnych proaborcjonistów niespecjalnie pomogły kandydatom i kandydatkom Lewicy w wyborach samorządowych. Nic nie wskazuje, by miał to być jakiś czynnik, który zaważy na wynikach eurowyborów.

Dobrym przykładem na to, jak niezdecydowana jest postawa partii Razem wobec rządu Tuska, było poparcie w głosowaniu sejmowym, ale niedesygnowanie do rządu żadnych swoich przedstawicieli. To wykasowało wszelką atrakcyjność partii Razem. Jej lider, Adrian Zandberg, oburzył się niedawno na wystawienie przez Platformę na drugim miejscu w Warszawie Hanny Gronkiewicz-Waltz.

Kto będzie robił Lewicy kampanię do eurowyborów? Owszem, jest trochę młodzieży wokół młodych posłanek Razem i Lewicy, ale to blady cień prężności dawnego aparatu Sojuszu Lewicy Demokratycznej

Jak podkreślał, była prezydent Warszawy nie wytłumaczyła się ze wszystkich okoliczności swojej odpowiedzialności za afery reprywatyzacyjne w stolicy za jej rządów. Jednak kręcenie Zandberga nosem na kolejne promowanie Hanny Gronkiewicz-Waltz na mało kim robi wrażenie. Skoro Zandberg popiera rząd Tuska, to jest śmieszny w roli moralnego Katona, który nagle odkrywa, że Hanna Gronkiewicz-Waltz wyszła obronną ręką z afer, na których wzbogacili się liczni prawnicy wspierający Platformę.

NIKOMU NIEPOTRZEBNI

Niedawno tygodnik „Polityka" poświęcił Lewicy okładkowy tekst. Na okładce zobaczyć można było czerwony sztandar z profilami Czarzastego, Biedronia i Zandberga ustawionymi w manierze, w której niegdyś przedstawiano Marksa, Engelsa i Lenina z tytułem: „Sztandar wyprowadzić!". To nawiązanie do słów Mieczysława Rakowskiego, który w ten sposób kończył zjazd rozwiązujący Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą w styczniu 1990 r., było bardzo symboliczne właśnie na okładce „Polityki". Przecież była to kiedyś gazeta, której naczelnym był Rakowski. A dziś tygodnik ten pozwala sobie na lekceważący ton sugerujący, że tak na dobrą sprawę Lewica nie jest już dzisiaj nikomu potrzebna.

„Pokiereszowana w kolejnych wyborach Lewica już wie, że kręci się w kółko i w najlepszym razie czeka ją dalszy dryf. Ale kręcić się będzie nadal, bo ma do wyboru scenariusze złe i jeszcze gorsze" – pisze Rafał Kalukin. Istotnie, dyskusje rozliczeniowe po wyborach samorządowych w łonie Lewicy to typowe potępieńcze swary. Padają zarzuty kiepskiego zakorzenienia partii w terenie i zbytniego skupiania się Lewicy na wielkich hasłach ideologicznych przy ślepocie na problemy zwykłych ludzi. Powodem żartów jest też to, że jedynym byłym miastem wojewódzkim, w którym Lewica będzie miała prezydenta, jest Częstochowa. Jak gorzko żartują posłowie Lewicy, ten sukces to nie tyle dowód na sprawność partii, ile raczej litości Najjaśniejszej Panienki nad niepotrzebnym nikomu ugrupowaniem.

W lekkim szoku są też działacze partii Razem. Jeszcze parę lat temu wieszczyli oni, że aktywiści od Zandberga w sojuszu z ruchami miejskimi mają szansę zwyciężać w dużych miastach. Nic takiego się nie spełniło. „Wieczni prezydenci" z KO, tacy jak Jacek Sutryk, Aleksandra Dulkiewicz, Hanna Zdanowska, Jacek Jaśkowiak, Tadeusz Truskolaski czy Krzysztof Żuk, pewnie przedłużyli swoje władztwo nad dużymi miastami. W grupie największych metropolii kandydatka ruchów miejskich zwyciężyła tylko w Gdyni – była to Aleksandra Kosiorek z Gdyńskiego Dialogu. W sejmikach Lewica zdobyła nędzne 6,32 proc., co przekładało się na osiem mandatów na łączą liczbę 522 miejsc w 16 sejmikach.

Z przyczyn biologicznych wyginął niegdyś bardzo przydatny w samorządach typ pragmatycznego postkomunisty, który potrafił dobrze żyć z PSL, a i umiał nawet prawicę jakoś udobruchać. Tych działaczy z epoki Kwaśniewskiego i Millera już nie ma. A w ich miejsce przyszli giętcy krawaciarze w stylu Gawkowskiego lub nadąsani ideowcy z Razem, którzy na wszystkich patrzą z góry, ale jakoś nie potrafią dostać się do władzy. A na wsi lewicowców trzeba szukać wręcz ze świeczką w ręku.

Kto w takim razie będzie robił Lewicy kampanię do eurowyborów? Owszem, jest trochę młodzieży wokół młodych posłanek Razem i Lewicy, ale to blady cień prężności dawnego aparatu Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Włodzimierz Czarzasty na ostatniej konwencji podkreślał wagę jedności: „PPS, Unia Pracy, partia Razem, Nowa Lewica, czyli jedność w różnorodności. Będziemy się kłócić, ale zawsze razem". Słuchając tych słów na konwencji, jeden z delegatów gorzko zażartował: „Owszem, będziemy zawsze razem. I zginiemy też razem".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Chuligańskie pokolenie

Łukasz Warzecha

W przypadku Ostatniego Pokolenia mamy do czynienia z narodzinami nowego terroru, przypominającego skrajne lewackie struktury z lat 70.

Chuligani z Ostatniego Pokolenia 18 kwietnia zablokowali ul. Modlińską w Warszawie FOT. PAWEŁ „KOGUT" DĄBROWSKI/EAST NEWS

Rozpoczynamy cykl akcji, które będą łamały prawo, będą alarmistyczne, dyskomfortowe, być może radykalne – wygłosił chuligan z Ostatniego Pokolenia w Polsat News. Gdy kilkanaście miesięcy temu opisywałem poczynania Die Letzte Generation, Just Stop Oil czy innych działających na Zachodzie radykalnych organizacji klimatystycznych, były to jeszcze zjawiska znane jedynie z serwisów informacyjnych. Zmieniło się to na początku marca, kiedy dwie osoby z Ostatniego Pokolenia próbowały zakłócić koncert jubileuszowy Antoniego Wita w Filharmonii Narodowej.

Na początek uwaga językowa. Nie będzie tu mowy o „aktywistach". Ludzi ze wspomnianych organizacji można nazywać różnie: chuliganami, ekoterrorystami, terrorystami klimatystycznymi, sekciarzami, ale na pewno nie „aktywistami", ponieważ aktywizm kojarzy się jednak pozytywnie. Aktywistą można nazwać kogoś, kto zajmuje się pracą na rzecz jakiejś wspólnoty czy idei, ale na pewno nie kogoś, kto zrobił sobie z łamania prawa swój naczelny modus operandi. Nazywanie członków Ostatniego Pokolenia czy Extinction Rebellion „aktywistami" ma tyle samo sensu, co stosowanie tej nazwy do opisu terrorystów z grupy Bader-Meinhoff czy Czerwonych Brygad. Pomiędzy tamtymi ugrupowaniami terrorystycznymi z lat 70. czy 80. a dzisiejszymi ekobandziorkami istnieje zresztą pokrewieństwo w sposobie myślenia. Tak jak niegdysiejsi terroryści uznawali, że ich sprawa uprawnia ich do stosowania wszelkich środków w walce z „wyzyskiem" i „kapitalizmem", tak dzisiaj nowe „Zielone Brygady" uważają, że mogą łamać prawo w imię walki z rzekomą katastrofą klimatyczną.

Nie łudźmy się: brak zdecydowanej reakcji państwa na ich kolejne poczynania, a zarazem obojętność czy nawet wrogość publiki wobec ich postulatów będą sprzyjały radykalizacji wynikającej z frustracji. Już zapowiedź „być może radykalnych" akcji, przedstawiona na antenie telewizyjnej, powinna zapalić wszystkie sygnały alarmowe. Ostatnie Pokolenie powinny jak najszybciej wziąć pod lupę CBŚP, a może i Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego – nie ma bowiem gwarancji, że celem ekoterrorystów nie stanie się również infrastruktura krytyczna.

eprasa.pl 0ffd589c24

Na razie jednak nie ma sygnałów, żeby polskie państwo traktowało zagrożenie poważnie. Niestety, swoją rolę odgrywają media, dając chuliganom możliwość popularyzacji ich organizacji. Ludzie z Ostatniego Pokolenia byli już we wspomnianym Polsat News, byli też w Kanale Zero. Każda ich kolejna wizyta w telewizji czy radiu to ich wygrana. Nie tylko dlatego, że sprzyja to rekrutacji do band klimatystycznych fanatyków, lecz także dlatego, że legitymizuje ich przestępcze działania. Dawanie tym osobom trybuny, aby mogły głosić swoje poglądy, jest tak samo szkodliwe jak zapraszanie do studia przedstawicieli jakiejkolwiek sekty.

JAK SEKTA I PARTIA

Ostatnie Pokolenie łączy w sobie bowiem cechy sekty, zorganizowanej grupy przestępczej i radykalnej organizacji politycznej, działającej poza granicami prawa. Dla sekty charakterystyczne są m.in. fanatyczne zaangażowanie w ideę, fiksacja na tej idei, postrzeganie świata w skrajnie uproszczony sposób, odporność na jakiekolwiek racjonalne argumenty. Sekty prowadzą wśród swoich członków intensywne pranie mózgów. Można przypuszczać, że w Ostatnim Pokoleniu odbywa się lub będzie odbywać coś podobnego pod pretekstem przygotowania do konfrontacji z otoczeniem.

Rezultaty można dostrzec na filmach pokazujących, jak zachowują się członkowie podobnych struktur na Zachodzie. Charakterystyczne są dla nich brak reakcji na impulsy płynące z zewnątrz i zachowanie jak zombie: odciągani z jezdni wracają na swoje miejsce jak automaty, chyba że zostaną fizycznie unieruchomieni. Do rzadkości należą sytuacje, gdy wykazują jakiekolwiek emocje, aczkolwiek to się zdarza. Tak było kilka miesięcy temu w Szkocji, gdy kierowca autobusu bardzo powoli, ale konsekwentnie spychał blokadę aktywistów. Ci wpadli w histerię, widząc jednak determinację kierowcy, musieli ostatecznie ustąpić.

Takie incydenty zdarzają się zresztą coraz częściej. Zależy to w dużej mierze od tego, jaką taktykę wobec ekoterrorystów przyjmują w konkretnym kraju siły porządkowe. Najgorzej sytuacja wygląda w Wielkiej Brytanii, gdzie stanowisko londyńskiej policji jest takie, że powolny spacer jezdnią nie oznacza blokowania ruchu, więc tak właśnie postępują sekciarze. To prowadzi do kolejnych starć z kierowcami, którzy pozbawieni wsparcia funkcjonariuszy coraz częściej biorą sprawy w swoje ręce. Zdarzały się przypadki brutalnego przełamania blokady. Standardem są szarpaniny i obelgi. Internet pełen jest filmów, dokumentujących takie sytuacje.

Ostatnie Pokolenie można też uznać za zorganizowaną grupę przestępczą i bliźniacze struktury zostały już w ten sposób zakwalifikowane w Niemczech, choć na razie prowizorycznie, na użytek trwającego w ich sprawie śledztwa niemieckiej prokuratury. Niemiecki kodeks karny w swoim artykule 129 mówi o zorganizowanych grupach przestępczych (kriminelle Vereinigungen). Z definicji wynika, że za taką strukturę można uznać organizację, której nadrzędnym celem jest popełnianie przestępstw, czyli łamanie prawa. Niemiecka prokuratura uznała, że tak można zakwalifikować Die Letzte Generation, jako że organizacja ta prowadzi publiczne zbiórki pieniędzy, które następnie przeznaczane są na łamanie prawa. Sąd okręgowy w Monachium potwierdził wcześniejsze orzeczenie sądu rejonowego w tej sprawie, który zezwolił prokuraturze na sięgnięcie w czasie śledztwa po specjalne środki, takie właśnie, jakie stosuje się wobec zorganizowanej przestępczości.

Ostatnie Pokolenie można uznać za zorganizowaną grupę przestępczą i bliźniacze struktury tak zakwalifikowano w Niemczech

W gruncie rzeczy nic nie stoi na przeszkodzie, żeby podobnie działalność Ostatniego Pokolenia zakwalifikowały polska prokuratura, a potem sąd. W polskim kodeksie karnym – inaczej niż w niemieckim – nie ma bowiem definicji zorganizowanej grupy przestępczej. Na podstawie orzecznictwa oraz komentarzy przyjmuje się, że zorganizowana grupa przestępcza to związek przynajmniej trzech osób, którego celem jest popełnianie przestępstw – czasem dodaje się: poważnych. Ostatnie Pokolenie jest bez wątpienia związkiem więcej niż trzech osób, a jego celem jest łamanie prawa – motywacja nie ma tu nic do rzeczy. Problem w tym, że sprytni animatorzy tego ruchu dbają, żeby dotychczasowe działania mieściły się w zakresie kodeksu wykroczeń, a nie kodeksu karnego. Aczkolwiek można założyć, że to się za jakiś czas zmieni. Wystarczy, żeby blokada ulicy przyniosła komuś wymierny uszczerbek na zdrowiu, np. poprzez zablokowanie pojazdu uprzywilejowanego jadącego do wypadku. Tyle że musiałaby tu być jeszcze wola prokuratora i potem sądu.

GDZIE PŁYNĄ PIENIĄDZE

Wreszcie jest Ostatnie Pokolenie także organizacją polityczną w tym sensie, że realizuje określoną agendę. Czyją? Mielibyśmy tu większą jasność, gdybyśmy znali wszystkie źródła finansowania tej struktury. Ta jednak nie chwali się nimi na swojej stronie, choć namawia na niej, aby wpłacać datki.

Oczywiście sama nie jest beneficjentem, ponieważ nie jest zarejestrowaną oficjalnie organizacją. Ostatnie Pokolenie to tylko szyld. Beneficjentem wpłat, które mają trafić do ekoterrorystycznej struktury, jest Fundacja Aktywizmu Klimatycznego, mająca siedzibę w Warszawie przy Kruczej 17 w „Gnieździe" – Centrum Aktywizmu Klimatycznego. Jest to lokal należący do miasta. 22 kwietnia skierowałem do Urzędu m.st. Warszawy pytania, czy urząd zdaje sobie sprawę, że w miejskim lokalu działa fundacja, która zbiera fundusze na rzecz struktury łamiącej prawo i zapowiadającej dalsze jego łamanie, czy w tej sprawie prowadzone będą jakieś działania kontrolne oraz ile najemcy płacą za lokal. Do chwili zamykania tego numeru nie otrzymałem odpowiedzi.

Jakieś wyobrażenie o sponsorach radykalnego klimatyzmu możemy sobie jednak wyrobić na podstawie struktur działających na Zachodzie, gdzie istnieje obowiązek ujawniania finansowania – tak jak w Niemczech. Wiemy zatem, że bliźniacze Die Letzte Generation w 2022 r. otrzymało ponad 900 tys. euro darowizn i wydało 535 tys. euro (część z tego – to nie żart – na kleje). Jednym z najwięk-

eprasa.pl 0ffd589c24

szych pojedynczych sponsorów niemieckich ekoterrorystów (50 tys. euro) był amerykański Climate Emergency Fund (CEF). Jego przychody w 2023 r. wyniosły ponad 4,7 mln dol. Grantów wypłacono ponad 3,7 mln dol.

CEF chwali się, że od 2019 r. wsparł 124 organizacje i wyszkolił 60 tys. aktywistów. Fundusz otwarcie deklaruje, że wspiera ruchy, które mają za cel przeszkadzanie ludziom w normalnym funkcjonowaniu. Tylko w ten sposób – stwierdzają zarządzający funduszem – da się wstrząsnąć systemem i wymusić jego zmianę. „Sukcesy", które wymienia CEF na swojej stronie, to m.in. deklaracja partii laburzystowskiej, że po odzyskaniu władzy zatrzyma wszelkie nowe inwestycje związane z wydobyciem ropy na Morzu Północnym, zakaz lotów prywatnych samolotów z holenderskiego lotniska Schiphol czy skłonienie holenderskiego rządu, aby rozpocząć działania na rzecz skasowania wszelkich subsydiów dla paliw kopalnych. To ostatnie jest holenderską globalną inicjatywą, ogłoszoną podczas szczytu COP28 w Dubaju, a więc droga do jej realizacji jest bardzo długa, o ile w ogóle kiedyś to się stanie. CEF chwali się, że Haga podjęła taką decyzję po 27 dniach nieprzerwanych protestów i ponad 9 tys. zatrzymań. Znamienne, że niektóre rządy kapitulują przed klimatystycznym terrorem.

Na liście organizacji finansowanych przez fundusz są bojówki Extinction Rebellion czy organizacja End Fossil Occupy, prezentująca się jako „radykalne skrzydło młodzieżowego ruchu klimatycznego". „Od listopada [2022 r.] studenci okupują szkoły, uniwersytety i instytucje, aby zakończyć erę paliw kopalnych – deklaruje organizacja. – Wiemy, że aby powstrzymać chaos klimatyczny i stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo, potrzeba zmiany systemu. Wiemy także, że nie wolno nam czekać na przemysł, rządy i instytucje, aby rozpoczęły negocjacje i zmieniły się same: system musimy zmienić natychmiast. Musimy wziąć sprawy w swoje ręce". Logo End Fossil Occupy to dwa czerwone, skrzyżowane ramiona z zaciśniętymi pięściami. Inspiracja terroryzmem komunistycznym jest oczywista.

Współfundatorką CEF jest Rory Kennedy, najmłodsza córka senatora Roberta F. Kennedy'ego, dokumentalistka. W swoich filmach sprzeciwia się energii jądrowej czy budowie płotu na granicy z Meksykiem. Wspierała Baracka Obamę i Hillary Clinton. Inny sławny wspierający to Adam McKay, producent głośnego kilka lat temu, dostępnego na Netflixie filmu „Don't Look Up", będącego łopatologiczną agitką na rzecz „słuchania nauki". Przesłanie o „katastrofie klimatycznej" zamaskowano tam w postaci nadciągającej w kierunku ziemi asteroidy.

Ostatnie Pokolenie oznajmia, że działa w ramach „obywatelskiego nieposłuszeństwa", to jednak nieprawda. Jego poczynania nie mieszczą się w tej kategorii – są zwykłym chuligaństwem. Jak tłumaczy mecenas Witold Daniłowicz, radca prawny i autor obszernego artykułu o granicach nieposłuszeństwa obywatelskiego („Państwo i Prawo", nr 1/2023), nieposłuszeństwo obywatelskie zakłada, że akt sprzeciwu nie uderza w przypadkowe osoby i nie zakłóca ich funkcjonowania. Na takiej zasadzie działali murzyńscy zwolennicy równouprawnienia w USA: korzystając z przestrzeni zastrzeżonych dla białych, nie utrudniali im przecież korzystania z nich. Łamiąc prawo, nie sprawiali nikomu wymiernych problemów, a też liczyli się z pełnymi konsekwencjami.

900 tys. euro

TYLE DAROWIZN W 2022 R. DOSTAŁA ORGANIZACJA DIE LETZTE GENERATION

Ostatnie Pokolenie uderza natomiast w przypadkowe osoby, choć swoje żądania kieruje do rządu, a nawet personalnie do pana premiera. Dziwnym trafem nie blokuje jednak Kancelarii Prezesa Rady Ministrów ani domu Donalda Tuska w Sopocie. Być może dlatego, że reakcja Służby Ochrony Państwa mogłaby być mniej łagodna niż policji.

NIEREALNE ŻĄDANIA

Żądania radykalnych organizacji klimatystycznych są w różnych krajach różne, ale łączy je jedno: są całkowicie nierealne i ich spełnienie jest niemożliwe. Just Stop Oil domaga się, żeby całkowicie przestać wykorzystywać paliwa kopalne od 2030 r., co jest oczywistą mrzonką i absurdem, nawet gdybyśmy w ogóle chcieli się z nich wycofać. Ostatnie Pokolenie natomiast żąda, aby zatrzymać budowę nowych dróg ekspresowych i autostrad (oczywiście natychmiast – cechą charakterystyczną wszelkich postulatów podobnych organizacji jest zawarta w nich infantylna niecierpliwość), a wszystkie pieniądze przekazać na regionalny transport publiczny, tworząc wspólny bilet za 50 zł na miesiąc. To, rzecz jasna, utopia, już choćby dlatego, że drogowe procesy inwestycyjne trwają i nie da się ich zamknąć z dnia na dzień. Nie da się także stworzyć wspólnego biletu za 50 zł na cały kraj, ponieważ regionalny transport jest podzielony na spółki samorządowe, a także prywatne. Można jednak przypuszczać, że ludzie z Ostatniego Pokolenia nie mają o tym pojęcia.

W sprawie radzenia sobie z klimatystycznym terrorem ściera się kilka opinii. Jedna z nich głosi, że najlepiej byłoby chuliganerię po prostu przemilczeć. Inna – że należy ją pokazywać w całej jej głupocie, żeby zniechęcić do niej ludzi. To błędne taktyki. Mamy do czynienia z narodzinami nowego terroru, przypominającego skrajne lewackie struktury z lat 70. W sektę klimatystyczną zaangażowani są ludzie bez zobowiązań: nieposiadający własności, rodzin, obowiązków. Ich często autentyczne przekonanie o nadciągającej katastrofie klimatycznej czyni z nich fanatyków: skoro za moment planeta spłonie, to nie są ważne czyjeś czas, pieniądze czy nawet własność. A ostatecznie – może i zdrowie oraz życie. Przy braku stanowczej reakcji czeka nas eskalacja.

Choć może da się do sprawy podejść inaczej? W marcu ubiegłego roku austriacka policja została wezwana do klimatystycznych terrorystów, którzy przykleili się do bramownicy nad autostradą A23. Ku zdziwieniu, a potem złości i pretensjom klimatystów policja stwierdziła, że aby odkleić ich od konstrukcji, trzeba by dla bezpieczeństwa zatrzymać ruch na jezdni, a to stworzyłoby korki – i dlatego klimatystów pozostawiono na dłuższy czas przyklejonych o chłodzie, głodzie i bez toalety. Może to jakiś sposób?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Frustra medialna

Rafał A. Ziemkiewicz

Nowy rząd nie zaczął właściwie niczego, co można by uznać za obiecujące dla przyszłości. Nie mogą tego nie zauważać nawet przychylne władzy media. Rządzący winią jednak dziennikarzy i przypisują im „pisowskość"

FOT. GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/FOTONEWS/FORUM

W rankingu gorliwości w zwalczaniu PiS oraz promowaniu Platformy Obywatelskiej Renata Grochal zapracowała sobie przez wiele lat medialnej aktywności na miejsce w ścisłej czołówce. Z kolei Paweł Kowal, mimo silnej konkurencji, zdołał się wyróżnić wśród polityków PO szczególną gorliwością i neofickim wypełnianiem wymogów politycznej poprawności – co łatwo wytłumaczyć wymogami wkupienia się w nowe środowisko, szczególnie wysokimi wobec człowieka, który wymyślił wawelski pochówek znienawidzonego przez jego obecną partię Lecha Kaczyńskiego. Kiedy więc taki polityk jak Kowal taką pracownicę mediów jak Grochal publicznie strofuje za zadawanie mu niewygodnych pytań i zarzuca jej „symetryzm" (w tych kręgach – straszna obelga, coś jakby „pisowiec pod przykryciem obiektywnego dziennikarza"), to – jak mawiał pewien z wolna zapominany kaznodzieja – „wiedz, że coś się dzieje".

Dla tych, którzy nie znają szczegółów zdarzenia: do wybuchu irytacji Pawła Kowala doszło w „odzyskanej" przez likwidatorów radiowej Trójce, a jego przyczyną było pytanie o porzucanie urzędów przez ministrów i wiceministrów po zaledwie czerech miesiącach pracy dla mandatów w europarlamencie. Nawet dla życzliwych obecnej władzy jest przecież oczywiste, że ta masowa wyprawa po brukselskie złote runo, podjęta m.in. przez szefów trzech kluczowych dla „odzyskiwana państwa dla demokracji" resortów, kompromituje całą hucznie ogłaszaną rewolucję (czy – mówiąc ściślej – restaurację). W najlepszym wypadku można ją odebrać jako cyniczne porzucenie dla kasy zmobilizowanych histerycznymi hasłami „lemingów", w stylu sławnej wyprawy Ryszarda Petru na Maderę w szczycie „ciamajdanu" i okupacji przez opozycję Sejmu. W gorszym – dotyczy to szczególnie Bartłomieja Sienkiewicza – zakrawa na ucieczkę przed odpowiedzialnością za dokonane bezprawie, zwłaszcza że PO aresztowaniem Kamińskiego i Wąsika oraz włamaniem do Ziobry i Romanowskiego podważyła na przyszłość immunitety krajowe.

ROZCZAROWANIE NARASTA

Irytacja Kowala, strofującego z wyższością prowadzącą program, że „ma dość głupich pytań" i że powinna ona znać „oczywiste" kryteria układania list wyborczych, zdradza nastroje panujące w rządzącej koalicji. Nastroje, delikatnie mówiąc, rozczarowania postawą mediów, które nie dość sprzyjają „przywracaniu praworządności" i zamiast posłusznie powielać przekaz TVN24 i RASP, „pozują" czy też „snobują się" na „obiektywizm" i aby się „populistycznie uwiarygodnić", krytykują „obóz demokratyczny", szkodząc w ten sposób przywracaniu demokracji i praworządności (cytaty z internetowych opinii polityków koalicji i wspierających ich celebrytów).

To rozczarowanie narasta. Gdyby o takich sprawach, jak złamanie prawa przez propeowską prokurator Wrzosek, informowała tylko Telewizja Republika, nie byłoby to dla rządzących problemem: w czasach opozycji wypracowali oni wiele sposobów dyskredytowania przekazów płynących z mediów, którym udało się przykleić propagandową etykietę „pisowskich". Jednak gdy kompromitujące dla

eprasa.pl 0ffd589c24

obecnej ekipy fakty (o sprawie Wrzosek poinformowała Wirtualna Polska) oraz deprecjonujące ją przekazy (np. o, delikatnie mówiąc, marności dokonań „komisji śledczych" czy „audytów" w CPK albo niesatysfakcjonujących nikogo skutkach „odzyskiwania mediów publicznych") docierają do Polaków pod brandami nienapiętnowanymi, których obiektywizmu w czasach rządów PiS elity związane z Tuskiem nie zakwestionowały, reakcją rządzących są frustracja i złość.

Frustracja ta jest zrozumiała, bo negatywne przekazy na temat PO w mediach „niepisowskich" naprawdę nie płyną z apriorycznej niechęci, ale z tego, że jej rządy są po prostu tak marne, że nawet zadowoleni z „odsunięcia PiS od władzy" nie mogą tego nie dostrzegać. Przez cztery miesiące nie zaczął Tusk właściwie niczego, co można by uznać za obiecujące dla przyszłości – zajmuje się wyłącznie „rozliczaniem PiS", i nawet te rozliczenia okazują się, pod pozorami brutalnego zdecydowania, jakieś niemrawe i nieskuteczne. Zdążył za to podnieść VAT na żywność, jednocześnie zwalniając z niego „branżę beauty", zaplątać się w sprawach imigrantów, Zielonego Ładu i CPK, dokonać całkowitej wolty w kwestii wschodniej granicy etc. – i wszystko to zaczęło przeciekać do opinii publicznej.

Jeśli notowania partii rządzącej spadają w kilka tygodni o pkt. 7 proc. w CBOS, który z powodu odmiennej metodologii od zawsze najbardziej ze wszystkich pracowni zawyża poparcie dla władzy, jeśli na dodatek nakłada się to na rozczarowujący wynik w wyborach samorządowych, w których PO pewna była „mijanki", a znowu odbiła się od 30-procentowego „szklanego sufitu", to oczywistą reakcją jest szukanie winnego – wszędzie, byle nie w sobie. Najłatwiej uczynić kozłem ofiarnym media, które – zdaniem rządzących elit – jeśli są „wolnymi" mediami, to mają obowiązek być doboszem „obozu demokratycznego", a nie na niego wybrzydzać.

W opozycji Tusk i jego partia cieszyli się ze strony mediów lewicowo-liberalnych całkowitym oddaniem. Jednostki, które odważały się krytykować, choćby tylko za nie dość skuteczną walkę z PiS, były miażdżone etykietą „symetrystów" i było to skuteczne – napiętnowani tracili widownię, zasięgi internetowe, ich przekaz ewidentnie się nie sprzedawał. Gdy Tusk rzucił hasło „Hołownia zły", wczorajszy sojusznik stał się dla zaprzyjaźnionych redakcji nieodpowiedzialnym warchołem, obiektywnym sojusznikiem Kaczyńskiego, a nawet agentem Opus Dei. Gdy ostatecznie Tusk uznał, że Hołownia jednak dobry – znowu wszystko się zmieniło z dnia na dzień. Wydawało się, że byle odebrać Kaczyńskiemu TVP i odciąć jego media od spółek Skarbu Państwa, wrócą dobre, złote czasy Kwaśniewskiego i Michnika, czasy „jednej partii i jednej gazety".

Wydawało się – znowu potwierdziła się stara mądrość – że nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. System, który przed rokiem 2015 (właściwie rozszczelniony już przed 2005) dawał lewicowo-liberalnemu salonowi władzę selekcjonowania docierających do społeczeństwa informacji oraz monopol opinii, opierał się nie tylko na powiązaniach instytucjonalnych, które można dzięki powrotowi do władzy odbudować, lecz także na przemożnym autorytecie michnikowszczyzny. Ten zaś zbudowany był na dwóch filarach: osobistym autorytecie Michnika i osób, które włączył do swego orszaku, który nie jest już uznawany przez młodsze pokolenia, oraz na złudzeniu obiektywizmu, bezstronności. „Gazeta Wyborcza" w swych dobrych czasach nie była, jak teraz, partyjnym biuletynem czy, gorzej jeszcze, organem jednej, najbardziej radykalnej z partyjnych frakcji – uważano ją po prostu za gazetę, za głos i sumienie polskiej inteligencji.

Za czasów wielkości Michnika nie było dziennikarzy lewicowo-liberalnych. Byli „dziennikarze prawicowi", co było określeniem stygmatyzującym, stosowanym wobec Semki, Wildsteina czy Zaremby, natomiast Żakowski, Paradowska albo Wielowieyska byli dziennikarzami i tyle, bezprzymiotnikowo. Po zredukowaniu się przez media liberalnej lewicy do roli propagandowej tuby „obozu demokratycznego" ta sytuacja jest już nie do odtworzenia. Są media peowskie i pisowskie i mają one swoją widownię, której nie są w stanie sobie nawzajem odebrać – dowodem masowa ucieczka widzów TVP Info po jej przejęciu przez PO do Republiki.

POSZERZANIE DYSKREDYTACJI

Ale dopóki rządził PiS, dopóty utrzymaniu dyscypliny po stronie liberalno-lewicowej sprzyjała logika rynku. Krytykowanie władzy jest zawsze dla odbiorców większą atrakcją niż jej wspieranie. Dlatego po zaprzysiężeniu rządu Tuska coraz więcej brandów wcześniej kojarzonych z opozycją zaczęło sobie pozwalać na wysyłanie do odbiorców sygnału: „byliśmy przeciwko PiS, ale kiedy rządzi PO, nadal możecie nam ufać".

Skoro czynniki, które dawniej dyscyplinowały media, osłabły, to Tuskowy „hardkor" odruchowo sięgnął po jedyną znaną mu metodę: zaczął rozszerzać pojęcie „pisowskiej propagandy" i rozciągać wykluczenie na coraz to kolejne brandy i tytuły. Najpierw widzieliśmy próbę zdyskredytowania Polsatu i Interii, potem „pisowca" powiązanego z Danielem Obajtkiem próbowano zrobić z Marka Balawajdera z RMF. Sprawa prokurator Wrzosek sprowokowała obóz władzy do wściekłego ataku na Wirtualną Polskę, którą po latach traktowania jako wiarygodne źródło „demokratycznych" przekazów zaczęto dyskredytować zamierzchłą sprawą „sponsorowanych" tekstów podpisywanych nazwiskiem nieistniejącego dziennikarza. Nagle też okazało się, że WP była znacznie większym beneficjentem obrzuconego błotem Funduszu Sprawiedliwości niż jakiekolwiek medium „pisowskie". A jeszcze więcej reklam z tego funduszu okazały się mieć media ZPR, wydawcy „Super Expressu", który, zwłaszcza w swej części radiowej i internetowej, ma czelność promować osoby niewskazane jako autorytety przez jedynie uprawnione do tego salony.

Im bardziej narasta frustracja władzy, tym bardziej media „pisowskie" zaczynają się mnożyć, oczywiście w podobny sposób, jak mnożyły się spiski „reakcji" pod rządami Bieruta. Ale ma to swój skutek, bo po latach szermowania przeciw PiS hasłami „wolności mediów" i ich obiektywizmu brutalne domaganie się przez ludzi Tuska od tychże mediów posłuszeństwa i prorządowej propagandy budzi sprzeciw i popycha do buntu coraz liczniejszych liderów opinii, którzy o tym, że są „pisowcami" albo – jeszcze gorzej – „symetrystami", dowiadują się z niemałym zdumieniem.

A to jeszcze nic. Zobaczą państwo, jak medialna frustra wybuchnie po eurowyborach, jeśli – na co się zapowiada – ich wynik będzie dla Tuska równie niesatysfakcjonujący, jak samorządowych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. MARIAN ZUBRZYCKI/PAP

Trzeba myśleć, co po węglu

Z Patrykiem Marjanem, prezydentem elektem Bełchatowa, politykiem partii Nowa Nadzieja *rozmawia Ryszard Gromadzki*

RYSZARD GROMADZKI: Utrwaliło się, że w wyborach i prezydentów, i burmistrzów polskich miast na ogół zwyciężają kandydaci Platformy Obywatelskiej, dużo rzadziej PiS, czasami trafia się jakiś rodzynek z Lewicy albo ktoś niezależny, w rodzaju Wojciecha Bakuna, prezydenta Przemyśla, czy Rafała Piecha, włodarza Siemianowic Śląskich. Jednak wygrana polityka związanego z Konfederacją to nowe zjawisko. W Bełchatowie wygrał człowiek spoza układów, bo chyba tak należy odczytywać pański sukces.

PATRYK MARJAN: Myślę, że w kampanii w Bełchatowie udało się nam wrócić do źródeł samorządności. To znaczy do lokalności i głosowania na człowieka, a nie różne emblematy polityczne. W tych wyborach byłem przede wszystkim przedstawicielem lokalnej społeczności. Mieszkańcy Bełchatowa nie oceniali mnie jako kandydata jakiejś partii politycznej, ale jako człowieka czy gospodarza miasta, którego chcieliby mieć w trudnych czasach, które czekają Bełchatów. To było wyzwanie, bo podczas kampanii do wyborów samorządowych widać, jak dużą siłą oddziaływania dysponują komitety partyjne. Jednak wydaje mi się, że świadomość społeczna jest coraz większa i wyborcy zaczynają szukać konkretnego człowieka, a nie tylko odhaczać kogoś z pierwszego miejsca na liście.

Jak udało się zbudować rozpoznawalność, bez której trudno myśleć o sukcesie wyborczym?

W wyborach samorządowych 2018 r. założyłem komitet wyborczy o nazwie Nowe Pokolenie. To był projekt, w którym wszyscy kandydaci do rady miasta po raz pierwszy kandydowali w jakichkolwiek wyborach. W tamtych wyborach uzyskałem poparcie na poziomie ponad 10 proc. Dzięki temu udało się zbudować w mieście pewną rozpoznawalność.

Na którymś ze spotkań z wyborcami jeden z seniorów nazwał mnie „dzieckiem Bełchatowa". Wydaje mi się, że to trafne określenie. Od lat angażuję się w różne akcje charytatywne, biegam w lokalnym klubie sportowym, gram w piłkę w amatorskich ligach piłkarskich. Przez 11 lat byłem pracownikiem branży górniczo-energetycznej.

Bełchatowianie mnie znają i postanowili w tych trudnych czasach postawić na człowieka, który jest bardzo mocno zdeterminowany. Ludzie dostrzegli w mojej kampanii tę determinację i nadzieję, która pozwoliła wielu z nich uwierzyć w dobrą przyszłość naszego miasta. To niezwykle istotne, bo w Bełchatowie pokutuje przeświadczenie, że miasto zmierza ku rychłemu upadkowi. Uważam, że wszystko jest jeszcze do wywalczenia, że mamy realną szansę na to, żeby zapisać nowy rozdział w historii Bełchatowa. Mówiłem to ludziom z pełnym przekonaniem. Myślę, że dlatego mi zaufali.

Nowa Nadzieja czy Konfederacja to szyldy, które na wielu wyborców działają jak płachta na byka. W świadomości wielu Polaków, utrwalonej przez mainstreamowe media, ugrupowanie, z którym jest pan politycznie związany, to prawicowa ekstrema, którą należy zwalczać, a w najlepszym razie trzymać się od niej z daleka. W Bełchatowie ten stereotyp nie zadziałał...

Wywodzę się ze środowiska wolnościowego w ramach Konfederacji. Nowa Nadzieja wzięła z Konfederacji to, co najlepsze, czyli niskie i proste podatki czy wspieranie lokalnej przedsiębiorczości. Moje środowisko polityczne jako jedyne zawsze deklarowało zasadniczy sprzeciw wobec polityki Zielonego Ładu, zamykania elektrowni i kopalni. Kontestujemy unijną politykę klimatyczną. To hasła, z którymi szedłem do kampanii wyborczej. Jak widać, nie zraziły one ludzi. Nasze środowisko wprowadziło do rady miasta pięciu radnych. Nikt z nich nie należy do żadnej partii politycznej. To ludzie reprezentujący różne ruchy i inicjatywy społeczne, których udało się zjednoczyć wokół sprawy przyszłości Bełchatowa.

Mówi pan o potrzebie przełamania fatalizmu wśród mieszkańców Bełchatowa, wynikającego z tego, że to miasto, w którym głównymi pracodawcami są największa w Europie elektrownia spalająca węgiel brunatny i wydobywająca go kopalnia, według Zielonego Ładu nie ma przyszłości, że czeka je los „drugiego Wałbrzycha". Pan obiecuje Bełchatowowi „drugie życie".

Kopalnia i elektrownia Bełchatów zapewniają dziś kilkanaście tysięcy miejsc pracy. Ludzie obawiają się, że Bełchatów może zostać złożony na ołtarzu polityki klimatycznej, co może pociągnąć za sobą ogromne skutki społeczne związane z wygaszeniem elektrowni i kopalni oraz brakiem inwestycji w ten sektor. Rozumiem dobrze te obawy, bo – jak wcześniej

eprasa.pl 0ffd589c24

powiedziałem – jestem absolwentem Akademii Górniczo-Hutniczej i przez 11 lat pracowałem w branży górniczo-energetycznej. Ludzie znają mnie po prostu z pracy. Zaczynałem jako pracownik fizyczny, ostatnio pracowałem jako zastępca kierownika na wydziale strzałowym. Ludzie, z którymi pracowałem, wiedzą, że walczę o nasz przemysł, bo to jest w interesie Polski, nie tylko Bełchatowa.

Centroprawicowi wyborcy, którzy wcześniej głosowali w naszym mieście na PiS, odwrócili się od tej partii, bo w czasie swoich rządów PiS nie potrafił zrealizować inwestycji kluczowej dla Bełchatowa, czyli uruchomienia nowej odkrywki, kopalni Złoczew, która przedłużyłaby pracę Elektrowni Bełchatów o kilkadziesiąt lat. Te olbrzymie złoża zalegają nieopodal obecnie użytkowanego górniczo kompleksu, ale z różnych powodów, głównie politycznych, decyzja o ich eksploatacji nie została podjęta.

Jaki pan ma pomysł na Bełchatów?

Oprócz spraw oczywistych związanych z administrowaniem miastem i poprawą komfortu życia mieszkańców chcemy skupić się na rzeczy może mniej oczywistej, ale niezwykle istotnej, czyli budowie kapitału społecznego w mieście. Polskie społeczeństwo – zarówno na poziomie ogólnopolskim, jak i lokalnym – jest bardzo podzielone, co w głównej mierze spowodowane jest politycznym duopolem, niekończącą się wojną między Platformą i PiS. My, bełchatowianie, jesteśmy w takim momencie, w którym musimy się zjednoczyć, czyli zbudować kapitał społeczny w postaci zrzeszenia organizacji biznesowych działających w mieście czy zorganizowania pracowników branży górniczo-energetycznej. Konieczna jest też ścisła współpraca prezydenta miasta ze związkami zawodowymi działającymi w kopalni i elektrowni. Jeżeli uda nam się taki kapitał społeczny zbudować, to wtedy będziemy mogli wdrażać w życie pomysły i projekty ważne dla Bełchatowa.

Moją ambicją jest stworzenie specjalnego statusu dla regionu bełchatowskiego, wzorowanego na regionie śląskim, dla którego została stworzona specjalna ustawa. Dzięki niej Śląsk może korzystać ze specjalnych, dedykowanych temu regionowi środków, które mają pomóc mu w procesie transformacji. Chodzi m.in. o to, żeby po wygaszeniu kopalni były pieniądze chociażby na uzbrojenie terenów stref przemysłowych, które pozwolą ściągnąć inwestycje, a co za tym idzie – stworzyć nowe miejsca pracy. Uważam, że Bełchatów powinien pójść tą samą drogą.

Chciałbym powołać wokół prezydenta Bełchatowa zespół ekspertów, którzy będą potrafili napisać taki projekt; wtedy będziemy mogli na poziomie wojewódzkim czy krajowym wywierać presję czy egzekwować odpowiedzialność za decyzje polityczne. Musimy być przygotowani do tworzenia nowych miejsc pracy. To kluczowa kwestia. Bełchatów jest naprawdę dobrym miejscem do życia.

Mam w duszy małomiasteczkowość, bardzo podobają mi się życie i spokój życia w takich miastach. Jednak małe miasta w Polsce mają jeden wielki problem – wyludnianie. Młodzi ludzie migrują do metropolii. Będę robił, co w mojej mocy, żeby w Bełchatowie ich zatrzymać, przekonać do zalet życia w mniejszym mieście. Żeby to się udało, konieczne są miejsca pracy. Musimy przetransformować nasz region.

Mówi pan tak, jakby zamknięcia kopalni i elektrowni Bełchatów były nieuniknione...

Powinniśmy być przygotowani na kilka scenariuszy. Jeśli chodzi o przyszłość kompleksu górniczo-energetycznego, to po pierwsze, dzięki stworzeniu kapitału społecznego, powinniśmy wywierać presję na decydentów w PGE czy Ministerstwie Aktywów Państwowych po to, żeby z kompleksu w Bełchatowie wydobyć przynajmniej wszystkie złoża, które posiadamy, co powinno zapewnić funkcjonowanie elektrowni jeszcze przez ok. 10 lat. To bardzo ważne, zwłaszcza że dochodzą do nas bardzo niepokojące wiadomości, z których wynika, że do Komisji Europejskiej rozsyłane są raporty wskazujące na spadek wydajności wydobycia w Bełchatowie, co może oznaczać, że złoża zasilające elektrownię przestaną być eksploatowane. To byłoby karygodne marnotrawstwo naszego bogactwa narodowego, co jest nieakceptowalne.

W innym scenariuszu nie powinniśmy rezygnować bez walki z kopalni Złoczew. Powinniśmy pokazywać, że polityka prowadzona w tej sprawie była sprzeczna z naszym interesem narodowym. Trzeba podkreślać, że ta inwestycja jest niezwykle ważna dla naszego bezpieczeństwa narodowego, dlatego powinna być uruchomiona.

W trzecim scenariuszu musimy przystosować się do sytuacji „co po węglu?". Bełchatów będzie miał zasoby, których nie ma w Europie. Wbrew pozorom duże, zdegradowane przez górnictwo tereny mogą być naszą zaletą i służyć w przyszłości jako baza dla przemysłu ciężkiego, np. zbrojeniowego. Dysponujemy świetnie rozwiniętą siecią elektroenergetyczną, co może być argumentem za budową w tym miejscu wielkich serwerowni czy lokowania przedsięwzięć z obszaru sztucznej inteligencji.

Prawicowy polityk, jako prezydent miasta, w którym znajduje się największa w Europie elektrownia zasilana węglem brunatnym, może być naturalnym celem ataków różnej maści ekologistów. Jest pan gotowy na konfrontację, a może dialog z rozhisteryzowanymi aktywistami Ostatniego Pokolenia?

Jestem gotowy do rozmowy z każdym. Jednak trudno mi sobie wyobrażać, żebym siadał do stołu z przedstawicielami Ostatniego Pokolenia. To młode osoby, które zostały zmanipulowane i które przez swoje działania robią krzywdę sobie i swojemu środowisku. Zdaję sobie sprawę, że mogę znaleźć się na ich radarach, bo uważam, że polityka klimatyczna Unii Europejskiej to czyste szaleństwo. Chcę jednak robić swoje i nie zamierzam się tym przejmować.

Szef pana partii, Sławomir Mentzen, po ogłoszeniu wyników drugiej tury wyborów w Bełchatowie powiedział, że jest pan politykiem, o którym jeszcze w przyszłości nieraz usłyszymy. Bełchatów jest dla pana trampoliną do wielkiej polityki?

Koncentruję się na Bełchatowie. To bełchatowianie zatrudnili mnie do ciężkiej pracy. Projekt, który pomału się krystalizuje, rozpisany jest mniej więcej na 10 lat. To szmat czasu. To także bardzo duża odpowiedzialność, bo wszystko wskazuje na to, że w tym okresie będzie się rozstrzygać przyszłość Bełchatowa. Skupiam się na swoim rodzinnym mieście, nie ciągnie mnie do ogólnopolskiej polityki. Wierzę jednak, że ten mój lokalny sukces da dużo wiary działaczom wolnościowym. Pokaże, że dzięki determinacji i pracy można zwyciężać. Apeluję do wszystkich, którzy chcieliby wziąć odpowiedzialność za przyszłość swoich małych ojczyzn – wszystko jest możliwe, tylko trzeba zakasać rękawy i do pracy, koledzy!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Lewicowa destrukcja Śląska

Andrzej Krzystyniak

Zakrawa na paradoks, że Ślązacy, bardzo często przywiązani do tradycyjnych wartości, rodziny, Kościoła, znajdują – rzekomo – obecnie swych reprezentantów wśród przedstawicieli opcji politycznych mających w swym politycznym programie walkę z nimi

Ostatnie wybory samorządowe przyniosły klęskę Ruchu Autonomii Śląska oraz Ślonzoków Razem, dwóch pokrewnych organizacji głoszących kulturową, historyczną, gospodarczą odrębność Śląska od Polski, które – jeśli nie są wprost separatystyczne, bo każda z nich się od tego oficjalnie odżegnuje – to dźwięczą bardzo podobnym tonem. Ruch Autonomii Śląska w ciągu ostatnich kilkunastu lat swego istnienia może pochwalić się (ze swego punktu widzenia) wieloma sukcesami. Organizacja autonomistów przez kilka lat współrządziła województwem śląskim. Do polityki samorządowej szczebla wojewódzkiego przedstawiciele RAŚ weszli po raz pierwszy po wyborach samorządowych w roku 2011. Zostali zaproszeni do współrządzenia województwem przez ówczesne władze Platformy Obywatelskiej. Powierzono im nadzór nad instytucjami kultury województwa śląskiego, co z punktu widzenia RAŚ było strzałem w dziesiątkę. Z kolei PO wykazało się tego typu działaniem daleko idącą nieodpowiedzialnością, wręcz antypaństwową.

RAŚ powtórzył swój wyborczy sukces na szczeblu wojewódzkim cztery lata później, w 2015 r. Mogłoby się wydawać, że autonomiści staną się stałym, może nawet rosnącym w siłę elementem politycznego krajobrazu Śląska. Mieniąc się jedyną reprezentacją Ślązaków, skupili się głównie na podważaniu polskości Śląska, oskarżaniu państwa polskiego o zbrodnie na mniejszości śląskiej po 1945 r., głosząc tezę o istnieniu po wojnie „polskich obozów koncentracyjnych". Trzeba przyznać, że znaleźli wielu zwolenników wśród naukowców, historyków, dziennikarzy, artystów, którzy zapewne licząc na różne profity, popierali przeróżne postulaty autonomistów, aktywnie włączając się w różnoraką formę propagowania programu RAŚ. Organizacja skupiła się również na uznaniu Ślązaków za mniejszość etniczność oraz uznaniu śląskiej gwary za język regionalny (pod koniec kwietnia Sejm głosami KO, Trzeciej Drogi i Lewicy uznał „godkę" za język regionalny; oznacza to m.in. możliwość zapisywania po śląsku imion i nazwisk w dowodach osobistych, czy stawianie takich tablic z nazwami miejscowości).

Autonomiści zaczęli się przy tym posługiwać wynikami spisu powszechnego.

Politykiem lewicy zaangażowanym w głoszenie odrębności Śląska od Polski jest europoseł Łukasz Kohut FOT. FRED MARVAUX/EP/EU

eprasa.pl 0ffd589c24

Warto wspomnieć o ostatnich wynikach z 2022 r., w których to narodowość śląską zadeklarowało ponad 500 tys. mieszkańców Śląska, choć nie tylko Śląska, jako jedyną lub z innymi narodowościami, głównie polską. Dodajmy, że używanie „języka śląskiego" zadeklarowało ponad 400 tys. osób, z czego nawet 50 tys. jako jedyny język komunikacji z otoczeniem, co powinno wzbudzić zaciekawienie badaczy językowych. Postulaty uznania „śląskiej godki" językiem regionalnym wraz z uznaniem mniejszości etnicznej Ślązaków stały się sztandarowymi punktami programu RAŚ, wszystko to podlane proniemieckim sosem, który nietrudno zauważyć.

WYBORCZA KLĘSKA

Ostatnie wybory samorządowe dla „regionalistów" okazały się kompromitującą klęską. Zadziwiające, że organizacja uważająca się za reprezentanta ponadpółmilionowej „mniejszości śląskiej" ledwo przekracza 3 proc. poparcia. Można zapytać ironicznie: Czyżby sami Ślązacy nie byli zainteresowani uznaniem ich za mniejszość etniczną? Ani posługiwaniem się oficjalnie językiem śląskim? A może i w przyszłości przyznaniem regionowi autonomii?

Ciekawe, że RAŚ i organizacje pokrewne żądają uznania swoich postulatów przez państwo polskie, jednocześnie nie potrafiąc zyskać akceptacji wśród samych Ślązaków. A zatem czy wymienione postulaty przestaną istnieć wraz ze zniknięciem z politycznej sceny RAŚ?

Wspomnijmy również o partii Ślonzoki Razem, która zanotowała równie kiepski wynik co RAŚ.

Jeśli ktoś jednak spodziewa się zaniku tendencji separatystycznych na Śląsku, to będzie w błędzie. I to już widać. Punkty programowe autonomistów zostały (myślę, że już ostatecznie) przejęte przez środowiska lewicowe, nie wyłączając Koalicji Obywatelskiej. Z całą pewnością również KO wraz z sojusznikami chętnie przyłączy się do ich realizacji i zrobi to o wiele sprawniej niż RAŚ wraz ze swoimi akolitami. Przypomnijmy, że to właśnie Platforma Obywatelska wprowadziła dwukrotnie autonomistów na wojewódzkie salony władzy w śląskim samorządzie w roku 2011 i cztery lata później.

Politykiem lewicy ze Śląska, aktywnie zaangażowanym w głoszenie odrębności Śląska od Polski, a przy tym pałającym wręcz ślepą sympatią do Niemiec, jest obecny jeszcze europarlamentarzysta partii Wiosna Łukasz Kohut, który w swojej karierze politycznej przeszedł od Ruchu Palikota poprzez Twój Ruch i Wiosnę do obecnej Nowej Lewicy.

Kohut nie kryje swych często dziwacznie brzmiących poglądów, potrafiąc sprawy obyczajowe łączyć z „regionalizmem", m.in. porównując Ślązaków do mniejszości seksualnych. Jego zdaniem „Ślązacy są jak LGBT, niedostrzegani przez państwo polskie, zostawieni gdzieś na pograniczu". Z kolei w jego przekonaniu państwo polskie po 1945 r. „jak każdy kraj ma swoje czarne karty w historii – dziesiątki tysięcy ludzi starto na proch, a setki tysięcy wypędzono – na Wschód i Zachód". Jeśli do tego dodamy tradycyjną wśród tejże lewicy, której przedstawicielem jest Kohut, wrogość wobec Kościoła katolickiego, promowanie aborcji, walkę z wszelkimi przejawami tradycjonalizmu, otrzymamy obraz obrońców śląskich spraw, którymi stały się środowiska lewicy, by nie rzec – skrajnej lewicy. Na marginesie zakrawa na paradoks, że Ślązacy, bardzo często przywiązani do tradycyjnych wartości, rodziny, Kościoła, znajdują obecnie swych reprezentantów wśród przedstawicieli opcji politycznych mających w swym politycznym programie walkę z nimi.

CHOĆBY Z DIABŁEM, BYLE PRZECIW POLSCE

Być może wiele środowisk autonomistów przyjmie z radością przejęcie ich postulatów przez siły lewicy. KO też się niewiele od nich różni, z radością podejmie pomysły w myśl zasady: choćby z diabłem, byle przeciwko państwu polskiemu. Wspomnijmy, że obecny na ostatnim marszu autonomistów, gorąco ich wspierający, polityk lewicy ze Śląska Maciej Kopiec w sierpniu ubiegłego roku, w reakcji na żądania reparacji od Niemiec przez państwo polskie, na platformie społecznościowej X opublikował swoje jednoznaczne stanowisko: „Mieszkańcy ziem utraconych przez Niemcy po II wojnie światowej powinni domagać się od państwa polskiego reparacji za zniszczony przemysł, infrastrukturę i zabytki architektury".

Wspomniane postulaty autonomistów oraz lewicy, określenia śląskiej gwary językiem regionalnym, będącym nieodłączną częścią uznania mniejszości etnicznej Ślązaków, rozpoczęły – wbrew politycznym wyborom Ślązaków – swój marsz przez Sejm RP. Kilka dni po klęsce w wyborach samorządowych autonomistów projekt śląskiego języka regionalnego został przegłosowany w drugim czytaniu w sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, po czym trafi ponownie pod obrady Sejmu.

Nowa kadencja Sejmu po wyborach przegranych przez Zjednoczoną Prawicę sprawiła, że po ośmioletnim zamrożeniu ruszyły one z niezwykłą szybkością. Pytanie: Dlaczegóż to przez osiem lat rządów Zjednoczonej Prawicy nie zrobiono nic, by przygotować się na tego typu działania? Dlaczego w sprawie uznania godki śląskiej językiem regionalnym nie zamówiono ekspertyzy czy też opinii znanych lub mniej znanych językoznawców? Osiem lat rządów ZP na Śląsku był tym czasem, by przedstawiciele polskiego rządu w województwie śląskim, reprezentujący tzw. obóz patriotyczny, podjęli działania, przynajmniej takie, by dzisiejsi posłowie Prawa i Sprawiedliwości podczas obrad sejmowej Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych dysponowali aktualną wiedzą i stanem badań nad możliwością uznania śląskiej godki językiem regionalnym. Niestety, dziś może być za późno na cokolwiek. A jeśli ktoś liczy, że pozbawienie reprezentacji politycznej w ostatnich wyborach pozbawi śląskich autonomistów możliwości działania, to srodze się zawiedzie. Sytuacji nie zmieni powątpiewanie czy, ci, którzy nie cieszą się poparciem mieszkańców Śląska, mają prawo mienić się ich reprezentantami, a realizowane postulaty nie są czymś sztucznie wymyślonym w jakimś zupełnie oderwanym od Śląska celu.

Unia Europejska jest dziś tworem, który ochoczo wspiera „regionalizmy" będące być może kluczowym narzędziem rozbicia państw narodowych, nie liczyłbym w tym względzie na zmianę kursu, zwłaszcza względem Polski. A z całą pewnością UE będzie dążyć to wspierania europejskich regionów w dążeniach do uniezależnienia od państw na rzecz podporządkowania Brukseli. Być może tutaj należałoby szukać odpowiedzi w kontekście tego, co dzieje się obecnie na Śląsku. Wszystko to źle wróży Śląskowi i Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Skazani na samochody

Łukasz Zboralski

Centra dużych miast z ograniczonym ruchem samochodów to wizja, która niewielu już przeraża. Jednak rugowanie aut z dróg w ogóle oznaczałoby gigantyczny problem, bo 15 mln z nas nie ma po prostu innej możliwości przemieszczania się. To transportowa zapaść, której do tej pory nie zatrzymał żaden rząd

Spór o samochody i spaliny w Polsce wciąż oparty jest na dyskusjach dotyczących dużych miast. Być może dlatego, że – w przeciwieństwie do mniejszych miejscowości – w metropoliach zmiany zachodzą i są bardzo widoczne. Dyskurs medialny najczęściej dotyczy zatem tego, czy sensowne jest umożliwianie mieszkańcom miast przemieszczania się rowerami (rozbudowa tej infrastruktury jest gigantyczna, a w KPO pieniędzy na to będzie też wiele), czy stwarzać lepsze możliwości przemieszczania się komunikacją publiczną (to spory m.in. o buspasy, które stanowią prawdziwą alternatywę wobec pozostających na jezdni pasów dla samochodów) i wreszcie – czy ograniczać w ogóle poruszanie się samochodami w ścisłych centrach miast, gdzie mieszkańcy oczekują czystszego powietrza, więcej przestrzeni na poruszanie się piechotą, kawiarnie, deptaki.

Spór ten nie został jeszcze całkowicie rozstrzygnięty, ale widać już na przykładach wielu miast, że ich nowa wersja – kopiowana z zachodnich czy ze skandynawskich rozwiązań – już tak bardzo Polaków nie przeraża. Przeciwnicy kameralizowania ruchu, stwarzania możliwości jazdy rowerem są głośni, ale stanowią mniejszość. Dość dobrze pokazały to wybory samorządowe, które przecież odzwierciedlają dążenia mieszkańców. Najbardziej znani przeciwnicy strefy czystego transportu czy kameralizowania ruchu w mieście – tacy jak Paweł Skwierawski z inicjatywy Stop Korkom czy Jakub Dobromilski, którego blog Portalwarszawski.pl reklamował jako demaskatora „ekobredni, które rozsiewają tak zwani aktywiści" – w ostatnich wyborach samorządowych zebrali poparcie liczone w zaledwie promilach.

W sporze o przyszły kształt miast – głównie samochodowy, jak dotąd, czy z różnymi rodzajami transportu – odbija się też dyskusja o przyszłości aut w ogóle. Bo nadal koncerny motoryzacyjne widocznie dążą do oferowania w przyszłości jedynie pojazdów elektrycznych. A te, jak wszystko wskazuje, choć mniej skomplikowane w produkcji, są zdecydowanie droższe i wymagające już dziś zasobniejszego portfela (ładowanie elektrycznego auta jest obecnie droższe niż przejazd spalinowym samochodem). Jeśli tak będzie wyglądała przyszłość motoryzacji, to samochodami jeździć będzie wyłącznie zamożniejsza część społeczeństwa. A ta, jak na ironię, to głównie mieszkańcy dużych ośrodków, którzy tych samochodów potrzebują najmniej.

PROBLEM OD POCZĄTKU

Polska lokalna i to, jakie możliwości mają dziś jej mieszkańcy, są odpowiedzią na to, czy możliwa jest w bliskiej przyszłości Polska bez samochodów.

Według szacunków (dokładnej skali nie zna jeszcze nikt) obecnie 15 mln rodaków dotyka tzw. wykluczenie transportowe nazywane też „ubóstwem transportowym". To ludzie, którzy mają w znacznym stopniu ograniczoną możliwość przemieszczania się albo nie mają jej wcale. W związku z tym odcięci są od usług, kontaktów z innymi czy rozmaitych dóbr. Nie mają możliwości budowania swojego kapitału społecznego ani wykorzystania swoich życiowych szans.

Choć w Polsce przez dekadę trwała rozbudowa sieci dróg (owszem, bardzo potrzebna), to jednocześnie żaden rząd nie przeciwdziałał zjawisku wykluczenia transportowego. Ministrom łatwiej było przecinać wstęgi na każdym, choćby kilkukilometrowym odcinku asfaltu niż obmyślać trudne plany odbudowy transportu publicznego. Jest więc z tym coraz gorzej. Jak podaje UNICEF, w latach 2014–2020 w Polsce blisko dwukrotnie zmalała liczba tras obsługiwanych przez przewoźników. A przecież w roku 2014 już nie było z tym dobrze, bo transport publiczny popadał w ruinę od lat 90. Aż 10 tys. miejscowości w Polsce nie ma żadnego dostępu do transportu publicznego – wynikało z badania pracowni PBS na zlecenie Multiconsult Polska w 2023 r.

Problem zaczyna się już od momentu wyboru szkoły. Młodzi ludzie z mniejszych miejscowości, którzy chcieliby dojeżdżać do szkoły, napotykają poważny problem – jak się do niej codziennie dostać? I choć mamy na poziomie kraju spadek liczby osób zdobywających prawo jazdy (w dużych miastach dla nowych pokoleń to zbędny wydatek – na wakacje latają samolotami, jeżdżą pociągami, a w mieście korzystają z transportu publicznego), to na prowincji prawo jazdy i zakup samochodu są po prostu smutną koniecznością. Inaczej zostaje się odciętym od świata.

Jednak prawo jazdy można mieć dopiero od 18. roku życia. Czyli w połowie średniej szkoły. Skutek? Dzieci wybierają nie te placówki, które by chciały, ale te, do których w ogóle da się dojechać. „Chciałabym więcej autobusów. Sama mam jeden autobus do wyboru i ledwo się do niego wsiada, jest po prostu za dużo ludzi w jednym autobusie. Wcześniej były dwa i było dobrze, nie

eprasa.pl 0ffd589c24

rozumiem, po co to zmieniono" – mówiła ankietowana 13-latka z miejscowości do 30 tys. mieszkańców (raport UNICEF o wykluczeniu transportowym dzieci z 2023 r.).

Dojechanie do szkoły wymaga czasem wielkiego wysiłku. „Czasami chcę dojechać na południe Warszawy, na uniwersytet, jednak bywały momenty, że musiałem mieć trzy czy cztery przesiadki" – tak opisała swoje podróżowanie dziewczyna ze Skierniewic, jedna z respondentek badania „Transportowe nawyki mieszkańców małych miast" opublikowanego w ubiegłym roku przez Polski Klub Ekologiczny Okręgu Mazowieckiego.

Brak transportu oznacza nie tylko ograniczenie wyboru szkoły, lecz także trudność w osobistym rozwoju, np. w dojeździe na zajęcia pozalekcyjne czy treningi w pozaszkolnych klubach sportowych. Wpływa to nawet na utrudnione spotkania z rówieśnikami. „Czuję się źle w mojej miejscowości, bo tutaj nawet nie jeżdżą autobusy zazwyczaj" – mówiła cytowana przez UNICEF 17-latka z podmiejskiego obszaru.

DO PRACY, DO LEKARZA

Samochód i w późniejszym życiu staje się jedynym narzędziem zapewniającym w ogóle możliwość funkcjonowania. Dojazdy do większych miejscowości są koniecznością, gdy chodzi o pracę albo ofertę leczenia. A to są sprawy najbardziej podstawowe.

„Główny problem stanowi brak alternatywy dla samochodu, gdyż funkcjonująca obecnie w obrębie badanych przez nas miejscowości komunikacja miejska nie działa w zadowalający sposób. Autobusy jeżdżą zbyt rzadko, a trasy ich kursowania nie odpowiadają w wystarczającym stopniu na potrzeby mieszkańców, którzy nie są w stanie bezproblemowo dojechać z jednego krańca miasta na drugi i którzy często czekają na przystankach po kilkadziesiąt minut. Mieszkańcy zaznaczają, że zdarzają się sytuacje, gdy nie opłaca im się czekać na autobus, i szybciej docierają do wybranego punktu na piechotę" – czytamy w raporcie Polskiego Klubu Ekologicznego Okręgu Mazowieckiego.

Można zatem opowiadać mieszkańcom mniejszych miejscowości, że samochody zatruwają środowisko. Tylko oni odpowiadają na to tak, jak respondent z Puław: „Nie mam wyjścia, więc muszę dojechać. Zrobię prawo jazdy, kupię samochód i będę dojeżdżała samochodem albo będę dojeżdżała komunikacją, bo nie mam innego wyjścia. To znaczy jest wyjście takie, że rezygnuję z pracy w Lublinie i szukam w Puławach, i nie jeżdżę do Lublina do lekarza. Będę płakać i będę płacić, bo muszę dojechać do pracy, do lekarza".

Owszem, mamy też rowerowy boom i dużo dłużej aktywnych i sprawnych fizycznie seniorów. Ci potrafią codziennie wybierać się na spacery i przejeżdżać na rowerze po 20 km lub więcej. Problem pojawia się jednak, gdy zachorują albo muszą dotrzeć naprawdę daleko. Wówczas samochód jest ich jedynym ratunkiem.

Można zatem proponować każdemu niskoemisyjny samochód elektryczny oraz przekonywać, że smog zabija. Tylko co z tego, jeśli w mniejszych miejscowościach ludzie, słysząc takie zachęty, popukają się w głowę, bo żyją w zupełnie innej rzeczywistości i ta długo jeszcze się nie zmieni?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

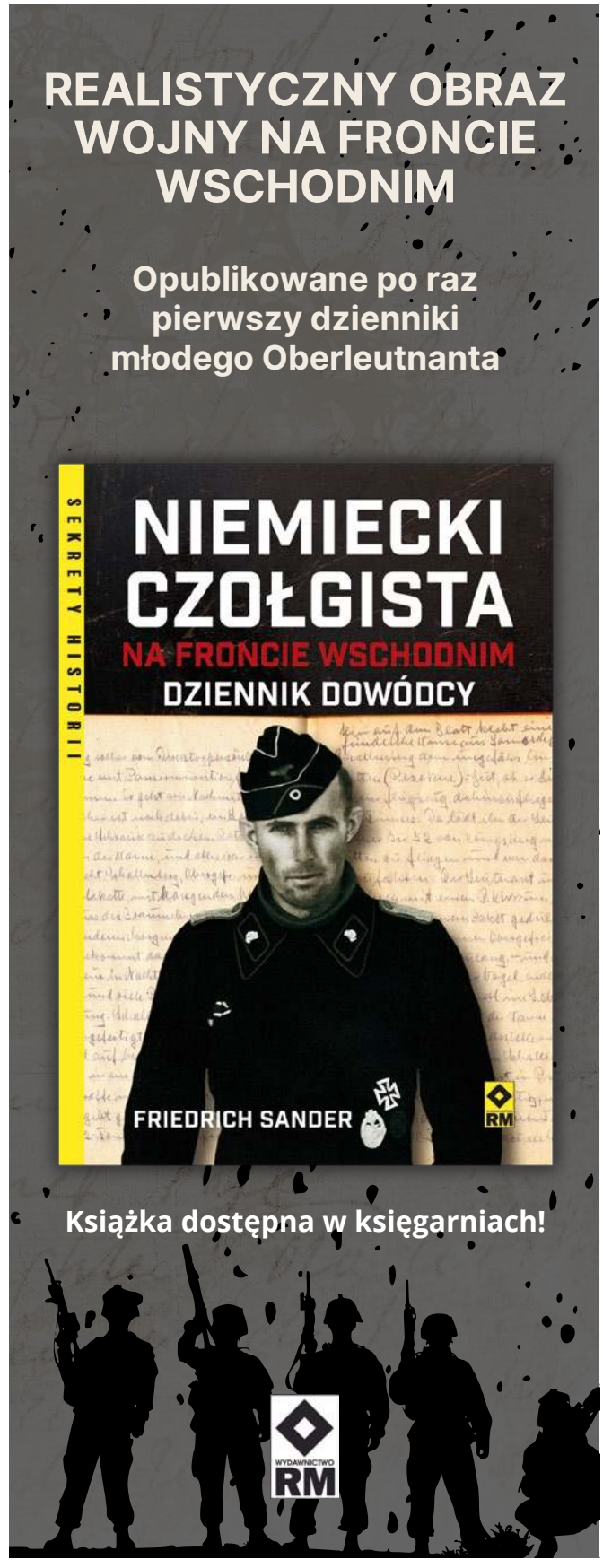

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. ADOBE STOCK

Ślub po nowemu

Zuzanna Dąbrowska

W stodole, humanistyczny, tylko we dwoje ze świadkami, w dresie. Ślub i wesele już dawno przestały być tym momentem życia, który musi podlegać tradycji. Młodzi coraz częściej decydują się na coś zupełnie innego

Ślub humanistyczny to dowolność miejsca i dowolność terminu. To pełna elastyczność scenariusza ślubu. Poza przysięgami, wymianą obrączek i podpisem aktu może zawierać on opowieść o Waszym związku, Waszych wartościach i pasjach oraz cytaty o miłości. Przeżyjcie ślub rodem z amerykańskich filmów" – tak na jednej ze stron oferujących „ślub humanistyczny" reklamowana jest tego rodzaju ceremonia. Takim „ślubem" kieruje tzw. mistrz ceremonii. Nie musi to być ani kapłan, ani urzędnik. Z tego też względu akt nie ma mocy ani urzędowej, ani kościelnej.

Na „ślub humanistyczny" decydują się przede wszystkim pary jednopłciowe, ale coraz częściej także te, które choć twierdzą, że żaden „papier" nie jest im potrzebny do szczęścia, to jednak chcą w jakiś sposób zaznaczyć przed rodziną i przyjaciółmi fakt istnienia swojego związku. „Wszyscy nasi celebranci przechodzą autorski program szkoleniowy – modyfikowany wraz ze zmianami na rynku ślubnym i naszymi obserwacjami. Każdy z mistrzów ceremonii współpracuje bezpośrednio z nami, dzięki czemu mamy pewność, że każdy ślub zostanie przeprowadzony na najwyższym poziomie" – zachwalają organizatorzy „ślubów humanistycznych".

Nie trzeba korzystać z usług firmy zajmującej się organizacją takich ślubów. Nowy trend wyznaczają celebryci. W 2021 r. ceremonię zaślubin humanistycznych zorganizowała córka restauratorki Magdy Gessler, Lara. Podczas uroczystości Lary Gessler i jej męża Piotra (wcześniej otrzymali ślub cywilny) wodzirejem był ich przyjaciel.

„Ślub humanistyczny" otwiera przed zakochanymi całe morze możliwości. Ceremonia w kopalni soli, na górskim szlaku, na kajaku? Proszę bardzo. Zaślubiny w stylu Harry'ego Pottera, podczas których świadkowie podadzą obrączki zawieszone na różdżce? Nie ma problemu. Wszystko odbywa się według scenariusza, którzy napiszą państwo młodzi.

SAMI W OGRODZIE

Coraz więcej par decyduje się na ślub przed urzędnikiem, ale nie w urzędzie. Na popularności zyskują śluby cywilne w plenerze. Sale weselne włączają do swoich ofert tego rodzaju uroczystości, które odbywają się najczęściej w ogrodzie. Przystrojone krzesełka, obrośnięta

eprasa.pl 0ffd589c24

kwiatami pergola, a pod nią urzędnik – to już klasyka. Przepisy umożliwiające tego rodzaju ceremonię obowiązują od 2015 r. W życie weszła wtedy nowelizacja ustawy o aktach stanu cywilnego. Obok ustalenia daty trzeba złożyć pisemny wniosek o udzielenie ślubu w plenerze. Odmowy zdarzają się naprawdę rzadko i tylko wtedy, gdy urząd obawia się, że nie zostanie zachowana powaga wydarzenia. Koniecznym warunkiem jest także umieszczenie w widocznym i odpowiednim do tego miejscu godła Polski. „Najpopularniejszymi miejscami są ogrody, nawet te przydomowe, łąki czy las oraz jego okolice. Ślub w plenerze może być zorganizowany również nad jeziorem czy rzeką. Nad morzem, na piaszczystej plaży. Możliwości jest naprawdę całe mnóstwo. Dodatkowo w takich miejscach nie trzeba specjalnie przejmować się dekoracją, bo sama okolica jest najlepszą ozdobą" – czytamy na jednej ze stron poświęconych organizacji ślubów.

Wciąż dość rzadko, ale jednak, na ślub poza świątynią zgadzają się księża katoliccy. Tutaj jednak do spełnienia jest znacznie więcej warunków i trzeba liczyć się z odmową. Dla prawdziwych samotników jest ślub tylko we dwoje, ze świadkami (śluby kościelny i cywilny wymagają obecności tylko tych czterech osób – poza kapłanem lub urzędnikiem). Tak wyglądały śluby w pandemii.

PIWO I SADZENIE DRZEW

Po ślubie zazwyczaj czas na wesele. Jednak i ta tradycyjna impreza przybiera coraz bardziej nietradycyjne formy. Wiele par wciąż decyduje się na klasyczne „wesele na sali", choć i sale są często niekonwencjonalne. W kilku poprzednich sezonach ślubnych i nadchodzącym triumfy święcą nowocześnie zaadaptowane stodoły. Cegła, mur pruski, drewniane bele pod sufitem – taka „wiejska" estetyka przyciąga wiele par. Odwoływanie się do tradycji często przełamywane jest współczesnymi atrakcjami. Nikogo nie dziwią już stoisko z prosecco, barman, który przygotuje najwymyślniejsze drinki, czy fotobudka. Zyskującym na popularności dodatkiem do wesela jest malowanie obrazu na żywo. Artysta siada na sali i na bieżąco tworzy np. portret pary młodej albo „pejzaż" wesela.

Narzeczeni, którzy chcą zaoszczędzić lub po prostu nie czują się dobrze w tłumie, wybierają poślubny obiad dla najbliższego grona rodziny i znajomych. Skoro średniej wielkości wesele (50–60 osób) to koszt ok. 45 tys. zł, to nietrudno wyliczyć, o ile tańszą opcją jest obiad (nawet z deserem). Wiele par zamiast wydawać grube tysiące na jedną noc zabawy, woli wybrać się w atrakcyjną podróż poślubną na drugi koniec świata. Alternatywą dla wesela, proponowaną przez ślubne poradniki, są także: piwo z rodziną i przyjaciółmi w barze, dyskoteka w klubie, wspólny wolontariat (np. czytanie książek dzieciom w domu dziecka), wizyta w schronisku i spacer z bezdomnymi psami, grupowe sadzenie drzew. Ciekawym pomysłem wydaje się zabranie bliskiego grona znajomych na wspólny wyjazd, np. do Włoch. Bilety lotnicze, hotel i wyżywienie nie powinny wynieść młodych więcej niż standardowe wesele na sali.

Zaproszenia mogą być wirtualne, żeby zmniejszyć „ślad węglowy" generowany przez pocztę

Sposobem z jednej strony na ograniczenie kosztów, a z drugiej przejawem społecznego trendu jest organizacja wesel bez dzieci. „Nie chcę dzieci na swoim weselu, bo nie. Nie chcę krzyków, biegania, rodziców, którzy martwią się płaczącym bąbelkiem, zamiast się bawić. Moje wesele to moje zasady. Jeśli ktoś się obrazi, to trudno" – pisze jedna z przyszłych panien młodych na weselnym forum w sieci. Informacja o tym, aby nie przychodzić z dziećmi, pojawia się już na zaproszeniu. Nie wszyscy jednak rozumieją takie podejście. „Dzieci na weselu są problemem tylko i wyłącznie ich rodziców i ewentualnie dziadków, którzy je pilnują. Reszta gości ma centralnie gdzieś cudze dzieci biegające między stołami. Wesele to nie konferencja naukowa, gdzie eleganccy ludzie bułkę przez bibułkę cały wieczór popijają herbatę i dyskutują na ambitne tematy. Nie wiem, kto w czasie tańców i zabawy zwraca uwagę na bawiące się cudze dzieci? Ja nie" – odpowiada internautka.

Dla wielu, szczególnie ze starszego pokolenia, kontrowersyjnym tematem są też wesela „zero", czyli bez alkoholu.

Narzeczeni troszczący się o klimat mogą chcieć zorganizować „green wedding". Taki „zielony ślub" („ślub ekologiczny") jest planowany z myślą o środowisku. Jedną z kluczowych koncepcji dbania o to, aby wesele było przyjazne dla przyrody, jest zapewnienie, że używane przedmioty nie staną się szybko odpadami. Ogranicza się przedmioty jednorazowego użytku. W zaproszeniu dla gości może więc pojawić się prośba, aby nie pakować prezentów w plastik, a para młoda organizuje przejazd dla zaproszonych na miejsce ceremonii autobusem (by ograniczyć emisję CO_2 z prywatnych aut). Same zaproszenia mogą być wirtualne, żeby zmniejszyć „ślad węglowy" generowany przez pocztę. „Zielony ślub" może też oznaczać, że stroje państwa młodych będą pochodziły „z drugiej ręki", jedzenie weselne będzie wegańskie, a kwiaty zdobiące miejsce wydarzenia nie będą cięte, tylko doniczkowe (po imprezie goście dostaną owe doniczki w ramach podziękowania za przybycie).

ZAKOCHANI W BALONIE

Ślubne trendy zmieniają się tak szybko, że i pomysły na to, co przez dekady było określane mianem „podróży poślubnej", również przybierają nową formę. Zamiast klasycznego wyjazdu proponuje się wspólne doświadczenie, przeżycie. „Lot balonem lub szybowcem? Skok ze spadochronem lub na bungee? Przejazd samochodem wyścigowym? Przelot śmigłowcem?" – oto propozycje przedstawione na jednej ze stron oferujących ślubne usługi. „Może jesteście fanami pieszych wycieczek, wspinaczki i aktywnych wyjazdów? Wtedy ruszajcie na wspólny trekking po Islandii lub podbicie Kilimandżaro" – to z kolei propozycja dla tych, którzy chcą połączyć wyjazd z przygodą.

Jeśli młodzi wolą jednak leniwy wypoczynek pod palmami, to biura podróży mają gotową bogatą ofertę. Wśród najpopularniejszych egzotycznych kierunków podróży poślubnych są Dominikana, Mauritius, Seszele, Bali oraz Zanzibar. W Europie hitem pozostają Hiszpania, Włochy, Grecja i Chorwacja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Piotr Semka

Rozstrzelana awangarda

Każdy z obrazów, który obejrzeć możemy w wiedeńskim Belvedere, mógłby opowiedzieć emocjonującą historię. Niektóre z krwawym finałem

Heorhij Narbut, plakat „Narodowe godło Ukrainy", 1918 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wiedeńskie muzeum Belvedere gości wystawę „In the Eye of the Storm. Modernism in Ukraine" (w wolnym tłumaczeniu: „W oku cyklonu. Modernizm na Ukrainie 1900–1930"). To pierwsza poza Ukrainą prezentacja elementu twórczego Kijowa, Charkowa i Odessy z pierwszych 30. lat XX w. Jak reklamują ekspozycję jej autorzy: „Modernizm na Ukrainie był jednocześnie międzynarodowy i awangardowy. Od resztek secesji do konstruktywizmu wystawa opowiada burzliwą i fascynującą historię malarstwa na Ukrainie".

Te 30 lat było dla Ukrainy okresem politycznych konwulsji. Rewolucja 1905 r., pierwsza wojna światowa, powstanie niepodległej Ukrainy, potem niemiecka okupacja, próby Petlury budowania niepodległej Ukrainy przeciw bolszewikom i wreszcie triumf komunistów. Krótki epizod zgody na „sięganie do korzeni", czyli afirmacji tradycji języka i folkloru ukraińskiego, aż w końcu represje stalinowskie z kulminacją w postaci masowej rzezi ukraińskich twórców, w tym malarzy w latach 1937–1939.

W Polsce z całego tego wielkiego ruchu artystycznego znany jest jedynie Kazimierz Malewicz, głównie z powodu polskich korzeni. Ale wszystko to jest historia, z którą Ukraina chce dotrzeć do krajów Zachodu, które wcześniej nie wyróżniały sztuki ukraińskiej z szerokich kwantyfikatorów moderny rosyjskiej czy sowieckiej.

RATOWAĆ PŁÓTNA PRZED BOMBAMI

Kijów i inne miasta ukraińskie każdego dnia spodziewają się ataków rosyjskich rakiet i dronów. Nic dziwnego, że w tej bardzo niebezpiecznej sytuacji większość ukraińskich muzeów wysyła swoje dzieła na Zachód w ramach rozmaitych projektów promujących ukraińską sztukę. Chodzi

eprasa.pl 0ffd589c24

Alexander Archipenko, „Kobieta z wachlarzem", 1914 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wystawa w salach wiedeńskiego Belvedere FOT. MATERIAŁY PRASOWE

nie tylko o usunięcie bezcennych skarbów rodzimej sztuki z terenu zagrożonego wojną, lecz także o wprowadzenie do świadomości Europy i – szerzej – świata świadomości, że sztuka ukraińska była osobnym fenomenem, którego nie da się zamknąć w niszy części kultury rosyjskiej. Dobrym duchem wystawy jest Francesca Thyssen-Bornemisza, znana kolekcjonerka sztuki związana z Muzeum Narodowym Thyssen-Bornemisza w Madrycie. I to tam w listopadzie 2022 r. dzieła z muzeów kijowskich, odeskich i charkowskich pojawiły się po raz pierwszy. Potem odwiedziły Królewskie Muzeum Sztuk Pięknych w Brukseli i wreszcie są do obejrzenia w Wiedniu.

Francesca Thyssen-Bornemisza tak pisze we wstępie do katalogu wystawy: „Wojna Władimira Putina przeciwko Ukrainie jest jak wiele konfliktów zjawiskiem zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości. Walka dotyczy nie tylko kontrolowania terytorium, lecz także władzy nad narracją o przeszłości. W czasie wojny kultura staje się swoistym drugim frontem walki. To właśnie dlatego po wybuchu tego konfliktu zaproponowałam Narodowemu Muzeum Sztuki Ukraińskiej w Kijowie inicjatywę, która ma wesprzeć ukraińską kulturę".

Istotnie, artyści działający w Kijowie czy Odessie przez długie dekady XX w. byli arogancko zaliczani en masse do awangardy rosyjskiej, a potem sowieckiej. Teraz władze w Kijowie chcą za pomocą tej wystawy zademonstrować, że ukraińskość moderny lat 1900–1930 jest czymś, co zachodni widz dopiero musi odkryć.

TANIEC NA WULKANIE

Awangardowa sztuka ukraińska na początku XX w. była jak sejsmograf, stanowiła wskaźnik radykalnych zmian, które zapowiadały rewolucję, a przy okazji pozwoliły po raz pierwszy ogłosić niepodległość Ukrainy. Trudno tu używać etnicznych etykietek. Kijów stanowił wówczas trzecie po Moskwie i Petersburgu miejskie centrum cesarstwa. Bardzo wielu artystów krążyło między Moskwą a Kijowem czy Moskwą a Petersburgiem. Rosyjscy artyści mający bardzo często bogatych sponsorów mogli bez problemów podróżować do Berlina, Wiednia czy Paryża i chłonąć nowe trendy z pierwszej ręki.

Coraz bardziej nasilająca się atmosfera końca pewnej epoki zachęcała do coraz śmielszych eksperymentów artystycznych. Czołowym inicjatorem ówczesnej moderny był Wołodymyr Izdebski. Notabene potomek polskiej rodziny zesłańców, których wygnano do Rosji po powstaniu styczniowym. Izdebski był przyjacielem Wassilego Kandinskiego i jak mało kto nad Dnieprem znał wszystkie najnowsze mody. To on zorganizował pierwszą wystawę moderny w 1909 r. w Odessie, która potem odwiedziła Rygę, Kijów i Petersburg.

Vadim Meller, „Projekt kostiumu do baletu »Maski«", 1919 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krytyka konserwatywna nie zostawiała na efektach twórczych poszukiwań suchej nitki, ale artyści korzystali z mitu ludzi, którzy prezentują już estetykę nowej epoki. Oto „Zwiastowanie" Ołeksandra Muraszki z 1907 r., utrzymany w błękitno-złotej estetyce słonecznego poranka motyw przyjęcia przez Matkę Bożą misji uczestnictwa w akcie zbawienia świata, przedstawione jest w przepięknych barwach.

Środowisko artystyczne Kijowa ubarwiały wówczas takie postacie jak Aleksandra Ekster, która dzięki małżeństwu z bogatym adwokatem Mikołajem Eksterem szybko stała się modna w kręgach kijowskich miłośników nowych trendów. Ale wymieńmy też prekursora futuryzmu na ukraińskim terenie Ołeksandra

eprasa.pl 0ffd589c24

Bohomazowa. To nazwisko oczywiście kojarzy się z istniejącym w polszczyźnie słowem „bohomaz", które jednak wcześniej istotnie znaczyło malarza ikon, dosłownie „bogorysownika", a dopiero potem skojarzono je z niezrozumiałymi malowidłami.

Pierwsza wojna światowa przytłumiła na pewien czas aktywność twórczą, ale powstanie w styczniu 1918 r. Ukraińskiej Republiki Ludowej po raz pierwszy otworzyło szansę na szerszą aktywność zwolenników nowych trendów. Heorhij Narbutt (1886–1920) pomagał wykreować herb rachitycznego ukraińskiego państwa. Wielu młodych malarzy tworzyło wówczas plakaty krótkotrwałej Republiki Ukraińskiej. Ale niepodległa Ukraina była tylko fantomem, który szybko się rozwiał. Ukrainę zdobyli bolszewicy, a ci dobrze wiedzieli, że rewolucja musi dbać o wizualną formę propagandy. Do tego z otwartymi ramionami przyjmowali modernistów jako naturalne przeciwieństwo posłusznej caratowi elity artystycznej minionej epoki.

UPOJNE ZŁUDZENIE

W 1923 r. w nowo powstałym Związku Sowieckim kierownictwo Partii Komunistycznej rzuca hasło „korienizacji", czyli gwałtownego wprowadzenia do życia poszczególnych republik sowieckich języków narodowych. Z dnia na dzień zaczęto zachęcać do wycofywania się z języka rosyjskiego i pisania sztuk, książek, poematów po ukraińsku. W wypadku malarstwa zalecano, by awangardowa forma sprzęgła się z nawiązywaniem do tradycyjnej estetyki folkloru ukraińskiego. Ukraińska awangarda zawsze postrzegała sztukę jako nośnik nowej idei i zachwyciła ją nowa rola przewodników w sięganiu do narodowych tożsamościowych korzeni.

W tym czasie stolicę Ukrainy przeniesiono z Kijowa do Charkowa. Położona na wschodzie metropolia miała o wiele więcej fabryk i proletariatu. Kijów postrzegano jako reakcyjny ośrodek. Nic dziwnego, że w Charkowie bardzo szybko powstało mnóstwo ośrodków artystycznych, teatrów awangardowych i grup eksperymentu artystycznego. Na czoło nowej epoki wysunęła się tzw. szkoła bojczukistów. Jej nazwa wzięła się od patrona grupy Michaiła Bojczuka (1882–1937).

Ten pochodzący z Galicji uczeń Juliana Pankiewicza we Lwowie praktykował później pod okiem Leona Wyczółkowskiego w Krakowie. Przed rewolucją zdążył odwiedzić Paryż, gdzie zachwycił się płótnami Cezanne'a i Renoira. Osobiście poznał Picassa. Jako jeden z pierwszych postawił na bolszewików i od 1924 r. był profesorem Kijowskiego Instytutu Sztuki, gdzie zgromadził wokół siebie sporą liczbę uczniów. Szukając odrębnego narodowego stylu, zaczął wprowadzać stylistykę typową dla bizantyjskich ikon do całkowicie zlaicyzowanego malarstwa mającego sławić kozacką przeszłość Ukrainy i jej dzisiejszych herosów – robotników i chłopów. W 1926 r. otrzymał zgodę na wyjazd do Niemiec i Francji, gdzie z zapałem śledził najnowsze trendy malarskie.

Boris Kriukow, „Aeoroport", 1932 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Ołeksandr Bohomazow, „Ostrzenie pił", 1927 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Drugim kluczowym nazwiskiem dla ukraińskiej awangardy lat 1923–1930 jest wspomniany już Ołeksandr Bohomazow. Nowa władza jest otwarta na eksperymenty, ale już pewnych fanaberii nie akceptuje. Bohomozowowi delikatnie wyperswadowano jego wcześniej ulubiony styl kubofuturyzmu, ale zachęca się go, by malował wysiłek sowieckiego chłopa i robotnika choćby nawet w bardzo modernistycznym stylu.

Od 1930 r. akceptacja sowieckich władz dla awangardowych technik zaczyna powoli stygnąć. Na początku zimny lodowaty wiatr zaczyna wiać w Petersburgu (który przemianowano już wówczas na Leningrad) oraz w Moskwie i wielu artystów awangardowych przenosi się do Kijowa, który w tym czasie znowu stał się stolicą Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej. Kazimierz Malewicz wyczuwa nowe trendy i coraz bardziej oddala się od swoich wcześniejszych eksperymentów, tworzy w coraz bardziej realistycznym stylu.

Malarze są początkowo na dalszym planie zainteresowania sowieckiej bezpieki. NKWD najpierw osacza środowisko literatów, w którym samobójstwo pisarza Mykoły Chwylowego w maju 1933 r. jest pierwszym sygnałem zapowiadającym masowe represje. Stalinowcom szybko przestaje wystarczać odsuwanie awangardzistów od stanowisk nauczycielskich w szkołach artystycznych, zaczyna się przygotowywanie do wielkiego uderzenia we wszystkich artystów, którzy naiwnie uwierzyli w ukrainizację sztuki, która teraz nagle zyskała złowrogie miano odchylenia nacjonalistycznego. Kulminacja akcji zagłady ma miejsce 3 listopada 1937 r. Data nie jest przypadkowa – rzeź urządzono tuż przed rocznicą rewolucji październikowej. Tego jednego dnia zostaje rozstrzelanych 1111 twórców ukraińskich.

Na wystawie „W oku cyklonu" możemy zobaczyć obrazy ofiar tamtego pogromu – samego Bojczuka, a także jego uczniów – Iwana Padalki czy Wasyla Sedlara.

Po tych „krwawych dożynkach" zaczęła się równie niszczycielska akcja usuwania ze zbiorów dzieł sztuki w stylu burżuazyjnego nacjonalizmu. Tylko dzięki odwadze części pracowników ukraińskich muzeów „niesłuszne dzieła" zostały schowane w zakamarkach placówek kultury. Obrazy łatwiej mogły ocaleć od „niesłusznych" malowideł w gmachach użyteczności publicznej. Większość fresków „bojczukowców" w sanatoriach i domach kultury dokładnie zniszczono.

Tak naprawdę każdy z obrazów, który obejrzeć możemy w wiedeńskim Belvedere, mógłby opowiedzieć emocjonującą historię. W Polsce znajomość ukraińskiej awangardy jest tak samo niska jak w innych krajach Zachodu. Wiedeń jest stosunkowo niedaleko Polski i warto z takiej okazji skorzystać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „W oku cyklonu" czynna będzie do 2 czerwca w muzeum Belvedere w Wiedniu. Od 29 czerwca oglądać mogą ją widzowie Royal Academy of Art w Londynie.

eprasa.pl 0ffd589c24

Uczulony na rzeczywistość

Krzysztof Masłoń

Od dziesięciu lat nie ma z nami Marka Nowakowskiego. Pamiętne jeszcze z debiutanckiego „Tego starego złodzieja" zdanie: „Był charakterny jak mało kto" pasuje do niego jak ulał, ale ledwie dotyka istoty jego życia i twórczości

Dziesięć lat temu, 16 maja 2014 r., zmarł Marek Nowakowski, najważniejszy pisarz, jakiego poznałem w swoim życiu. Autor książek rozpoznawalnych po jednym zdaniu, po jednej frazie. Mistrz krótkiej formy prozatorskiej, opowiadań skromnych objętościowo, ale wielkich duchem, ukazujących naszą doczesność, ze wszystkimi jej uniesieniami i małościami. Tworzącymi niepowtarzalną historię Polski drugiej połowy zeszłego stulecia. Prawdziwą w każdym calu, ten pisarz bowiem świadomy był tego, że – jak powtarzał – „sztuka to nie żadna lekkość i bajeczna kraina uniesień, ale ciężka harówa, gdzie najważniejsza jest uczciwość wobec siebie i mozolne przedzieranie się przez gąszcz kłamliwych słów w poszukiwaniu tego jednego jedynego, które przylega do rzeczy jak skóra do ciała".

To poszukiwane słowo musiało być wolne. Czterdzieści lat temu, w marcu 1984 r., Nowakowski został zatrzymany i uwięziony na Rakowieckiej tylko za to, co pisał. Po protestach w kraju i za granicą komunistyczne władze ugięły się i wypuściły pisarza na mocy amnestii zadekretowanej na 40-lecie Polski Ludowej. A przecież szykowały mu proces; nie został internowany. Miał zostać skazany. W końcu jeden z ważniejszych konsultantów Służby Bezpieczeństwa o pseudonimie Olcha, skądinąd wieloletni redaktor naczelny „Literatury na Świecie", oceniał pisarstwo Marka jako „dywersyjną agitację" realizującą „w pełnym zakresie zamówienie zachodnich mocodawców na rozpętanie w Polsce bratobójczego konfliktu".

Wypuszczenie z Rakowieckiej nie oznaczało zaprzestania inwigilacji, a skądże. Prawdziwy finał całej sprawy miał miejsce dopiero po upadku komuny, i to nie od razu. Rewizja nadzwyczajna zakończona została w maju 1992 r. Postępowanie karne ostatecznie wtedy umorzono, postanowienie o amnestii uchylono, a zarzuty – „publikowania oszczerczych tekstów na temat ustroju i organów władzy oraz działania w porozumieniu z wrogimi wobec PRL ośrodkami propagandowo-dywersyjnymi" – uznano za przejaw represji politycznej. Represja ta była ceną, którą zapłacił pisarz za napisanie „na gorąco", pod wpływem dziejących się wydarzeń, „Raportu o stanie wojennym". Tego samego, który właśnie szarogęszące się od niedawna w resorcie edukacji „ministry" usunęły z listy lektur szkolnych. Niewykluczone, że w następnej kolejności z programów i podręczników historii znikną informacje o stanie wojennym, który w końcu był tak dawno. A może i w ogóle go nie było?

ROZPOZNAWANIE TERENU

Do dzisiaj uważam, że najlepsze w wielkim (także ilościowo!) dorobku Marka Nowakowskiego były opowiadania powstałe w latach 70.: „Gdzie jest droga na Walne", „Wesele raz jeszcze", „Książę Nocy". Ale i następna dekada, lata 80., zaowocowała w jego twórczości tak ciekawymi zbiorami, jak: „Zakon Kawalerów Mazowieckich", „Dwa dni z Aniołem", „Grisza, ja tiebie skażu…". A jeszcze „Wilki podchodzą ze wszystkich stron" i „Portret artysty z czasów dojrzałości" czy, nieco inny od wszystkich, „Karnawał i post".

Jedna z ostatnich jego książek, „Nekropolis" (2014), na pozór traktowała o ważnych miejscach dawnej Warszawy. Naprawdę jednak – podkreślał autor – „pisząc o »Bristolu«, opowiadam nie o nim, lecz o dwóch niezwykłych ludziach, którzy się przez ten hotel i jego kawiarnię przewinęli. Pierwszym był jedyny syn głośnego niegdyś filozofa, Wincentego Lutosławskiego, który pod przybranym w Ameryce nazwiskiem Alex Jordan przyjeżdżał tutaj i mogłem mu towarzyszyć, a drugim – polski pisarz z Nowego Jorku, przed laty zawodowy rewolucjonista, Wacław Solski.

A w Małym Spatifie, gdzie gromadzili się nie tylko aktorzy teatralni, ale i artyści estradowi, cyrkowi, tekściarze, poznałem pierwszych w moim życiu pisarzy, jak Stanisława Łukasiewicza, autora powieści »Nauczyciele«, bardzo interesującego człowieka, działającego na moją młodzieńczą wyobraźnię już samym wyglądem; był wielkim, zwalistym mężczyzną o połowy twarzy – martwej. Wyobrażałem sobie jakieś cięcie szablą, pozostałość po postrzale, a okazać się miało – koń go kopnął! To w pobliskiej »Klubowej« pierwszy raz zobaczyłem hulającego Tadeusza Mongirda; dopiero później dowiedziałem się od Pawła Hertza, że był on jednym z najlepszych, przedwojennych jeszcze, tłumaczy literatury rosyjskiej. Dla mnie, we wczesnych latach 50. to wszystko było rozpoznawaniem terenu, takim przedpolem mojej zabawy w literaturę".

eprasa.pl 0ffd589c24

Zabawy? Marek Nowakowski unikał dużych słów, nie znosił patosu, przyjmował krytykę bez zmrużenia oka, choć musiała go przecież boleć, na pewno jednak pisarstwo, to – jak mawiał z udawaną dezynwolturą – „zaczernianie papieru" było nie tylko jego zajęciem, lecz także misją. Ze swoich prywatnych i obywatelskich, publicznych obowiązków zdawał sobie sprawę.

Znał Marek wszystkich i wszyscy go znali. Był wdzięcznym słuchaczem, niektóre historie, które mu opowiadano, nabierały pod jego piórem blasku, zyskiwały nowe życie. Tak było np. z „Honolulu" (1994), rozrachunkiem z życiem byłego ambasadora PRL we Francji. Choć Nowakowski nie wymienia jego nazwiska, to wiadomo, że chodzi o Stanisława Gajewskiego, szefa dyplomacji polskiej we Francji w latach 1954–1961, którego kariera skończyła się gwałtownie po tym, jak wyjątkowo niefortunnie ulokował swoje uczucia w żonie amerykańskiego pracownika Europejskiego Dowództwa NATO.

Gajewski był świetnym gawędziarzem, o czym mogli się przekonać czytelnicy „Honolulu". W tej minipowieści są takie anegdoty, jak ta o towarzyszu Kliszce liczącym kwiaty w paryskiej ambasadzie i pouczającym: „Zbytnia rozrzutność, a to z trudu robotnika i chłopa". Kiedy indziej bohater „Honolulu" złożył wizytę w Belwederze, u ówczesnego przewodniczącego Rady Państwa, Aleksandra Zawadzkiego: „Siedział za stylowym biurkiem i zęby sobie w lusterku oglądał. Wskazał fotel i dalej ogląda. Marszczy się i stęka. Narzeka. Zęby go bolą. Ciągle kłopoty. Na ten temat potoczyła się rozmowa. Najgorsza ta trójka. Otwiera usta, palcem pokazuje sczerniały ząb. Długo o zębach. Stan mego uzębienia też go interesował.

Potem zapytał:

– A jak tam we Francji?

– Bardzo dobrze.

– To dobrze – zgodził się.

Mniej więcej tyle.

– Pogawędziliśmy sobie przyjemnie – stwierdził na koniec. – Jak będziecie znów w kraju, to wpadnijcie do mnie, towarzyszu!".

Po wyjściu ambasadora okazało się, po co naprawdę został wezwany. Szef kancelarii Zawadzkiego wręczył mu listę zakupów, które trzeba zrobić w Paryżu dla towarzysza Aleksandra: „Materiały na garnitury, letnie, zimowe, przejściowe, smokingi, koszule, krawaty, skarpety, paski, szelki, buty". Gajewski powiedział o zleceniu swemu ministrowi. Ten się wściekł: „Ambasador czy garderobiany! Ambasador nie jest od gaci". Następnego dnia, przed odlotem do Paryża, do ambasadora zadzwonił premier, prosząc, żeby „uczynił tę przysługę towarzyszowi Aleksandrowi. Olek taki zaharowany, w ogóle nie myśli o sobie. Trzeba mu pomóc".

Jak było odmówić? Cyrankiewicz obiecał też, że „co niezbędne, przyślemy wam natychmiast do Paryża". Słowo ciałem się stało. „Wkrótce do Paryża nadeszła przesyłka z Warszawy. Zalakowana, zaplombowana. Tajna. Do rąk własnych ambasadora. Otwieram i patrzę: parę milionów nowiutkich franków, paczuszki w banknotach, prosto z Banku Francji via Warszawa".

JEDEN WIELKI BAZAR

Były czasy! Ale czy należą one wyłącznie do przeszłości? Pod hasłem „Stół" w „Moim słowniku PRL-u" Marka Nowakowskiego można było przeczytać: „Dopiero pod koniec PRL-u ustanowiony został okrągły stół i obrady przy nim uważane są za kres dawnej epoki i początek demokracji. Wkrótce nazwaliśmy się III Rzeczpospolitą. Jeżeli rzeczywiście nastąpił wtedy upadek totalitarnej państwowości, to miał charakter kontrolowany i nikt z rządzących nie został przygnieciony w sposób ostateczny". W tym samym „Słowniku" znajdujemy interesujące wyjaśnienie rzadko dziś używanego słowa „plenum" (nawet SLD nie stosuje tej formy obrad): „Plenum to musi być od ruskiego brać w plen".

Pisarstwo Nowakowskiego, mimo swojej ascetyczności, a może właśnie dlatego, potrafiło przyciągnąć uwagę filmowców

Jedną z pierwszych książek napisanych przez Marka Nowakowskiego w III RP były „Strzały w motelu George" (1997), przyjęte bez entuzjazmu, choć niebawem było już jasne, że autor bezbłędnie wyczuł nastrój nadchodzących czasów. Powstawała polska mafia, rodziła się też polska klasa średnia, a temu zjawisku poświęcił pisarz inną książkę, „Homo polonicus" (1992), w której stworzył postać iście archetypowego beneficjenta III RP, Stasia Bombiaka, biznesmena ze słomą wystającą z butów. Przestrzeń, w której osobnik ten się porusza, autor detalicznie opisał następnie w zbiorze miniatur prozatorskich „Prawo prerii" (1999), ukazujących panoramę Polski jako jednego wielkiego bazaru.

Równocześnie coraz głębiej zanurzał się Nowakowski w przeszłości. To wtedy powstał bardzo cenny cykl „Powidoków" (wydawanych od 1995 r.), obrazów Warszawy, której już nie było. Współczesność stolicy pokazywał w „Opowiadaniach ulicznych" (2002), jej dzień wczorajszy w „Powidokach" właśnie, na podstawie których powstał zresztą dziewięcioodcinkowy serial telewizyjny, z Markiem w głównej roli warszawskiego cicerone. W roli tej czuł się coraz lepiej. „Miasto, czyli świat" – pisał, a to miasto znał jak własną kieszeń.

Za to po ordery, które mógłby i powinien otrzymać, choćby za walkę z komuną, nie wypinał piersi. Z politycznym kombatanctwem się nie obnosił. To zupełnie nie było w jego stylu.

MIKROSKOP LUDZKICH NIUANSÓW

Począwszy od pierwszych swoich książek (gdy w 1958 r. ukazał się „Ten stary złodziej", autor nie miał skończonych 23 lat!), Marek Nowakowski pokazywał – cytuję „Wiwisekcję powszedniości" Krzysztofa Kosińskiego – „świat ludzi, których trudno dziś zrozumieć, zaakceptować – i wobec których łatwo przyjąć postawę wyższości [...]. Twórczość Nowakowskiego ujawnia »fakty zaniedbywane i ignorowane«, do których badania wzywał Florian Znaniecki. Z niewielu innych przekazów dowiemy się tak dużo o zachowaniach, obyczajach, emocjach, gestach, rytuałach, symbolach, a więc – jak powiedziałby Erving Goffman – o »spektaklach społecznych«, jak właśnie z tomów opowiadań »Ten stary złodziej«. »Benek Kwiaciarz«, »Zapis«, »Gonitwa« czy »Mizerykordia«. Wbrew pozorom historyk nie musi ograniczać

eprasa.pl 0ffd589c24

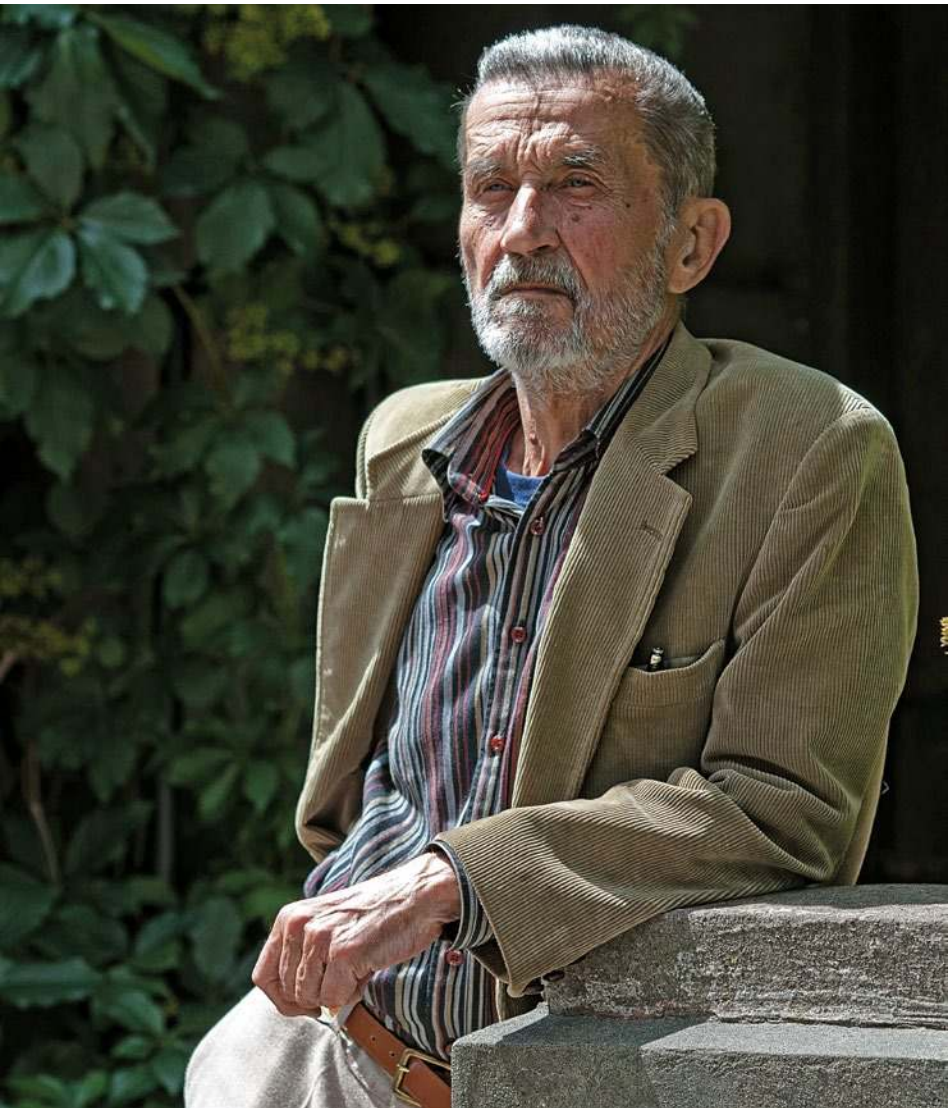

FOT. TOMASZ PACZOS/FOTONOWA

się jedynie do opisywania relacji między literatami a władzą. Każde opowiadanie Nowakowskiego to swoisty »mikroskop ludzkich niuansów«".

Miał swoich mistrzów: Józefa Mackiewicza, Izaaka Babla, Iwana Bunina. Ale rozczytywał się też w literaturze sensacyjno-przygodowej, wysoko ceniąc np. Sergiusza Piaseckiego. Z estymą wyrażał się o Julianie Wołoszynowskim i Stanisławie Rembeku. Nie krył podziwu dla pisarzy różnych czasów i stylów. Byle byli, bagatela, wielcy. Jak Ernst Junger, o którym z zachwytem pisał w opowiadaniu „Bożydar" z początku lat 90.: „Junger nie bał się śmierci. Bohater spod Verdun, Sommy, Marny, kilkanaście razy ranny. Pour le Merite, najwyższy order za odwagę. Podczas nocnego bombardowania Paryża wychodził na taras hotelu i patrzył. Spoglądał na ognistą iluminację miasta. Popijał białego szampana, wrzucał do kielicha krwiste poziomki. Sycił oczy pięknym widokiem trunku i nieba. Wyzywał kostuchę, gardził nią po pańsku. Dożył późnej starości, pisuje nadal. Wspaniały dziad, jego wysokość Junger". Fascynowali go też pisarze dotknięci jeśli nie obłędem, to przynajmniej jakimś dziwactwem. Z błyskiem w oku opowiadał o dożywającym swych dni w Hotelu Europejskim w Warszawie Kazimierzu Tetmajerze, gdzieś napisał, że przed laty chodził za Tadeuszem Peiperem, podpatrywał go. Czy chciał poznać jego tajemnicę, dotknąć jej?

Pisarstwo Nowakowskiego, mimo swojej ascetyczności, a może właśnie dlatego, potrafiło przyciągnąć uwagę filmowców. Pomimo wielu trudności, głównie natury cenzuralnej, powstało kilka filmów, dziś czasem przypominanych w TVP Kultura. Był Marek ulubionym prozaikiem Antoniego Krauzego, który na postawie jego prozy zrealizował w 1971 r. świetną „Metę", a 11 lat później „Prognozę pogody". W 1970 r. wyreżyserował „Przystań" Paweł Komorowski, w 1971 r. Zygmunt Hubner „Gonitwę", a w 1972 r. Jerzy Szwiertnia „Siedem czerwonych róż, czyli Benek Kwiaciarz o sobie i innych". Ponadto powstały krótkie filmy: „Żółw" Andrzeja Kotkowskiego (1973) i „Smak czekolady" Pawła Karpińskiego (1982). Bywała proza Nowakowskiego adaptowana na potrzeby teatru („Wesele raz jeszcze", „Kiedy ranne wstają zorze"), radia i telewizji (spektakle: „Notatki stanu wojennego", „Książę nocy" i „Psie Głowy").

JAKBY WYRWANO DUSZĘ...

Stawiał literaturze wymagania. W rozmowie z Krzysztofem Świątkiem („Okopy Świętej Trójcy", 2014) mówił: „Literatura powinna boksować się z rzeczywistością. Oczywiście, nie każda musi być taka, by nie popaść w jakiś dogmatyzm. Ale mnie taka literatura interesuje. Opisywałem codzienność PRL-u, nie uciekając się do metafor. Pokazywałem i tych, co popierali komunizm, i tych, którzy się buntowali, w różny sposób. Trzeba być uczulonym na rzeczywistość, bo inaczej człowiek się odrywa i żyje w jakiejś urojonej krainie".

Od 10 lat nie ma z nami Marka Nowakowskiego. Niechętnie przyjeżdżam do Warszawy ze swojej wioski, do której się wyniosłem już wiele lat temu. To miasto bez Niego jest puste. Jakby wyrwano duszę z tych ulic, zaułków, parków, knajp. Trzydzieści lat temu Jacek Kaczmarski zadedykował Markowi swoje „Powiśle". Od tamtej pory stolica się zmieniła, i to bardzo, pewnie wypiękniała, ale te słowa wciąż są aktualne, może nawet bardziej niż w tamtym złym czasie:

Szlag mnie trafia, psia mać, gdy pomyślę
Co zrobili z naszym Powiślem.
Dawnych kumpli nie znajdziesz tu już
Czy kto był charakterny czy tchórz.

Do samego Marka pamiętne jeszcze z debiutanckiego „Tego starego złodzieja" zdanie: „Był charakterny jak mało kto" pasuje jak ulał, ale ledwie dotyka istoty jego życia i twórczości. Bo charakterny był nie jak mało kto. Jak nikt inny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Michael Douglas jest świetnym Franklinem, nawet jeśli oryginał był bardziej korpulentny

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Amerykanin w Paryżu

Piotr Gociek

„Powszechnie uważano mnie za pysznego" – pisał w autobiografii Benjamin Franklin; „bywam apodyktyczny i raczej bezczelny". W serialu Apple TV+ zagrał go Michael Douglas

Miał odbyć swą podróż w sekrecie, po przyjeździe nie rzucać się w oczy, a misję wypełniać w cieniu. Nic z tego: wszyscy wiedzieli, kim był Benjamin Franklin, i wszyscy chcieli go powitać, od rozemocjonowanych gapiów, dla których był „wynalazcą elektryczności", do kolegów po fachu – był to czas, gdy eksperymentujących z prądem naukowców nazywano we Francji „franklinitami".

Pochwalmy od razu: Michael Douglas równie godnie prezentuje się zarówno we fraku pośrodku francuskich salonów, jak i w futrzanej czapie, udając dzikiego człowieka z egzotycznej Ameryki. Tak czy inaczej jest świetnym Franklinem, nawet jeśli oryginał był bardziej korpulentny. Widzimy go u zmierzchu długiego i pełnego sukcesów życia: miał ponad 70 lat, gdy przybył w 1776 r. do Paryża, by walczyć o poparcie dla zbuntowanych kolonii w wojnie z Wielką Brytanią. Łatwo nie było. O sojusz militarny zabiegał dwa lata. O podpisanie traktatu kończącego wojnę pełnym uznaniem Stanów Zjednoczonych – lat osiem.

„Dla Francuzów ten nielękający się piorunów naukowiec i trybun wolności symbolizował jednocześnie romantyczną wolność pogranicza, której piewcą był Rousseau, oraz oświeceniową potęgę rozumu sławioną przez Woltera. Przez ponad osiem lat miał odgrywać swe role doskonale [...]. Los amerykańskiej rewolucji znalazł się w jego rękach w równym stopniu, jak w rękach Washingtona i innych" – pisał Walter Isaacson w obszernej biografii Franklina. Gdyby chcieć o amerykańskim drukarzu, naukowcu i polityku nakręcić serial biograficzny, trzeba byłoby zapewne kilku sezonów. Ośmioodcinkowy serial Apple TV+ skupia się więc tylko na misji francuskiej.

Inspirowany jest książką Stacy Schiff „A Great Improvisation: Franklin, France, and the Birth of America". Autorkę znamy w Polsce m.in. z biografii Kleopatry i książki o procesie czarownic w Salem. Za książkę o żonie Nabokova otrzymała w 2000 r. Nagrodę Pulitzera.

ROZMOWY TAJNE I PÓŁTAJNE

Za robotę reżyserską odpowiada Tim Van Patten, doświadczony twórca seriali

eprasa.pl 0ffd589c24

SERIAL APPLE TV+ „FRANKLIN" USA 2024

premium, człowiek, który ma w dorobku odcinki tak prestiżowych produkcji jak „Rodzina Soprano", „Zakazane imperium", „Gra o tron", „Pacyfik" czy ostatnio „Władcy przestworzy". Zadanie miał trudne, bo z założenia serial o paryskich wysiłkach Franklina to opowieść, w której niewiele się dzieje – niewiele, jeśli idzie o wymogi wartkiej narracji. Wszystko decyduje się w tajnych i półtajnych rozmowach, gdzieś między naradami w zaciszu gabinetów a kalkulacjami ministrów. Wypadało ubarwić intrygę: pojawiają się więc brytyjscy agenci tropiący na nabrzeżach Hawru ładunki broni dla Ameryki, wieści zza Atlantyku trafiają do widza nie tylko w formie listów do Franklina czy prasowych doniesień, lecz także przez inscenizacje scen bitewnych (raczej skromne). Wielce przydatna okazuje się tu figura markiza de Lafayette, francuskiego szlachcica, który pośpieszył do Stanów z bronią w ręku, by walczyć o wolność naszą i waszą.

Gilberta du Motier, markiza de Lafayette, gra Théodore Pellerin i jest to jeden z wielu trafnych wyborów obsadowych. Aby uniknąć hollywoodyzacji, wedle której nawet kosmici mówią po angielsku, role Francuzów obsadzono Francuzami; świetny jest Assaad Bouab jako Pierre Beaumarchais – nieoficjalny łącznik między Franklinem a ministrem spraw zagranicznych Francji, którym jest wówczas Charles Gravier, hrabia Vergennes (jego gra z kolei Thibault de Montalembert). Po stronie Anglosasów znajdziemy m.in. Daniela Maysa jako Edwarda Bancrofta (współpracownika Franklina, który brał po cichu drugą pensję od Anglików) czy Johna Hollingwortha jako brytyjskiego ambasadora w Paryżu – lorda Stormonta.

Nie tylko polityka zajmowała Benjamina Franklina w paryskich salonach. Skoro Francja, to kobiety. Amerykański naukowiec i polityk jest już wówczas wdowcem, jego dorastający wnuk zaś, William Temple Franklin, przyjeżdża wraz z nim do Paryża, aby odgrywać rolę sekretarza, i sam przeżywa miłosne zauroczenia. (Williama gra w serialu Noah Jupe, znany m.in. z filmu „Ciche miejsce"). Benjamin za młodu dyskutował gorąco z kwakrami i układał własne modlitwy, a jako mężczyzna dwudziestoparoletni stawiał sobie za cel samodoskonalenie i „osiągnięcie moralnej doskonałości". W zestawie „13 cnót według Franklina" (zachowała się, gdyż zapisał ją w swej „Autobiografii") pisał: „12. Niewinność – rzadko zaspokajaj żądze cielesne, chyba że dla zdrowia lub by spłodzić potomstwo, nigdy w przypływie głupoty, słabości lub na szkodę twojego lub cudzego spokoju albo reputacji".

Tymczasem reputację ulubieńca kobiet zyskał Franklin w Paryżu bardzo szybko, jednak Issacson w biografii wyjaśnia: „Wśród krążących o nim opinii była też legenda starego lubieżnika, który miał wiele kochanek pośród paryskich dam. Rzeczywistość jednakże była cokolwiek mniej pikantna. Jego sławne przyjaciółki były kochankami jedynie w sensie umysłu i duszy. Jednakże nie czyniło to bynajmniej jego relacji z nimi mniej interesującymi". Najważniejszą z nich, panią Brillon, gra w serialu Ludivine Sagnier; z kolei w prowadzącą znany salon paryski Madame Helvétius wciela się Jeanne Balibar.

Frywolność i popularność Benjamina Franklina zostają poddane ciężkiej próbie, gdy do Paryża przybywa inny ojciec założyciel USA – John Adams. Panowie bardzo się różnili. Walter Isaacson pisze: „Obaj byli bardzo inteligentni, jednak poza tym ich osobowości były zupełnie różne. Adams był nieustępliwy, elokwentny i swarliwy, Franklin czarujący, opanowany i kokieteryjny. Adams miał surowe zasady moralne i styl życia, Franklin słynął z zamiłowania do rozrywek […]. Adams czuł się dobrze w konfrontacjach z ludźmi, podczas gdy Franklin wolał ich uwodzić. To samo dotyczyło ich stosunku do państw".

Uważni widzowie seriali historycznych uniosą w tym momencie głowę, bo coś im się przypomni – oczywiście widzieliśmy już to starcie! Wszak jednym z najciekawszych historycznych seriali HBO był „John Adams" (2008), w którym tytułową rolę zagrał Paul Giamatti. Adams w jednym z odcinków przybył do Paryża, by wesprzeć wysiłki dyplomatyczne Franklina, granego przez Toma Wilkinsona. Surowym okiem oceniał dekadencję francuskiego dworu, nie podobało mu się też, jak bardzo do lokalnych obyczajów przywykł Franklin. W serialu „Franklin" obserwujemy sytuację z przeciwnego punktu widzenia, to bohater grany przez Michaela Douglasa krytycznie patrzy na sztywnego i zasadniczego Adamsa, którego tym razem zagrał Eddie Marsan.

BARDZO POLSKA OPOWIEŚĆ

Produkcji Apple'a brakuje rozmachu „Johna Adamsa", bo serial HBO był właściwie opowieścią o rewolucji amerykańskiej i powstaniu USA, obejmującą kilka dekad. „Franklinowi" bliżej do „Jeffersona w Paryżu" (1995), innej opowieści o obcym w obcym kraju, czyli o republikańskich sympatiach i francuskich przygodach kolejnego z ojców USA, Thomasa Jeffersona (który zresztą zastąpił Franklina na placówce w Paryżu). Film Jamesa Ivory'ego był bardziej melodramatyczny i pełen dysput o liberté et égalité, serial Tima Van Pattena to po prostu okazja, by Michael Douglas mógł zabłysnąć. I dobrze, finał starań Franklina jest dobrze znany, nie oglądamy serialu Apple'a dla jakichś niesamowitych rewelacji i sensacji, tylko aby z przyjemnością popatrzeć na świetną obsadę w przyzwoicie opowiedzianej historii.

Jeszcze na jedną rzecz warto zwrócić uwagę, zwłaszcza że wciąż zmagamy się z niemocą, jeśli chodzi o polskie kino historyczne. „Franklin" jest w istocie opowieścią bardzo polską, tyle że nasze historie dużo rzadziej miewały szczęśliwe zakończenia. Nasi politycy i artyści ładnych kilku pokoleń oddawali się przecież trudnej sztuce zabiegania o poparcie dla polskiej sprawy na cudzych dworach. „Franklin" pokazuje, że przykuć uwagę i opowiadać o sławnych rodakach można i bez inwestycji w sceny batalistyczne (na które zawsze zabraknie nam pieniędzy). To może być kino gadane, byle z ciekawymi postaciami i dobrym scenariuszem, od razu przychodzą mi na myśl – jako potencjalny temat – wysiłki Paderewskiego i Dmowskiego. „Franklin" jest opowieścią o późnej starości ekscentrycznego staruszka na obczyźnie, ale jednocześnie to przypomnienie, że nawet kiedy jeszcze w pełni nie istniały, Stany Zjednoczone były języczkiem u wagi międzynarodowej polityki. Tak przecież bywało i z Polską. Czemu nie opowiadać o niej w ten sposób?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Błahe jest piękne

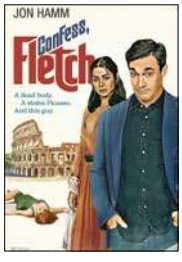

★★★★★★
REŻ. GREG MOTTOLA
„PRZYZNAJ SIĘ, FLETCH" („CONFESS, FLETCH")
USA 2022
wyst. Jon Hamm, Roy Wood Jr., Lorenza Izzo, dystr. Netflix

Fletch, bohater serii powieści Gregory'ego Mcdonalda, powraca. Kiedyś grał go Chevy Chase (w dwóch filmach), dziś w rolę detektywa amatora (i eksdziennikarza śledczego) wciela się Jon Hamm. I czyni to znakomicie, a kilka scen, które wskrzeszają duet znany z serialu „Mad Men" (naczelnego bostońskiego brukowca zagrał tu bowiem John Slattery, którego pamiętamy z roli Rogera Sterlinga), to czyste złoto. Zresztą każda decyzja obsadowa okazuje się trafiona i każdy ma okazję, by zabłysnąć. To kluczowe, gdy mamy do czynienia z bezpretensjonalną komedią kryminalną.

„Przyznaj się, Fletch" to film, który niczego nie udaje: ma być lekką rozrywką w dawnym stylu i taki właśnie jest. Dostajemy więc zręczny scenariusz, charyzmatycznego czarusia jako głównego bohatera i masę przezabawnych postaci wokół niego. Prym wiodą panie: Marcia Gay Harden jako Contessa, dziedziczka fortuny włoskiego przemysłowca i kolekcjonera sztuki, oraz Lorenza Izzo jako Angela de Grassi, w której Fletch jest zadurzony. W roli ekscentrycznej sąsiadki docenić wypada Annie Mumolo (ma ledwie parę scen i kradnie je wszystkie), a wpływowym handlarzem dziełami sztuki jest tu nie kto inny, jak Kyle MacLachlan.

Zagadka kryminalna do wyjaśnienia jest trzyczęściowa: kto porwał hrabiego de Grassiego i dlaczego chce okupu w postaci płótna Picassa? Gdzie właściwie znajduje się cenny obraz? No i wreszcie: kto zabił dziewczynę w bostońskim mieszkaniu wynajmowanym przez Fletcha, próbując go zresztą wrobić w to morderstwo?

Film Mottoli błąkał się od jakiegoś czasu po rozmaitych serwisach VOD, teraz ma szansę na większą publiczność, bo trafił do Netflixa, który w Polsce jest zdecydowanym liderem (ponad jedna trzecia rynku). Wart jest dostrzeżenia, bo to rzadkość: rozrywka lekka i inteligentna, bez przemocy, ze świetnymi dialogami. Trochę farsa, trochę pastisz; a zarazem coś w duchu kryminalnej prozy takich tuzów jak Lawrence Block czy Elmore Leonarda. A prowadzący oficjalne śledztwo detektywi są równie łatwi do polubienia jak para Rosewood – Taggart w „Gliniarzu z Beverly Hills". No i przede wszystkim Jon Hamm daje radę. Jego Fletch jest zarazem pechowcem i szczęściarzem, osobnikiem jednocześnie sympatycznym i aroganckim, bezczelnym i wrażliwym. Ale nigdy nie traci rezonu. ©℗

NOWE SERIALE: „SYMPATYK"

Park Chan-wook w wersji serialowej (nie po raz pierwszy, ma w dorobku świetną serię „Mała doboszka" według Johna Le Carre). Tym razem reżyser „Pani Zemsty" i „Służącej" zabrał się do ekranizacji nagrodzonej Pulitzerem powieści Vieta Thanh Nguyena. Oficer wywiadu Wietnamu Północnego (Hoa Xuande) po upadku Sajgonu trafia do USA, gdzie uczy się żyć jako przykładny Amerykanin, ale nie zaprzestaje szpiegostwa dla dawnych mocodawców. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***miniserial „Sympatyk" („The Sympathizer"), USA/Kanada 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniseria* ***„Mroczna materia"*** *(„Dark Matter"), USA 2024* (tv+)
- *reż. Jerry Seinfeld* ***„Bez lukru"*** *(„Unfrosted"), USA 2024*
- *miniseria* ***„Dżentelmen w Moskwie"*** *(„Gentleman in Moscow"), USA 2024* (SHOWTIME)

eprasa.pl 0ffd589c24

KINO

Polowanie na duchy

Japończycy, okupując przez 35 lat Koreę, dopuścili się wielu bezeceństw i nie chcą nawet za to przeprosić. Z odsieczą przychodzi kino – najbardziej terapeutyczna ze sztuk. W „Duchu" cesarskie służby, choć dwoją się i troją, nie potrafią powstrzymać miejskiej partyzantki, która zagięła parol na nowego gubernatora Seulu. W ojczyźnie Hansa Klossa i „wojennych dziewczyn" akcje Korpusu Cieni powinny wzbudzać odruchową sympatię (jeśli nie entuzjazm). Tymczasem widownia sprawiała wrażenie skonfundowanej. Może zaskoczył ją eklektyzm, balansujący na granicy pastiszu? Twórcy „Ducha" do obowiązkowych eksplozji, strzelanek, naparzanek, ucieczek, pościgów i turbopatriotyzmu dodali bowiem kilka przypraw, zmieniających smak potrawy. Fakt, że akcja rozgrywa się w 1933 r., posłużył jako pretekst do złożenia hołdu najjaśniejszej wówczas gwieździe Hollywood. Androgyniczny styl Marlene Dietrich, maniera, z którą śpiewa „Das Lied ist aus", a nawet sposób, w jaki pali papierosy – wszystko to jest obiektem szczerej adoracji. Oprócz sadyzmu mamy więc fetyszyzm, apoteozę nikotynowego nałogu tudzież wojujący feminizm rodem z „Kill Billa" i „Lary Croft". Ów kulturowy miszmasz do starszaków raczej nie przemówi. Cała nadzieja w młodych fanach mangi oraz K-popu. Oni rozumieją azjatyckie poczucie honoru i humoru. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. HAE-YEONG LEE
„DUCH" („YURYEONG")
KOREA POŁUDNIOWA 2023

wyst. Ha-nui Lee, So-dam Park, Kyung-gu Sol

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KŁOPOTY Z PAMIĘCIĄ

MOJEKINO.PL

Remigiusz Mróz wciąż czeka na telefon z Hollywood, tymczasem ekranizacji doczekała się debiutancka powieść Rumuna, władającego językiem angielskim. E.O. Chirovici finansowo na pewno skorzystał, ale musiał przełknąć gorzką pigułkę. Książka o potędze konfabulacji i pożytkach z zapominania przepoczwarzyła się bowiem w tuzinkowy kryminał. Scenarzyści porąbali maczetą fabułę łącznie z zakończeniem. Z trzech narratorów ostał się jeden: były policjant, cierpiący na chorobę Alzheimera, który wraca do śledztwa sprzed lat. Czy sprawa zabójstwa naukowca celebryty ma drugie dno, a domniemany morderca jest niewinny? Mózg potrzebuje stymulacji, nawet gdy jego właściciel tryska zdrowiem. Russell Crowe, 20 lat i 50 kg po „Gladiatorze" i „Pięknym umyśle" aktorskiej charyzmy nie zatracił. W spreparowanej „Księdze luster" brakuje mu jednak tła. Wątpię, by za rok ktoś o tym filmie jeszcze pamiętał. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆
REŻ. ADAM COOPER
„KSIĘGA LUSTER" („SLEEPING DOGS")
USA/AUSTRALIA 2023

wyst. Russell Crowe, Karen Gillan, Marton Csokas

PŁONĄ GÓRY, PŁONĄ LASY

NINATEKA

Dwaj sfrustrowani panowie w poszukiwaniu sensu życia. „Odwet", przypomniany w ramach cyklu „Kino polskie od nowa", jest dość typowy dla epoki, w której powstał. Promuje anarchiczny bunt i rozprawę z „parszywym realizmem". Pewnie dlatego Niemczyk i Wilhelmi grają kolegów ze studiów, choć widać, że jest między nimi 13 lat różnicy. Niestety, jak wiemy, wiek męski to wiek klęski. Pieniny nie takich chojraków już widziały. Furię inżynierów, którym PRL tudzież nieuświadomiony narcyzm złamały kręgosłupy (moralne), również przetrwają. Film Zygadły może być przykładem, na jakie manowce może sprowadzić idea kina autorskiego, lecz dla fanów twórczości Michała Koterskiego to prawdziwa uczta filmowa. Dziś, podobnie jak w 1983 r., większe wrażenie od cytatów z Błoka i Leśmiana robią złote myśli w rodzaju: „poglądy są daremne" czy „odwołujemy zaćmienie Słońca". ©℗ ***Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆
REŻ. TOMASZ ZYGADŁO
„ODWET"
POLSKA 2023

wyst. Roman Wilhelmi, Leon Niemczyk, Elżbieta Czyżewska

GRA TYGODNIA: „HORIZON FORBIDDEN WEST – EDYCJA KOMPLETNA" (PC)

Kolejny hit z PlayStation trafił na PC i jest to port bardzo udany. Na odpowiednio mocnej maszynie wygląda fenomenalnie, a i na nieco mniej topowej można stabilnie i bezstresowo pograć. To druga część gry z otwartym światem i jej bezpośrednia kontynuacja. Znów wcielamy się w Alloy, która staje przed nowym zagrożeniem. Bezpieczna kontynuacja części pierwszej, bez rewolucji, za to z ewolucją w dobrym kierunku. W pecetowej edycji dostajemy również dodatek „Burning Shores".

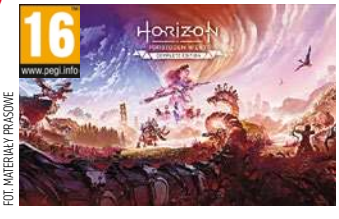

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★☆

Zdecydowanie warta sprawdzenia. ©℗ ***Radosław Wojtas***

- ***Gatunek:*** *akcji, TPP*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Guerrilla Games/Nixxes Software; Sony*

eprasa.pl 0ffd589c24

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Homer, Mickiewicz, Libera

Najwyższy podziw budzą ostatnie dokonania Antoniego Libery w dziedzinie przekładu. Po świetnych tłumaczeniach Sofoklesa, Szekspira i Racine'a otrzymaliśmy od niego dar wyjątkowy: przekład „Odysei" Homera. Obok „Iliady" tego samego autora żyjącego w VIII w. przed Chrystusem epos ten to jedno z absolutnie fundamentalnych dzieł dla naszej kultury i cywilizacji.

Do tej pory w całości „Odyseja" przełożona została na polski siedmiokrotnie. Pierwszy raz zrobił to w 1815 r. Jacek Idzi Przybylski – trzynastozgłoskowcem („Odyssea Homerowska ku czci Ulissa Laertowicza z Itaki"). W XIX w. uczynili to jeszcze Klemens Żakowski – prozą i, bardzo pięknie, Lucjan Siemieński – trzynastozgłoskowcem rymowym. Dwudziestowieczne przekłady arcydzieła Homera wyszły spod piór: Józefa Wittlina – heksametrem swobodnym, Stanisława Mleczki – heksametrem i Jana Parandowskiego – prozą. Ten ostatni przekład jest z pewnością, dzięki nauczaniu szkolnemu, najbardziej popularny. Wreszcie całkiem niedawno, bo w roku 2020, przyswoił polszczyźnie „Odyseję" Robert R. Chodkowski – heksametrem.

Do wymogów naszego języka przystosowali ów heksametr na początku XIX stulecia nauczyciel Chopina, kompozytor Józef Elsner i filolog Józef Królikowski. Ich projekt zastosował w „Konradzie Wallenrodzie", a dokładnie w jego części – „Pieśni Wajdeloty" – Adam Mickiewicz, nadając mu – pisze w słowie od tłumacza Antoni Libera – „arcydzielną formę".

Mickiewicz był przekonany o konieczności rytmizacji eposu, który na słuchacza (czytelnika) winien oddziaływać i treścią, i formą, wprowadzając go w rodzaj transu – stan „wyższego nastrojenia". Jeśli tak, to dlaczego – pyta Antoni Libera – „»Odyseja« nie istnieje dotychczas w formie czystego heksametru polskiego, który został ukształtowany przez bądź co bądź największego polskiego poetę. Zostawił on w końcu wyraźny wzór do naśladowania. Może właśnie po to, by na jego podstawie opracować na nowo starego Homera?". No i wiemy już, dlaczego tłumacz podjął się swej – co tu dużo mówić – gigantycznej pracy i jakimi zasadami kierował się w niej.

W porównaniu z innymi przekładami – powiada w posłowiu PIW-owskiej edycji na nowo spolszczonej „Odysei" Ryszard Legutko – „przekład Libery charakteryzuje się niezwykłą płynnością i prostotą. Jego polski heksametr jest klarowny, niemal muzyczny, co nie tylko ułatwia czytanie, lecz także dostarcza lekturze dodatkowej przyjemności. Zważywszy, że poezja Homera była poezją mówioną czy śpiewaną, wersja Libery najbliższa jest takiemu przekazowi. Dostaliśmy więc tekst o wielkiej urodzie. Ale też dzięki czytelności i prostocie bardziej przybliżający nam świat Homera i pozwalający nieco lepiej rozświetlić jego tajemnice. A jest to rzeczywiście świat pełen tajemnic, nadal zaciekawiający historyków, filologów i filozofów".

Ale też ta odczytana na nowo „Odyseja" powinna trafić także do nieprofesjonalistów. Bez uciążliwego archaizowania i stylizacji na antyk stała się, po prostu, lepiej zrozumiała. Wyraźniej postrzegamy też zależność działań bohaterów eposu od woli bogów. Zwraca zresztą na to uwagę autor posłowia, podkreślając, że nawet sam Odyseusz, uchodzący za kogoś wybitnie inteligentnego i pomysłowego, w istocie realizuje wcześniej podjęte boskie decyzje. Jak czytamy, sławny koń trojański nie powstałby, gdyby nie pomoc Ateny. Podobnie nie oswobodziłby się Odys z czarów nimfy Kirke ani nie pokonałby hordy zalotników Penelopy, urządzając im krwawą rzeź. I to jaką!

Wtedy Pallas Atena
Z wysokości powały tchnęła
śmiertelnym oddechem
W kierunku zalotników, wzbudzając
w nich panikę.
Rozbiegli się na strony jak stado
krzepkich byków,
Gdy zlatują się gzy i zaczynają je kąsać
Późną wiosną i latem.
Jak krzywodziobe sępy
Spadające znienacka z podniebnych
wysokości
Na pospolite ptactwo fruwające
poniżej,
Które kryje się wtedy desperacko na
ziemi,
Lecz niestety daremnie, bo przed
sokolim ich okiem
I drapieżnymi szponami po prostu
ucieczki nie ma –
Tak właśnie boski Odys z trójką
swych towarzyszy
Spadali na zalotników i równo kładli
ich trupem.
Słychać było jedynie trzask
rozpłatanych czaszek
I jęki konających, a podłoga i ściany
Spływały świeżą krwią.

Jeszcze rodziny pomordowanych pod wodzą Eupejtesa będą usiłowały szukać pomsty, ale obdarzony przez Atenę niezwykłą mocą ojciec Odysa przewierci włócznią czaszkę niedoszłego mściciela, następnie Odys z Telemachem z zapałem zaczną wybijać resztę buntowników, kolejną masakrę wstrzyma jednak sama córka Zeusa Gromowladnego, przerywając bój i ustanawiając „najpierw rozejm między stronami, a potem – święte przymierze".

Nie ma to jak mieć bogów po swojej stronie! ©℗

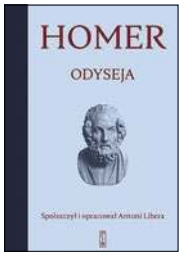

★★★★★☆

HOMER „ODYSEJA" SPOLSZCZYŁ I OPRACOWAŁ: ANTONI LIBERA, PIW, WARSZAWA 2024

eprasa.pl 0ffd589c24

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

I kto tu świnia?

To nie kontynuacja, to nie parodia – to akt destrukcji. Zamach w dwóch częściach, na dzieło i na jego twórcę. „Szansa Snowballa" reklamowana jest przez polskiego wydawcę jako „błyskotliwa satyra polityczna", która „z humorem ukazuje zadziwiające perypetie". Nie dajcie się nabrać, to proza przyduszona polityczną perswazją. Proza, która tylko udaje ciąg dalszy „Folwarku zwierzęcego" Orwella.

Niby wszystko się zgadza, dekoracje te same. Po śmierci knura Napoleona nastaje czas odwilży, a nawet pierestrojki. Na farmę wraca wygnany wcześniej Chyży (w oryginale Snowball). Czas na komunizm wojenny? (Wszak była to postać wzorowana na Trockim). Otóż nie, Snowball jest teraz kapitalistą i taki też ustrój będzie zaprowadzał. Dawne przykazania dla folwarcznych zwierząt (łącznie ze słynnym „wszystkie zwierzęta są równe, ale niektóre są równiejsze niż inne") zostają zastąpione nowym: „wszystkie zwierzęta rodzą się równe – to, czym się potem stają, jest wyłącznie ich sprawą".

Nadchodzą czasy prosperity i rozwoju, a właściwie moralnej degrengolady i destrukcji. Zwierzęta kapitaliści niszczą środowisko naturalne, wprowadzają segregację rasową (wobec przybyszów z innych farm, którzy też chcieliby załapać się na cud gospodarczy) i ciężko pracują na nienawiść, którą żywić będą wobec nich okpione ofiary. W posłowiu James Sherry broni autora, wskazując, że krytyka kapitalizmu w książeczce Johna Reeda nie oznacza pochwały socjalizmu, że twórca „Szansy Snowballa" jedynie wskazuje na wypaczenia wolnego rynku. Cóż, odpowiem, robi to w sposób ociekający nienawiścią do kapitalizmu jako takiego – kto przeczyta, od razu to dostrzeże. W dodatku satyra Orwella była finezyjna i autentycznie zabawna (choć i przerażająca), a Reed oferuje nam rzecz przyciężko napisaną.

Co do zamachu na reputację Orwella – we wstępie Alexander Cockburne (radykalny lewicowiec, syn brytyjskiego komunisty Clauda Cockburne'a) narzeka, że autor „Folwarku zwierzęcego" sam był świnią, gdyż pod koniec informował sekretnie brytyjskie władze o tym, kogo uważa za kryptokomunistę i potencjalne zagrożenie dla Wielkiej Brytanii. „Człowiek sumienia okazuje się mięczakiem" – rozpacza Cockburne i wyzywa nieżyjącego Orwella od łasic i donosicieli. Nie pierwszy to raz, kiedy tzw. postępowa lewica za największe zło uznaje akt obywatelskiej troski o bezpieczeństwo własnego kraju. ©®

★★☆☆☆☆
JOHN REED
„SZANSA SNOWBALLA"
BELLONA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Tytuł przewrotny, bo nie chodzi o rozwój duchowy, lecz o 101 wycieczek z dreszczykiem w miejsca, gdzie straszy. W sam raz na majówkę. Znakomite ilustracje Dominiki Czerniak-Chojnackiej.

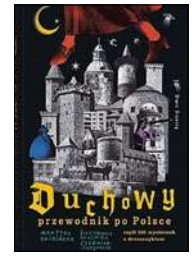

MARTYNA SKIBIŃSKA
„DUCHOWY PRZEWODNIK PO POLSCE"
DWIE SIOSTRY

Wydane po śmierci autora „Pod wulkanem" zapiski meksykańskie przekute w powieść o triadzie: alkohol, trauma, pisarstwo. Wydana wcześniej jako „Ciemny jak grób, w którym spoczywa mój przyjaciel".

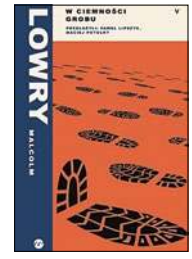

MALCOLM LOWRY
„W CIEMNOŚCI GROBU"
WIELKA LITERA

Pamiętamy ją ze słynnej powieści Zofii Kossak „Król trędowaty" – Sybilla, siostra króla Baldwina IV, władczyni Jerozolimy przeciwstawiająca się Saladynowi. Fascynująca biografia i obraz burzliwych czasów.

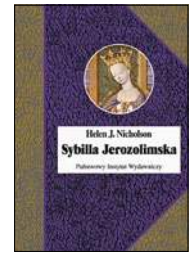

HELEN J. NICHOLSON
„SYBILLA JEROZOLIMSKA"
PIW

Dwutomowy zbiór oryginalnych opowieści i esejów o Conanie Barbarzyńcy. Przekład i posłowie: Tomasz Nowak (w tomie drugim – Dariusz Michalik). Wiele było kontynuacji, ale styl Howarda jest wciąż nie do podrobienia.

recenzuje Piotr Gociek

ROBERT E. HOWARD
„CONAN", KSIĘGI 1 I 2
VESPER

KOMIKS TYGODNIA: „UNORDINARY"

Nie jest łatwo być osobnikiem bez talentów w świecie, gdzie niemal każdy dysponuje jakąś niezwykłą mocą. Dobrze chociaż, że jest to też świat, w którym złamaną rękę można uzdrowić w trzy godziny. Liceum Wellston okaże się miejscem dużo ciekawszym, niż mogłoby się wydawać. Pierwszy tom nowej mangi z popularnej południowokoreańskiej platformy Webtoon – udana produkcja young adult.

Piotr Gociek

URU-CHAN
„UNORDINARY"
HARPERKIDS
2024

eprasa.pl 0ffd589c24

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Gruzińska opowieść

Panorama sztuki gruzińskiej „Złote runo – sztuka Gruzji" jest – jak podkreśla Muzeum Narodowe w Krakowie – pierwszą nie tylko w Polsce, lecz także w Europie tak wszechstronną, przekrojową i obszerną wystawą sztuki gruzińskiej. Opowieść zaczyna się od najstarszych śladów działalności człowieka, kończy się na awangardzie XX w. A po drodze są m.in. kamienne stele wczesnego średniowiecza, średniowieczne kodeksy iluminowane, nowożytne stroje, militaria, pejzaże Tbilisi i malarstwo Pirosmaniego.

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

„Podejmujemy wyzwanie zaprezentowania Państwu panoramy sztuki różnorodnej, fascynującej i bogatej, a zarazem podejmującej szereg kwestii problemowych, przybliżających specyfikę gruzińskiego języka i jego alfabetu, związanej z nim przebogatej literatury, muzyki, jak również rozkwit wspaniałej kultury średniowiecznej – piszą organizatorzy. – Zależy nam na tym, by zaprezentować wielkie momenty w historii Gruzji […]."

Dla podkreślenia polsko-gruzińskich więzi uwzględniono wkład Polaków, którzy pracowali i tworzyli w Gruzji. Zarówno tych, którzy trafili tam w wyniku swojej suwerennej decyzji, jak i tych, którzy nie mieli innego wyboru. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Narodowe w Krakowie***
KIEDY? ***do 15 września***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHAGALL W SANOKU

Siedemnaście litografii i dwie akwaforty Marca Chagalla składają się na wystawę „Sceny Biblijne". Malarz i grafik żydowskiego pochodzenia uprawiał także rzeźbę i ceramikę, projektował witraże i freski. Od wczesnej młodości zafascynowany Biblią, często nawiązujący do niej w swojej twórczości, także do Nowego Testamentu. Prace na sanockiej wystawie pogrupowano według czterech tematów: Anioły, Mojżesz z tablicami, Prorocy i Królowie. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Historyczne w Sanoku***
KIEDY? ***do 29 maja***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czarodziejskie flety

Shabaka Hutchings przyczynił się w ostatnim dziesięcioleciu do rozkwitu brytyjskiej sceny jazzowej. Tuż przed swoimi 40. urodzinami pożegnał się z grą na saksofonie. Obecnie jest zafascynowany drewnianymi i bambusowymi fletami. Tak egzotycznymi jak japoński shakuhachi, andyjski quena, słowiański svirel i brazylijski pífano. Hutchings na saksofonie wygrywał zaciekle „całego siebie". Teraz dzięki fletom ma zwrócić się ku swemu wnętrzu.

Shabaka zaprosił do studia 14 muzyków, wokalistek i raperów, głównie reprezentujących tzw. nowy jazz. Zarejestrowali 11 kompozycji. U podstaw nagrań są dialogi między fletami, do których dołączają harfy, chórki oraz raperzy. Ci ostatni deklamują natchnione strofy. Nie ma tu niczego burzliwego czy ognistego. Za to słychać dążenie artysty do doskonałości twórczej jako praktyki o wymiarze duchowym. Jest to spotkanie jazzu z estetyką New Age, które zyskuje coraz większe uznanie jako ambient jazz. W utworach można odnaleźć echa poszukiwań Dona Cherry'ego czy Alice Coltrane z lat 70., a także wpływy nagrań Björk czy Joanny Newsom. W nagraniu „Breathing" Hutchings na chwilę wraca do saksofonu, by zaprosić na ostatnie „wydychanie" ognia. W kończącej album kompozycji „Song of the Motherland" ojciec Shabaki, Anum Iyapo, deklamuje napisaną przez siebie pieśń pochwalną na cześć czarnej rasy. ©℗

★★★★★☆

SHABAKA HUTCHINGS
„PERCEIVE ITS BEAUTY, ACKNOWLEDGE ITS GRACE"
IMPULSE!

★★★★★☆

JULIA HOLTER
„SOMETHING IN THE ROOM SHE MOVES"
DOMINO

Album jest poświęcony narodzinom, śmierci i kreatywności. „Jest coś w próżni / I nie ma niczego w salonie" – śpiewa w utworze, który tak jak album nosi tytuł piosenki Beatlesów.

★★★☆☆☆

TAYLOR SWIFT
„THE TORTURED POETS DEPARTMENT"
REPUBLIC

Album ustanowił rekord w liczbie pobrań z platformy Spotify w ciągu jednego dnia. Ceny miejsc hotelowych w Warszawie w dniach jej sierpniowych koncertów wystrzeliły w kosmos. Natomiast jej najnowszy album jest jeszcze bardziej banalnie nijaki od poprzedniego.

eprasa.pl 0ffd589c24

Teatralny „Dekalog” w Lublinie

FOT. MACIEJ RUKASZ

Grzegorz Kondrasiuk

Pałyga z Wittem-Michałowskim są tego rodzaju prowokatorami, których szanować trzeba

Lubelscy teatromani już to wiedzą, a reszcie polskiej widowni należy to przypominać: w miejskim Centrum Kultury – a więc w miejscu, które nie ma słówka „teatr” w nazwie – od zawsze zdarzają się mocne rzeczy teatralne. To miejsce z dużymi tradycjami offowymi, czy – jak to się wcześniej określało – alternatywnymi, gdzie cały czas pracuje grupa interesujących twórców. Pozostają nieco na uboczu obecnego ogólnopolskiego mainstreamu. Szkoda – ponieważ są to nie tylko zawodowcy, lecz także artyści, którzy mają sporo do powiedzenia. Chodzą własnymi ścieżkami, a czasem podrzucają i opracowują tematy, o których centra teatralnej Polski nie wiedzą, wiedzieć nie chcą albo dopiero się dowiadują.

Od roku 2008 istnieje w lubelskim CK założona przez Łukasza Witta-Michałowskiego Scena InVitro. Od jej pierwszych premier śledzę dokonanie Sceny, kiedyś z bardzo bliskiej (uczciwie przyznaję), a dziś z większej odległości. InVitro za dwa lata osiągnie wiek pełnoletni, co dla teatru poza systemem oficjalnej instytucji repertuarowej jest naprawdę dużym osiągnięciem. InVitro ma swój styl, Witt-Michałowski udzielił tej placówce własnego charakteru, w końcu jest jej głównym (choć nie jedynym) reżyserem. Przede wszystkim lubi tereny nieznane, czyli inscenizowanie prapremier dramaturgicznych, zabieranie się do tekstów świeżych albo dotąd niewystawianych. Jest to więc działalność misyjna, praca na rzecz oryginalnej twórczości pisarskiej, nierobiona „pod publiczkę” ani według złotej zasady inżyniera Mamonia. Czasem Witta-Michałowskiego interesują tematy zapalne, ogniskujące aktualną debatę, czasem nurt metafizyczny, problemy zaświatów i „drugiej przestrzeni”, a czasem się to splata w prawdziwą jedność. Dodać należy, jeszcze w temacie unikalnego charakteru Sceny InVitro, że dramatopisarzem, który od pierwszej premiery InVitro powraca do Lublina, jest Artur Pałyga. W tym tandemie powstawały rzeczy otwierające i nigdzie indziej niewidziane, takie, które mam pomimo upływu lat pod powiekami.

Lublin i Lubelszczyzna mają szczęście do takich inicjatyw, choć niezbyt chwalebnym elementem ich kolorytu jest niszowość i brak rozgłosu. Wspaniała awangardowa wytwórnia Obuh Records, z Rogalowa położonego między Nałęczowem a Kazimierzem Dolnym, miała kiedyś takie hasło: „Muzyka, jakiej świat nie widział”. Transponując je na teren teatru, o lubelskim offie i o InVitro można śmiało napisać: „Teatr, jakiego świat nie widział”, we wszystkich sensach tego wyrażenia. W końcu to Scena InVitro i tandem Witt-Michałowski/Pałyga ma na koncie najdojrzalszy, wstrząsający spektakl o tragedii Wołynia („Aporia 43”) – i w ogóle o historii i traumie – jaki zdarzyło mi się oglądać, a który był pokazany zaledwie kilka razy.

Zostawmy jednak wspomnienia. Dwie najnowsze premiery powstały w sprawdzonym składzie, ale według większego konceptu. InVitro proponuje cykl krótkich, małoobsadowych spektakli pod wspólnym tytułem „Dekalog Teatralny”, pisanych przez Artura Pałygę, a odwołujących się do kolejnych przykazań Dekalogu, z reminiscencjami wokół słynnego cyklu Krzysztofa Kieślowskiego i Krzysztofa Piesiewicza. Do tej pory powstały dwa odcinki: „Hańba” i „Pod lodem”, kolejne – wkrótce.

Ciekawe są te krążenia teatru dramatycznego – ześwieczczonego przecież do granic możliwości – wokół chrześcijańskich przykazań wiary i ogólnie zagadnienia kerygmatu. Czyżby była to chęć powrotu do jasnych i sprecyzowanych reguł, rozważenie na nowo ich konieczności? Oglądając w trakcie jednego wieczoru dwa odcinki „Dekalogu Teatralnego”, przypomniałem sobie spektakl Wojciecha Farugi, również „Dekalog”, niedawno wystawiony w Teatrze Narodowym. Pisałem o nim na tych łamach i wciąż pamiętam tamto rozczarowanie.

Miałem po prostu inne oczekiwania i spektakl Farugi odebrałem jako chęć skorzystania z, przykurzonego co prawda, blasku kina Kieślowskiego. Miał być próbą rozmowy o zobowiązaniach religii, ale zrobił to jakby sauté, zbyt bezpiecznie, np. bez pokazania konsekwencji rozmaitych przekroczeń i zmuszania ludzi wątpiących do przejrzenia punktów swojego prywatnego dekalogu. Więc jeśli chodzi o umiejętność wzbudzania niepokoju, to scenariusze Pałygi, nawet jeśli bazują na pomysłach filmowych, stawiam zdecydowanie wyżej, z czego zamierzam się szerzej wytłumaczyć w recenzji. A tymczasem napiszę tylko, że Pałyga z Wittem-Michałowskim są tego rodzaju prowokatorami, których szanować trzeba. Bo kto inny pierwszy odcinek cyklu odwołującego się do słynnego filmowego „Dekalogu” zacząłby od przywołania – luźnego ale czytelnego – prywatnej historii Piesiewicza, nagranej podczas narkotykowej imprezy i tym nagraniem szantażowanego? ©℗

SCENA INVITRO
ARTUR PAŁYGA „DEKALOG TEATRALNY”: „HAŃBA”, „POD LODEM”
REŻ. ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI
CENTRUM KULTURY W LUBLINIE

eprasa.pl 0ffd589c24

Palestyńczycy za pomocą wózka ciągniętego przez osła przewożą ciało mężczyzny po wycofaniu się wojsk izraelskich z tego obszaru Strefy Gazy, 18 kwietnia 2024 r.

FOT. MOHAMMED SABER/EPA/PAP

Dariusz Wieromiejczyk

Strefa ślepych moralistów

Prawda jest dla polskich polityków ciekawa, ale tylko wtedy, kiedy odkrycie jej nie wystawi ich na ryzyko narażenia się kręgom ważnym, bogatym i wpływowym

Jedną z najbardziej irytujących cech polskiej debaty publicznej jest nieustanne moralizatorstwo. Do podniosłego dywagowania o wartościach, przyzwoitości i honorowych obowiązkach czują się uprawnieni niemal wszyscy jej uczestnicy.

eprasa.pl 0ffd589c24

Historycy, od których oczekiwać należy przede wszystkim rzetelnego przedstawienia minionych wydarzeń, prawią z upodobaniem kazania o podłości lub szlachetności opisywanych przez siebie postaci. Także od większości dziennikarzy próżno oczekiwać chłodnych analiz i bezstronnych opisów. Zamiast nich raczą oni czytelników emocjonalnymi i zaangażowanymi politycznie opowieściami o swoim bohaterstwie, niebezpieczeństwach, na które się narażają, i walkach, które pod takim czy innym sztandarem toczą.

Możliwe, że winna temu jest nasza tradycja romantyczna. Z pewnością przyczyniła się do takiego stanu rzeczy burzliwa historia Polski. Zakończone krwawymi klęskami powstania, liczne rzezie sprawiane nam przez zaborców i okupantów musiały wywrzeć wpływ na to, w jaki sposób opowiadamy o sobie i o świecie. Nie mam jednak wątpliwości, że nadprodukcja dziennikarskich moralistów i zawodowo utrzymujących się z „robienia w wartościach" autorytetów moralnych jest w naszym kraju ogromna. Moglibyśmy nimi obdzielić wszystkie kraje Europy, a zostałoby ich jeszcze nieco dla Australii i obu Ameryk.

WYŚCIG MORALISTÓW

Ostatni wysyp wzmożonych emocjonalnie moralistów mieliśmy okazję obserwować po wybuchu wojny na Ukrainie. Rozmaite polskie instytucje na wyścigi organizować zaczęły kongresy, sympozja i konferencje poświęcone dokonywanemu przez Rosję ludobójstwu. Ponieważ pojęcie to stworzone zostało przez polsko-żydowskiego prawnika Rafała Lemkina, szczególnie zaangażował się nasz Instytut Solidarności i Męstwa im. Witolda Pileckiego. Powołano tam nawet specjalne – nazwane imieniem Lemkina – centrum dokumentowania popełnianych przez Rosjan zbrodni. Z racji dokonanych przez Niemcy hitlerowskie i Rosję sowiecką na naszych obywatelach przestępstw funkcjonuje w Polsce co najmniej kilkadziesiąt hojnie dotowanych przez państwo instytucji zajmujących się opisywaniem i upamiętnianiem polskiej oraz żydowskiej martyrologii. Zajmują się one powstaniami, deportacjami, Holokaustem, losami Polaków wywiezionych na Wschód i Zachód, zbrodniami popełnionymi na jeńcach, cywilach, kobietach i dzieciach. Niemal wszystkie polskie media, przy wsparciu licznych, związanych ze wspomnianymi powyżej instytucjami naukowców, z żarliwością badać poczęły po 2022 r. rozmaite aspekty zbrodni wojennych popełnianych na Ukrainie, rozróżniając nawet takie jego odmiany jak „ludobójstwo energetyczne" i „ludobójstwo kulturowe". Dołączyli do nich politolodzy, historycy, „teolodzy polityczni" i badacze chrześcijańskiej nauki społecznej, tropiąc religijne i społeczne przyczyny popełnianych przez państwo Putina zbrodni przeciw ludzkości.

Ostatni wysyp wzmożonych emocjonalnie moralistów mieliśmy okazję obserwować po wybuchu wojny na Ukrainie

OBURZENIE I CISZA

Kiedy w wyniku trwającej w Izraelu wojny ginąć tam zaczęły dziesiątki tysięcy kobiet i dzieci, polskie media, dyżurni moraliści, prawnicy i naukowcy w znakomitej większości nabrali wody w usta. Instytut Pileckiego wyniośle milczał, a następnie zajął się modnymi po ostatnich wyborach wystawami feministycznymi. Można zrozumieć, że temat popełnianych przez Izrael, a wcześniej także przez Hamas zbrodni wojennych może się komuś wydać tematem dyskusyjnym. Przez długi czas termin „zbrodnie wojenne" w ogóle nie funkcjonował w odniesieniu do działań izraelskich w polskich mediach – choć używały go już nawet największe amerykańskie dzienniki i stacje telewizyjne, a na świecie nie schodził miesiącami z pierwszych stron gazet. Przez ostatnie pół roku żadna prestiżowa, publiczna instytucja naukowo-edukacyjna w Polsce nie zdecydowała się nawet zainicjować dyskusji na temat dokonywanego w Gazie ludobójstwa, a co dopiero jej przeprowadzić i nagłośnić. Media głównego nurtu, dla których oczywistą zbrodnią przeciw ludzkości były bombardowanie ukraińskich elektrowni czy zmiana rosyjskich przepisów adopcyjnych, żadnej debaty o choćby ewentualnym popełnianiu ludobójstw w Gazie nie uznały za godną uwagi.

Podobną obojętność dla losów mieszkańców Gazy okazywały niesłychanie wrażliwe, do niedawna, polskie media społecznościowe i instytucje charytatywne. Pamiętamy zapewne setki zbiórek organizowanych w Internecie przez rozmaitych aktywistów i celebrytów na wsparcie bezdomnych ukraińskich psów, kotów i innych cierpiących w wyniku wojny zwierząt domowych. Pomagano ogrodom zoologicznym i schroniskom dla zwierząt, dumni z siebie dziennikarze adoptowali psy z kijowskich ulic. Poparzone, umierające bez leków dzieci Gazy nie budziły przez długi czas nawet cienia równie powszechnych i gorących emocji.

Czyżby przyczyną takiego stanu rzeczy było to, że współczucie dla Ukrainy wpisywało się w strumień potężnej, rządowej propagandy, zgodnej z interesami naszego nad zwyczaj wpływowego amerykańskiego sojusznika? Badanie ewentualnych izraelskich zbrodni wojennych w Gazie nie mogło naukowcom przynieść żadnych rządowych i międzynarodowych grantów, a narażało zapewne na grube nieprzyjemności. Zdolność setek rodzimych znawców wszelakiej martyrologii, specjalistów od prawa międzynarodowego i naukowych typologii ludobójstw do przymykania oczu na niewygodne wydarzenia, a zwracania ich w bezpieczną, przynoszącą popularność, zasięgi i wymierne profity stronę budzić może uczucia fluktuujące pomiędzy zdumieniem i odrazą.

AKTUALNE DIAGNOZY

Nie sądzę, aby fala zainteresowania wydarzeniami w Gazie, zrodzona po tragicznej śmierci Damiana Sobola, zmieniła w sposób trwały opisywane fakty. Jego bohaterska postać pozostaje w naszym krajobrazie szlachetnym, acz dość odosobnionym wyjątkiem.

Gdy w roku 2022 obchodziliśmy w Polsce Rok Józefa Mackiewicza, prawie każdy uczestniczący w tym wydarzeniu polityk deklamował do znudzenia powtarzany cytat: „Jedynie prawda jest ciekawa". Dziś przekonaliśmy się, że jest ona zapewne ciekawa, ale tylko wtedy, kiedy odkrycie jej nie wystawi polskiego polityka na ryzyko narażenia się kręgom ważnym, bogatym i wpływowym. W swojej twórczości Józef Mackiewicz zarzucał polskim elitom koniunkturalizm, tchórzostwo i brak suwerenności. Właśnie przekonaliśmy się, jak aktualne są postawione przez wielkiego pisarza diagnozy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Mały atom, duża sprawa

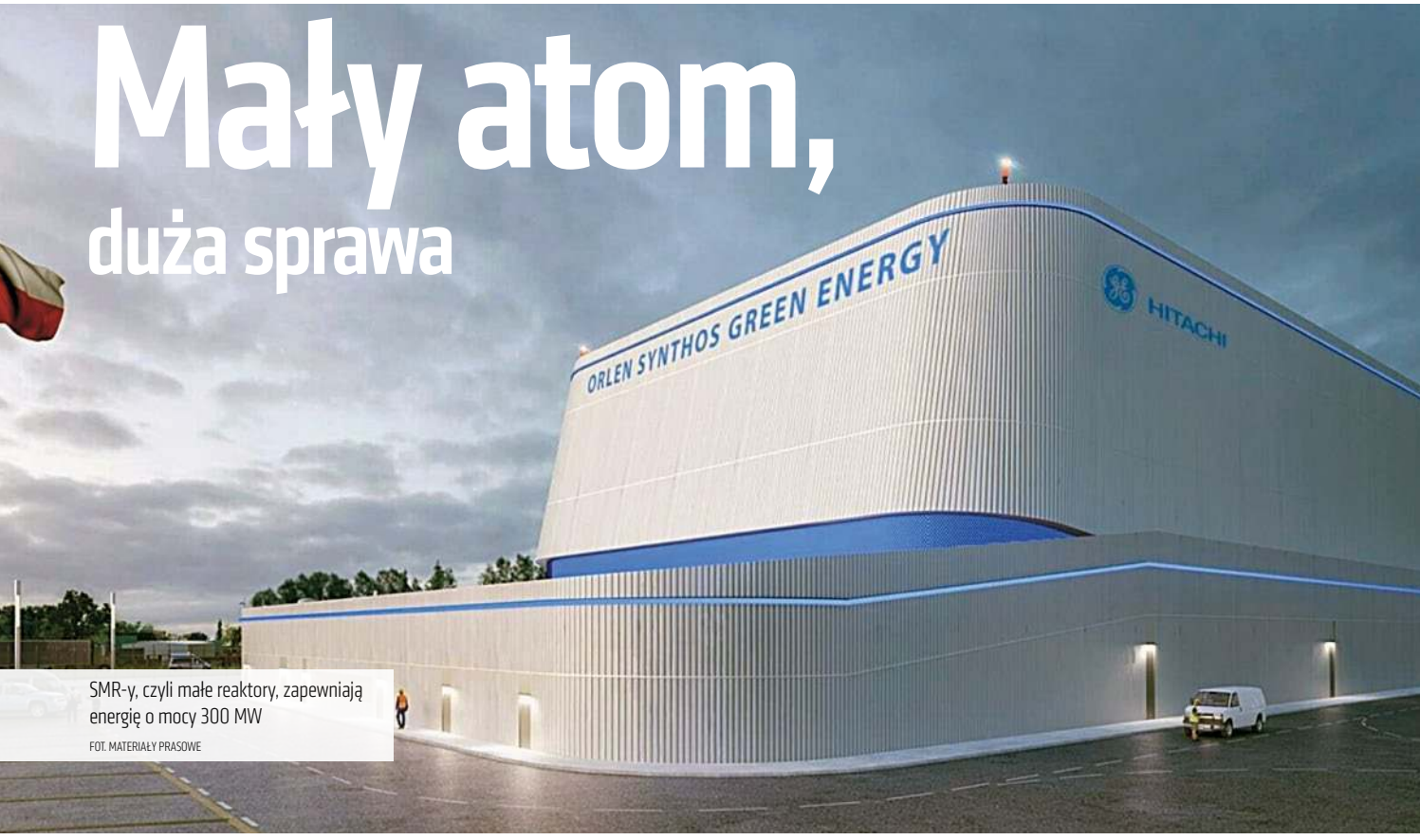

SMR-y, czyli małe reaktory, zapewniają energię o mocy 300 MW

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Jan Parys

Budowa małych reaktorów nuklearnych nie powinna być w Polsce blokowana tylko dlatego, że pomysł inwestowania w te źródła energii powstał za poprzedniej władzy

O tym, że transformacja naszej energetyki jest konieczna, wiedzą wszyscy. Obowiązujące w Unii Europejskiej zasady tak zwanego Zielonego Ładu poprzez system finansowych bodźców w ciągu paru lat wymuszą likwidację elektrowni opartych na paliwach kopalnych. Rosnące ceny uprawnień do emisji CO_2 uczynią ten proces nieuchronnym. Ani konsumenci indywidualni, ani przedsiębiorstwa nie będą w stanie korzystać z drogiej energii pochodzącej z popularnych u nas elektrowni węglowych.

Opinia publiczna w Polsce dobrze rozumie tę sytuację – stąd jest masowe wsparcie dla programu budowy elektrowni atomowych. Świadczy to zarówno o pojmowaniu zagrożeń ekologicznych, jak i o zrozumieniu, czym jest nowoczesna, bezemisyjna energetyka. Byłoby dobrze, by nasza klasa polityczna była w sprawie elektrowni atomowych równie racjonalna i podejmowała decyzje równie dojrzałe, jak to robią zwykli obywatele. Jak wiadomo, w Polsce obok dużych i drogich reaktorów nuklearnych możemy budować także reaktory modułowe zwane SMR-ami.

LOKALNE ŹRÓDŁA ENERGII

W Polsce SMR-y, czyli małe reaktory nuklearne zapewniające energię elektryczną o mocy 300 MW, stały się niestety obiektem politycznego sporu. Ze względu na to, że pomysł inwestowania w nie pojawił się w okresie, kiedy władza należała do poprzedniego rządu, po wyborach 15 października 2023 r. inicjatywy związane z budową SMR-ów są kwestionowane. Zatem ze względu na interesy partyjne istnieje ryzyko, że wykorzystanie w Polsce tej nowoczesnej technologii zostanie zablokowane. A to by oznaczało, że marnujemy szanse na nowoczesną energetykę w Polsce.

Na SMR-y warto spojrzeć jak na lokalne źródła energii, którą odbierają lokalni odbiorcy. To rozproszone źródła energii – łamią monopol wielkich koncernów energetycznych. Inwestorami mogą być samorządy lub pojedyncze zakłady przemysłowe, które potrzebują czystej energii, ciepła lub pary. Orlen wspólnie z polskim prywatnym przedsiębiorstwem Synthos planuje zainstalować w Polsce ponad 70 SMR-ów w kilkunastu lokalizacjach. Są wśród nich takie miejsca jak Ostrołęka, Włocławek, Nowa Huta, Dąbrowa Górnicza, Stalowa Wola, Warszawa czy Oświęcim.

Technologia SMR-ów jest przez instytucje Unii Europejskiej nazywana technologią reaktorów modułowych. Taka nazwa wynika z tego, że takie

eprasa.pl 0ffd589c24

reaktory można instalować pojedynczo lub w zespołach jako odrębne jednostki energetyczne.

Parlament Europejski zajął się SMR-ami 12 grudnia 2023 r., podejmując w tej sprawie specjalną rezolucję, która zawiera 64 punkty. Rezolucja w sposób jednoznaczny wzywa Komisję Europejską i państwa członkowskie Unii do wspierania budowy SMR-ów. W tej chwili trwają zapisy do tzw. sojuszu przemysłowego na rzecz SMR-ów w Unii Europejskiej.

Główne argumenty za budową SMR-ów, które podnosi Parlament Europejski, są następujące: pomogą rozwiązać problem deficytu energii; przyczynić się mogą do niezależności energetycznej Unii Europejskiej, czyli do jej bezpieczeństwa energetycznego; to technologia bezemisyjna, która pozwala realizować postulaty Zielonego Ładu przyjęte 1 lutego 2023 r. – jednym słowem: to część wielkiego programu dekarbonizacji gospodarki; to technologia innowacyjna, która zapewni krajom Unii Europejskiej rozwój nowoczesnej gałęzi przemysłu i tysiące nowych miejsc pracy.

Program budowy SMR-ów ma także inne zalety ważne w naszej sytuacji budżetowej i energetycznej. Po pierwsze, cena pojedynczego SMR-a w stosunku do kosztów dużych reaktorów jest niska. To oznacza także niższe koszty produkowania każdego 1 MW energii. Niska cena otwiera nowe możliwości finansowania energetyki bezemisyjnej. Budowa SMR-a zwalnia budżet państwa z finansowania kosztów transformacji energetycznej i daje szanse działania władzy lokalnej i prywatnym firmom.

Po drugie, samorządy, które zainwestują w SMR-y, zyskują dźwignię rozwoju gospodarczego, bo SMR-y zapewniają nie tylko tańszą energię dla mieszkańców, lecz także tańszą energię dla przemysłu. Dziś w Europie tańsza energia to najlepszy mechanizm przyciągania inwestycji przemysłowych. O lokalizacji nowych zakładów przemysłowych decyduje wiele warunków, ale koszt energii jest głównym czynnikiem, który daje regionowi przewagę przy decyzjach o lokalizacji inwestycji.

Po trzecie, jeżeli samorząd chce, by w regionie były nowe miejsca pracy oraz by przybywało mieszkańców, a także by

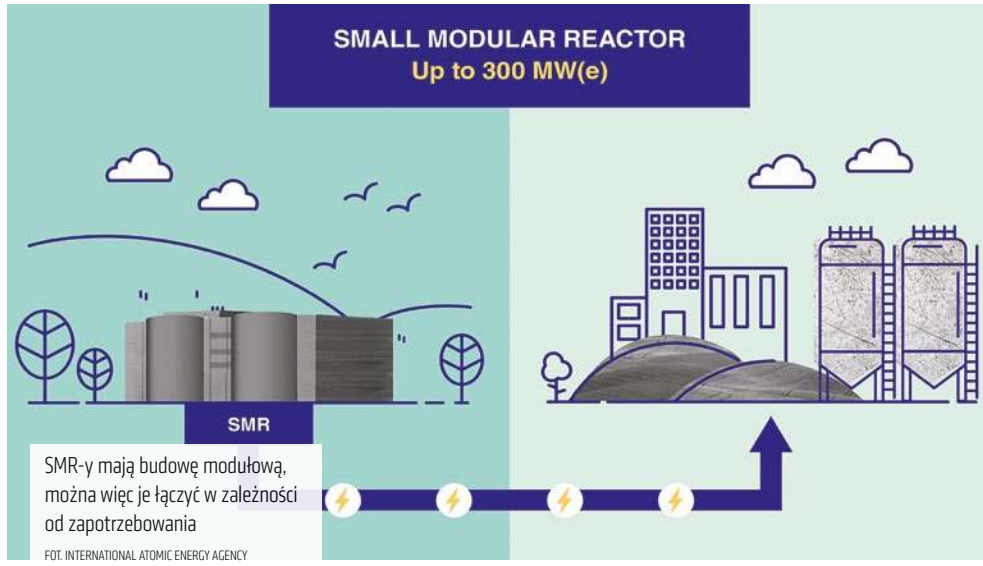

SMR-y mają budowę modułową, można więc je łączyć w zależności od zapotrzebowania

FOT. INTERNATIONAL ATOMIC ENERGY AGENCY

były zwiększone wpływy z podatków, to najlepszą drogą jest zapewnienie przedsiębiorstwom tańszej energii. Zatem w budowie energetyki opartej na SMR-ach widzę ważny instrument dla samorządów, by zabiegać o rozwój regionu.

Po czwarte, bardzo wiele miast stoi dziś przed koniecznością zastąpienia elektrociepłowni węglowych nowymi źródłami ciepła. SMR-y są szansą, by to zrobić w dużych ośrodkach w sposób nowoczesny; być może warto, aby miasta porozumiały się i zawiązały spółki razem z zakładami przemysłowymi, które funkcjonują na ich terenie i zużywają dużo energii.

Po piąte, ze względu na bezemisyjny charakter energii z SMR-ów umowę o ich współfinansowaniu z Orlen Synthos Green Energy podpisał Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Jak obliczono, uruchomienie jednego SMR-a pozwala zaoszczędzić rocznie wiele milionów euro na zakupie uprawnień do emisji CO_2 – należy o tym pamiętać przy kalkulacji kosztów budowy małego atomu, którego eksploatacja trwa kilkadziesiąt lat.

BLOKADA BYŁABY PRZECIW STANOWISKU UE

W Polsce jest wielu polityków, którzy stanowiska w każdej sprawie Unii Europejskiej traktują jak ostateczne. W związku z tym warto zauważyć, że ten, kto blokuje w Polsce budowę SMR-ów, działa w sprzeczności z wieloma postanowieniami instytucji Unii Europejskiej, czyli: ze Strategią Przemysłową dla Europy, przyjętą przez Komisję Europejską 10 marca 2020 r.; z rozporządzeniem Komisji Europejskiej z 26 lutego 2019 r. o działaniu Funduszy Innowacyjnych; z oświadczeniem Komisji Europejskiej z 4 kwietnia 2023 r. pt. „Unijne reaktory modułowe do 2030 roku"; z wezwaniem przez Parlament Europejski państw członkowskich Unii do przyśpieszenia realizacji projektów SMR z 12 grudnia 2023 r.; z wezwaniem Parlamentu Europejskiego, by państwa członkowskie zwiększyły skalę finansowania SMR-ów

SMR-y to technologia która nie ma barw partyjnych. Zainteresowanie ich budową wynika ze zdrowego rozsądku

i m.in. wykorzystały w tym celu Fundusz Sprawiedliwej Transformacji dla rozwoju SMR-ów.

Jak zawsze sektory samorządowy i prywatny oczekują od państwa tylko jednego, a mianowicie, by im władze centralne nie przeszkadzały. Nie wszystkie postanowienia Unii Europejskiej w pełni odpowiadają interesom każdego kraju. Jednak w wypadku SMR-ów warto korzystać ze wsparcia UE dla tej nowoczesnej technologii. SMR-y to technologia, która nie ma barw partyjnych. Zainteresowanie ich budową w Polsce wynika ze zdrowego rozsądku, którego nie można lekceważyć, tak jak nie można ignorować interesów energetycznych naszego państwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

„Kontrrewolucja” kontrolowana

Paweł Chmielewski

Papież Franciszek i jego zaplecze podjęli próbę narzucenia światu narracji o pełnej kontynuacji między sobą a Benedyktem XVI. Żeby skutecznie przeprowadzić tę operację, konieczne jest unieszkodliwienie abp. Georga Gänsweina, który z racji doskonałej znajomości rzeczywistych relacji obu papieży w przeszłości to zadanie utrudniał i potencjalnie mógłby to zrobić ponownie. Ludzie stojący za Jorgem Mariem Bergogliem potrzebują tymczasem propagandowego wzmocnienia obecnego pontyfikatu, tak by móc przyspieszyć rewolucję i położyć podwaliny pod jej kontynuację po śmierci lub rezygnacji Franciszka

W połowie kwietnia argentyńskie i włoskie media podały, że papież Franciszek podjął decyzję o rehabilitacji byłego sekretarza Benedykta XVI, arcybiskupa Georga Gänsweina. Ostatnie miesiące hierarcha spędził we Fryburgu, swojej macierzystej diecezji – bez żadnego konkretnego zajęcia. W powszechnej ocenie komentatorów stanowiło to de facto karne zesłanie – co potwierdzał zresztą sam zainteresowany, wielokrotnie sugerując w wywiadach, że nie znalazł się w Niemczech z własnej woli. Wkrótce Gänswein ma otrzymać nową misję, obejmując jedną z nuncjatur apostolskich. Decyzje Franciszka wobec niemieckiego hierarchy wyznaczają punkt przełomowy w próbie narzucenia nowej narracji o bezprecedensowym okresie lata 2013 – 2022, kiedy w Kościele funkcjonowało „dwóch papieży”, „emeryt” Ratzinger i „aktywny” Bergoglio.

Nie jest przypadkiem, że kilkanaście dni przed wycieknięciem do prasy informacji o nowej misji Gänsweina po hiszpańsku ukazał się wywiad, który z papieżem przeprowadził dziennikarz Javier Martínez-Brocal, pod znamiennym tytułem „El sucesor. Mis recuerdos de Benedicto XVI” (pol. „Następca. Moje wspomnienia o Benedykcie XVI”). Papież Franciszek chce za pomocą tej publikacji przekonać cały świat, że jego relacja z Benedyktem była znakomita i można mówić nie tylko o dobrej współpracy, lecz także o pełnej ciągłości między oboma pontyfikatami; a nawet więcej – o tym, że relatywnie krótki pontyfikat Niemca był tylko w gruncie rzeczy drugorzędnym czasem przygotowującym wielką Franciszkową reformę. W książce „El Sucesor” przybiera to nieledwie karykaturalne rozmiary. Poświęcę temu nieco uwagi, co pozwoli nam wstępnie obnażyć metody, na których opiera się ta propagandowa operacja.

TYLKO PRAWDA?

Czytelnicy pamiętają niewątpliwie, jak kilka lat temu papież Franciszek po raz pierwszy ogłosił publicznie, że popiera legalność cywilnych związków homoseksualnych. Tłumaczył, że nie chodzi o małżeństwa, ale o to, by ludzie mogli budować jakieś stabilne relacje międzyludzkie. Te dziwne stwierdzenia padły w wywiadzie przeprowadzonym na potrzeby filmu „Francesco” w reżyserii

eprasa.pl 0ffd589c24

Decyzje Franciszka wobec abp. Gänsweina (na zdjęciu w Watykanie w grudniu 2023 r.) wyznaczają punkt przełomowy w próbie narzucenia nowej narracji o bezprecedensowym okresie 2013–2022, kiedy w Kościele funkcjonowało „dwóch papieży" – „emeryt" Ratzinger i „aktywny" Bergoglio FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

Evgeny'ego Afineevsky'ego z 2020 r. Od tego czasu papież powtórzył je kilkukrotnie i dziś, jakkolwiek smutno to brzmi, w ogóle nas już nie szokują. W 2020 r. było jednak inaczej i papież rozpętał poważną medialną burzę. Ostatecznie dokumenty Kościoła katolickiego publikowane na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci odnoszą się do takich związków jednoznacznie krytycznie.

Chodzi m.in. o teksty tworzone w Kongregacji Nauki Wiary za prefektury kard. Ratzingera. Jeszcze w 2003 r. w dokumencie pt. „Uwagi dotyczące projektów legalizacji związków między osobami homoseksualnymi" Kongregacja pisała: „Kościół naucza, że szacunek dla osób homoseksualnych nie może w żadnym wypadku prowadzić do aprobowania zachowania homoseksualnego albo do zalegalizowania związków homoseksualnych [...]. Prawne uznanie związków homoseksualnych [...] oznaczałoby nie tylko aprobatę zachowania wewnętrznie nieuporządkowanego i w konsekwencji uczynienie go modelem dla aktualnego społeczeństwa, lecz także zagubienie podstawowych wartości, należących do wspólnego dziedzictwa ludzkości". Franciszek jednoznacznie zaprzeczył tym stwierdzeniom firmowanym przez Ratzingera…

Tymczasem w książce „El Sucesor" Jorge Mario Bergoglio twierdzi, że kiedy wygłosił swoją aprobatę dla legalizacji cywilnych związków jednopłciowych, emerytowany Benedykt XVI… stanął w jego obronie. Według Franciszka kilku kardynałów miało udać się do jego poprzednika i opowiedzieć o problemie, który wywołał. Benedykt – mówił Franciszek – „wysłuchał ich wszystkich, jednego po drugim, uspokoił i wyjaśnił" całą sprawę, mówiąc jakoby, że nie ma tu żadnej herezji, bo Franciszkowi nie chodziło o małżeństwa homoseksualne, ale o związki. Jednak dokument z 2003 r. potępia związki cywilne na równi z małżeństwami… Biograf Benedykta XVI Peter Seewald, zapytany o tę relację przez dziennikarzy z Ratyzbony, stwierdził, że jest to całkowicie nieprawdopodobne. Trudno się z tym nie zgodzić. W książce „El Sucesor" podobnych historii, choć nie tego kalibru doktrynalnego, jest o wiele więcej. Franciszek przekonuje, że Benedykt „zawsze go wspierał", a nawet jeżeli się z czymś nie zgadzał, to wolał w ogóle o tym nie mówić, zwracając tylko uwagę na „inne aspekty danej sprawy".

Wracam do osoby abp. Georga Gänsweina. W ostateczną niełaskę hierarcha popadł u Franciszka w styczniu 2023 r., kiedy w sieci ukazały się fragmenty jego książki „Tylko prawda. Moje życie u boku Benedykta XVI", gdzie przedstawiał relację między „dwoma papieżami" w sposób daleki od urzędowego optymizmu. Franciszek był wściekły. Wezwał Gänsweina na dywanik, nakazał mu kilka tygodni milczenia, a później podjął decyzję o zesłaniu go do Fryburga. O czym pisał niemiecki arcybiskup? Ujawnił m.in., jak Benedykt XVI zareagował na decyzję swojego następcy o restrykcyjnych ograniczeniach nałożonych na liturgię tradycyjną, które Bergoglio wprowadził w 2021 r. Sprawa swobody celebracji Mszy Świętej w rycie przedsoborowym była jedną z najważniejszych dla Benedykta, a zarazem w ogóle dla Kościoła. Gdyby relacje między „dwoma papieżami" były naprawdę tak cukierkowe, jak chce tego watykańska propaganda, ewentualne zmiany Franciszek wprowadziłby pewnie po solidnych konsultacjach ze swoim poprzednikiem. Gänswein ujawnił tymczasem, że takich konsultacji w ogóle nie było; więcej jeszcze – Benedykt dowiedział się o zmianach z prasy. Przyjął je z wielkim bólem… A to przecież tylko jedna z najbardziej problematycznych spraw. Arcybiskup w swojej książce wiele miejsca poświęcił też głośnej sprawie publikacji „Z głębi naszych serc" wydanej na początku 2020 r. przez byłego prefekta Kongregacji do spraw Kultu Bożego, kard. Roberta Saraha. Praca ukazała się jako wspólny tomik purpurata i samego Benedykta; zamieszczono w niej obszerny esej byłego papieża o nierozerwalnym związku między kapłaństwem a celibatem. Publikacja tej książki uderzyła w plany środowisk progresywnych stojących za Franciszkiem: lada chwila miała ukazać się adhortacja Bergoglia po Synodzie Amazońskim, wprowadzająca zmiany w dyscyplinie celibatu w obszarze Amazonii. Po ogłoszeniu książki Saraha i Benedykta stało się to niemożliwe, bo Franciszek postawiłby się w roli otwartego przeciwnika Ratzingera i nieledwie heretyka, który zaprzecza czemuś, co poprzedni papież uważa za fundamentalnie ważne dla Kościoła. Gänswein, dzięki swojej unikalnej wiedzy, to z perspektywy potrzeb machiny propagandowej ludzi Franciszka prawdziwa tykająca bomba. Trzeba ją było rozbroić; tak też się teraz stało. Po okresie pognębienia we Fryburgu Gänswein z wdzięcznością przyjmie nuncjaturę, a jako nuncjusz nie będzie bruździł swojemu dobroczyńcy.

„PONTYFIKAT PRZEJŚCIA"

Książka „El Sucesor" poza – by tak rzec – walorami propagandowymi jest jednak poznawczo bardzo istotna. Argentyński papież mówił w niej m.in. o konklawe z 2005 r. Przyznał, że informacje publikowane w prasie na temat jego przebiegu są prawdziwe, to znaczy – że był wówczas jednym z głównych kontrkandydatów wobec Josepha Ratzingera. Jak powiedział, ostatecznie

eprasa.pl 0ffd589c24

sam zdecydował się poprzeć Niemca, bo razem z innymi kardynałami uznał, że jest po temu odpowiedni czas. „Po rewolucji Jana Pawła II, który był bardzo dynamicznym i bardzo aktywnym papieżem, pełnym inicjatywy, podróżującym... potrzebowaliśmy papieża, który mógłby zachować zdrowy balans, papieża przejściowego" – powiedział. „Gdyby [kardynałowie] wybrali wówczas kogoś takiego jak mnie, kogoś, kto generuje mnóstwo zamieszania, nie mógłbym nic osiągnąć. W tamtym czasie byłoby to niemożliwe" – dodał. Zasugerował w ten sposób, że liberalna grupa kardynałów z Sankt Gallen, która – jak wiadomo – stała za jego kandydaturą, świadomie zdecydowała się odstąpić od jego osoby. Z innych źródeł wiemy, że nie musi to do końca odpowiadać prawdzie: Bergoglio nie mógł po prostu zdobyć wystarczającej liczby głosów.

Wiadomo jednak, że ostatecznie nawet nieformalny szef sanktgalleńczyków, progresywny kard. Carlo Maria Martini, zdecydował się poprzeć Ratzingera. Tu Franciszek najprawdopodobniej rzetelnie odtwarza historię: Martini et consortes uznali, że w sytuacji niemożności „przepchnięcia" rewolucjonisty Bergoglia właściwe będzie postawienie na kogoś, kto nawet jeżeli będzie kontynuować kurs Jana Pawła II – to nie będzie zawziętym „kontrrewolucjonistą", starającym się ze wszystkich sił zatrzymać gwałtowną falę liberalizacji nacierającą na Kościół po Soborze Watykańskim II. Spokojny akademik Ratzinger wydawał im się dobrą kandydaturą na „pontyfikat przejścia". Wiedzieli, że zarówno ze względu na swoją osobowość, jak i na formację intelektualną papież z Niemiec nie będzie zdolny do położenia nieusuwalnej tamy procesowi „reform". Bergoglio mógł poczekać na swój moment.

Narracja Franciszka z książki „El Sucesor" mówi bardzo wiele o naturze polityczno-kościelnej gry, która toczy się w ostatnich dziesięcioleciach za kulisami Watykanu. Grupa liberalnych hierarchów z Sankt Gallen pozostawała przez lata bardzo krytyczna wobec pontyfikatu św. Jana Pawła II, ale trudno zaprzeczyć, że papież Wojtyła pod wieloma względami gwarantował kontynuację zasadniczych trendów rewolucyjnych, które

Bergoglio stworzył maszynerię Synodu o synodalności, by zagwarantować swej opcji narzędzie do kontynuacji rewolucyjnej pracy

zapoczątkowali biskupi zgromadzeni na Vaticanum II i które rozpoczął pontyfikat papieża Pawła VI. Polski biskup Rzymu w kwestiach moralnych szedł w zdecydowanej kontrze do agendy progresywnej; jednak w takich zasadniczych sprawach jak rozumienie wolności wyznania, dialog z innymi religiami czy liturgia nie kontestował bynajmniej przeprowadzonych wcześniej zmian. Benedykt XVI – wprost przeciwnie; na ile mógł i potrafił, na tyle starał się w tych obszarach skorygować posoborowy kurs. Zrezygnował z niektórych absurdalnych form dialogicznych (Asyż!), walczył o tradycyjną Mszę Świętą i pobożność („Summorum pontificum", Komunia Święta do ust), powściągał nazbyt rozpalone tendencje ekumeniczne („Anglicanorum coetibus")…

DZIEŁO „MODERNIZACJI" KOŚCIOŁA

Co z tego, skoro wpływowa grupa progresistów wspierających Bergoglia od samego początku traktowała jego pontyfikat jako „tymczasowy", jako konieczną „koncesję" daną siłom „restauracji" – wiedząc, że gdy tylko Benedykt odejdzie, wszystko wróci zaraz na stare tory? Tak się przecież stało. Franciszek kilkoma brutalnymi ruchami zniweczył to, co próbował naprawić Joseph Ratzinger: ogłosił radykalne dialogiczne dokumenty (Abu Zabi), gwałtownie przyspieszył skrajnie progresywny ekumenizm (Komunia dla protestantów, relacje z anglikanami, ruch zielonoświątkowy), uderzył w tradycyjną liturgię („Traditionis custodes"). Wreszcie, „skorygował" też to, co według progresistów było błędem w czasach pontyfikatu Jana Pawła II – „moralny rygoryzm". Wydając najpierw „Amoris laetitia" o Komunii dla rozwodników, a ostatnio „Fiducia supplicans" o błogosławieniu związków jednopłciowych, zaczął wprowadzać Kościół na drogę zbieżną z ideologią rewolucji seksualnej. Dziś można już zarysować ściśle określony przebieg odgórnej rewolucji: soborowy chaos i zasianie ziaren zwątpienia i relatywizmu; gwałtowne rewolucje liturgiczne, administracyjne i dyscyplinarne pontyfikatu Pawła VI; umacnianie ideologii dialogizmu za Jana Pawła II; krótki i „kontrolowany" okres restauracji za Benedykta; wreszcie kontynuacja powziętego dzieła „modernizacji" Kościoła za Franciszka.

Proces ten oczywiście nie zostanie zakończony w czasie obecnego pontyfikatu; zadanie jest zbyt wielkie. Dlatego właśnie Jorge Mario Bergoglio zbudował złożoną maszynerię Synodu o synodalności: by zagwarantować swojej opcji kościelno-politycznej doskonałe narzędzie do kontynuacji rewolucyjnej pracy w późniejszych latach. Ci, którzy mają nadzieję, że wraz ze śmiercią bądź rezygnacją Franciszka sytuacja w Kościele się unormuje, najprawdopodobniej gorzko się rozczarują. Czytelnik dostrzega przecież, jak silną ręką siły progresywne sterują w Kościele polityką personalną, grając kandydatami na konklawe tak, by wykonując dwa kroki do przodu i jeden krok wstecz, konsekwentnie realizować swoje cele. Dzisiaj, gdy mają tak potężne karty jak Kuria Rzymska obsadzona ludźmi Franciszka, Kolegium Kardynalskie skrzętnie dobrane z liberalnego klucza i rozpędzony pociąg synodalności, zdają się dysponować wszystkimi atutami koniecznymi do skutecznego przeprowadzenia dalszych działań.

Kościół jest rzeczywistością bosko-ludzką, a to oznacza, że nad wszystkimi wielkimi graczami w biretach kardynalskich stoi jeszcze inny Gracz – ten, który ze zła wyprowadza dobro. W tym i chyba tylko w tym należy pokładać rozsądną chrześcijańską nadzieję; tymczasem trzeba na różnych płaszczyznach przygotowywać się na długie lata dalszego chaosu i gwałtownych zmian. Elementem tych przygotowań jest walka o pamięć o historii Kościoła, w której próbuje się narzucić narrację o doskonałej harmonii między Ratzingerem a Bergogliem; harmonię, której – jak wszystko na to wskazuje – nigdy w tej skali nie było.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 0ffd589c24

REPUBLIKA
ZAPRASZAMY
DO SKLEPU
TELEWIZJI
REPUBLIKA
#JEDZIEMY
@michalrachon
#włączprawdę
WWW.SKLEP.TVREPUBLIKA.PL

FOT. ADOBE STOCK

Transskandal

Mariusz Jagóra

Raport Environmental Progress ujawnia, w jaki sposób Światowe Stowarzyszenie Specjalistów na rzecz Zdrowia Osób Transpłciowych naraża dzieci na niebezpieczeństwo

Przez lata Światowe Stowarzyszenie Specjalistów na rzecz Zdrowia Osób Transpłciowych (WPATH) cieszyło się reputacją wiodącej organizacji naukowej i medycznej zajmującej się opieką zdrowotną nad osobami transpłciowymi. Było uznawane za światowego lidera w dziedzinie medycyny płci, opracowującego standardy opieki, które stanowią „profesjonalny konsensus" co do tego, jak najlepiej pomóc osobom z dysforią płciową. „Standardy Opieki (SOC) na rzecz Zdrowia Osób Transseksualnych, Transpłciowych i Osób z brakiem tożsamości rodzajowych" to wytyczne kliniczne dla pracowników służby zdrowia, które mają pomagać „osobom transseksualnym, transpłciowym i osobom niezgodnym z płcią, w bezpiecznych i skutecznych ścieżkach do osiągnięcia trwałego osobistego komfortu ze swoją płcią, aby zmaksymalizować ich ogólny stan zdrowia, dobrostan psychiczny i samorealizację". WPATH to organizacja, którą główne amerykańskie kliniki genderowe uznają za najważniejszy autorytet w dziedzinie tzw. opieki zdrowotnej dla osób transpłciowych.

Jednak setki wiadomości, które wyciekły z wewnętrznego forum lekarzy i pracowników służby zdrowia psychicznego WPATH, dowodzą, że wiodąca na świecie grupa zajmująca się opieką zdrowotną nad osobami transpłciowymi nie jest ani naukowa, ani etyczna, że promuje i stosuje kontrowersyjne praktyki medyczne, w tym eksperymenty hormonalne i chirurgiczne prowadzone na nieletnich, a jej członkowie są bardziej zaangażowani w aktywizm polityczny niż w naukę.

Informacje ujawnił Michael Shellenberger, założyciel i prezes organizacji Environmental Progress, w obszernym, 242-stronicowym raporcie zatytułowanym „Dokumenty WPATH – pseudonaukowe eksperymenty chirurgiczne i hormonalne prowadzone na dzieciach, nastolatkach i podatnych osobach dorosłych".

Raport ujawnia półprywatne rozmowy z wewnętrznego forum internetowego organizacji, służącego do omawiania konkretnych przypadków medycznych. Opublikowane pliki, a także wyciek z wewnętrznej dyskusji panelowej pokazują, że organizacja wiedziała o istnieniu związku między terapią hormonalną osób transpłciowych a powstawaniem u nich nowotworów. Z ujawnionych e-maili wynika także, że pacjenci nie zawsze rozumieli konsekwencje zmiany płci. Ujawnione akta potwierdzają to, co wiele głosów krytycznych wobec ideologii gender twierdziło od lat: że tzw. usługa afirmująca zmianę płci wyrządza dzieciom krzywdę na całe życie. Nowe dokumenty ujawniają, w jaki sposób Światowe Stowarzyszenie Specjalistów na rzecz Zdrowia Osób Transpłciowych rutynowo naraża dzieci na niebezpieczeństwo, w imię ideologii trans.

eprasa.pl 0ffd589c24

W medycynie istnieje miejsce na ryzykowne eksperymenty, ale można je uzasadnić tylko wtedy, gdy istnieje wiarygodna, obiektywna diagnoza, że nie są dostępne żadne inne opcje leczenia, a rokowania dla pacjenta są złe. Z pewnością medycyna płci nie należy do tej kategorii. Stan psychiczny dysforii płciowej nie jest chorobą śmiertelną, a najlepsze dostępne badania pokazują, że w przypadku nieletnich, przy czujnym oczekiwaniu i współczującym wsparciu, większość z nich albo wyrośnie z tego, albo nauczy się radzić sobie z cierpieniem w sposób mniej szkodliwy dla ich zdrowia. Doktor Stephen Levine, psychiatra kliniczny, uważa, że dysforia płciowa jest jedyną diagnozą psychiatryczną, którą lekarze próbują leczyć chirurgicznie.

KRZYWDZĄCE EKSPERYMENTY MEDYCZNE

Opublikowany raport dowodzi, że procedury modyfikacji cech płciowych u nieletnich i osób z zaburzeniami zdrowia psychicznego, znane jako „opieka potwierdzająca płeć", są nieetycznymi eksperymentami medycznymi, wyrządzającymi olbrzymią krzywdę bez uzasadnienia, a jego ofiarami są najbardziej bezbronne osoby w społeczeństwie – dzieci. Obrażenia są trwałe, bolesne i zmieniające ich życie.

Przepisywanie leków blokujących dojrzewanie płciowe, niszczenie zdrowych układów rozrodczych, amputacja zdrowych piersi i chirurgiczne usuwanie zdrowych narządów płciowych są traktowane jako pierwsza i jedyna linia leczenia nieletnich i osób dorosłych, chorych psychicznie z dysforią płciową, przy całkowitym braku jakichkolwiek prób pogodzenia pacjenta z jego płcią biologiczną.

W wielu placówkach zajmujących się osobami transpłciowymi pracują specjaliści z zakresu zdrowia psychicznego mający bardzo ograniczone doświadczenie w rozpoznawaniu i leczeniu problemów psychiatrycznych, które często towarzyszą transpłciowości. Istnieje tendencja do pomniejszania roli psychiatrii w ocenie i leczeniu takich pacjentów. W wielu progresywnych środowiskach miejskich pojawiają się nowe kliniki, zalecające zmianę płci z niezwykłą i niepokojącą szybkością, czasami po jednej godzinnej sesji. Nie da się tego pogodzić z odpowiedzialną opieką nad zdrowiem psychicznym. Kliniki te są nazywane klinikami afirmującymi płeć, co sugeruje brak starannej, rozszerzonej psychiatrycznej oceny pacjentów. Nie myśli się o długoterminowych konsekwencjach opartych na 50-letnich badaniach przekrojowych między płciami, które pokazują, że transpłciowość to kwestia marginalna.

Pod wpływem zaleceń organizacji WPATH specjaliści w klinikach afirmacji płci zalecają podawanie blokerów dojrzewania dzieciom, opierając się na doświadczeniach dorosłych osób transpłciowych, które pamiętają własny subiektywny dyskomfort płciowy z dzieciństwa i okresu dojrzewania, a to bardzo wąska perspektywa, nieuwzględniająca przypadków tych osób, które wyrosły z tego „dyskomfortu". Badania sugerują, że jeśli będzie się stosowało metodę afirmacji wobec dzieci, to może to prowadzić do bardzo wysokiej częstotliwości występowania tożsamości transseksualnej. Jeśli pozostawi się dzieci w spokoju, to pozostaną przy swojej naturalnej płci biologicznej, czując się z nią komfortowo jeszcze przed osiągnięciem dorosłości.

W przypadku nastolatków trudno mówić o świadomej zgodzie – brak im wiedzy i dojrzałości emocjonalnej

Podejście ujawnione w raporcie jest naruszeniem etyki medycznej, nie spełnia standardów medycyny opartej na dowodach oraz narusza wymóg uzyskania świadomej zgody na interwencję medyczną. Jak wynika z komunikacji wewnętrznej, sami członkowie WPATH przyznają, że dzieci i młodzież nie są w stanie zrozumieć konsekwencji interwencji modyfikujących cechy płciowe, które mogą skutkować powikłaniami i bezpłodnością przez całe życie, utratą funkcji seksualnych i zdolności do przeżywania orgazmu. Co gorsza, w niektórych przypadkach, ze względu na słabą znajomość zagadnień zdrowotnych, nie rozumieją tego również ich rodzice. W jaki sposób aktywiści, charakteryzujący się całkowitym brakiem szacunku dla przysięgi Hipokratesa, mogli dojść do takiego znaczenia, że ustanawiają standardy opieki dla całej dziedziny medycyny, prowadząc do medycznego znęcania się nad nieletnimi i bezbronnymi dorosłymi?

W dyskusji na wewnętrznym forum WPATH, która miała miejsce w maju 2023 r., kolumbijski chirurg nie był pewien, jak postępować z 14-letnim chłopcem, który prosił o zabieg waginoplastyki. To poważna operacja, która obejmuje amputację penisa i wykorzystanie tkanki prącia do stworzenia pseudopochwy. Procedura ta wiąże się z wysokim odsetkiem powikłań, długim czasem rekonwalescencji i wymaga dożywotniego rozszerzania miejsca operacji, aby zapobiec zamknięciu się rany. Rozszerzanie, czyli fizyczne wprowadzanie rozszerzacza w celu utrzymania głębokości ubytku, może powodować dyskomfort i ból i musi być wykonywane trzy razy dziennie (łącznie od 2 do 2,5 godziny) w bezpośrednim okresie pooperacyjnym. W miarę powrotu pacjenta do zdrowia rozszerzanie należy stopniowo zmniejszać, ale miejsce operacji należy rozszerzać raz w tygodniu przez całe życie. Chirurg z Kolumbii zadał na forum pytanie, jak postępować w „przypadku 14-latka identyfikującego się jako transseksualna dziewczyna, który zaczął tranzycję od czwartego roku życia. Chce mieć operację potwierdzającą płeć Male-to-Female, rodzice popierają jej/jego decyzję, ale nigdy tego nie robiłem na tak młodej pacjentce. Jakie są państwa rekomendacje dla tego przypadku?". Odpowiedzi udzieliła Christine McGinn, która chwaliła się, że w ciągu ostatnich 17 lat wykonała ok. 20 zabiegów waginoplastyki u pacjentek poniżej 18. roku życia. Doktor McGinn napisała, że obecnie walczy ze szpitalem, w którym pracuje, o możliwość kontynuowania tego procederu w przypadkach, w których uważa, że jest to rozsądna praktyka medyczna oparta na sytuacji i pacjentce. Lekarka przyznaje, że nie wszystkie zabiegi zakończyły się powodzeniem, ale – jak twierdzi – większość z nich wypadła fantastycznie, a nawet jeśli były trudności, to pacjentki nie żałowały operacji. Problematyczne przypadki wynikały zazwyczaj z nieprzestrzegania harmonogramu rozszerzania pochwy.

eprasa.pl 0ffd589c24

Doktor McGinn ubolewa w e-mailu, że szpitale coraz częściej zakazują operacji poniżej 18. roku życia, a „agresywne ataki ze strony prawicy mają negatywny wpływ na gotowość chirurgów".

ŚWIADOMA ZGODA?

Standardy opieki publikowane przez WPATH zalecają, żeby zapewnić nastolatkom, którzy otrzymali diagnozę „niezgodności płci", dostęp do blokerów dojrzewania, hormonów płciowych i operacji, o ile młoda osoba „wykazuje dojrzałość emocjonalną i poznawczą wymaganą do wyrażenia świadomej zgody na leczenie".

Jednak w materiale wideo uzyskanym przez Environmental Progress z panelu pt. „Identity Evolution Workshop" z maja 2022 r. lekarze przyznają, że nie ma możliwości uzyskania świadomej zgody na interwencje hormonalne od młodych pacjentów. Doktor Daniel Metzger, kanadyjski endokrynolog, powiedział, że próba uzyskania świadomej zgody od nastolatków ubiegających się o leczenie to prawdziwe wyzwanie, bo większość z nich nie miała jeszcze biologii w szkole średniej. Słabe zrozumienie działania ludzkiego ciała i ścieżki leczenia, brak wiedzy i dojrzałości emocjonalnej powodują, że młodzi pacjenci myślą, że mogą wybierać niektóre fizyczne efekty terapii hormonalnej, np. dziewczynki chcą mieć głębszy głos, ale bez zarostu na twarzy, a chłopcy są gotowi przyjmować estrogen, lecz niekoniecznie rozwijać piersi.

Uczestnicząca w panelu Dianne Berg, psycholog dziecięcy i współautorka dziecięcego rozdziału Standardów Opieki, zwróciła uwagę, że dzieci i młode nastolatki nie rozumieją skutków leczenia, ponieważ „jest to poza ich zakresem rozwojowym, aby zrozumieć, w jakim stopniu niektóre z tych interwencji medycznych mają na nie wpływ". Co gorsze, niektórzy rodzice nie mają wystarczającego poziomu wiedzy na tematy medyczne, aby zrozumieć skutki protokołu leczenia hormonalnego. Według Berg to powoduje, że obecne praktyki nie są etyczne. Jednak WPATH twierdzi, że interwencje związane z modyfikacją cech płciowych są prowadzone odpowiednio do wieku i stanowią niezbędną opiekę medyczną, a wszelki sprzeciw wobec takich interwencji jest określany jako transfobia.

WPATH promuje hormonalną i chirurgiczną ingerencję przy minimalnej liczbie badań diagnostycznych

WPATH promuje hormonalną i chirurgiczną ingerencję, czyli tranzycję czy zmianę płci na żądanie, przy minimalnej liczbie badań diagnostycznych. Organizacja optuje za przekonywaniem osób wahających się co do decyzji o zmianie płci, sprzeciwiając się prowadzeniu psychoterapii, zmianie środowiska, próbom odnalezienia przyczyn dysforii płciowej i podjęcia próby wyleczenia jej bez inwazyjnej interwencji chirurgicznej.

PRESJA RÓWIEŚNICZA I MODA

W ciągu ostatniej dekady nastąpił ogromny wzrost liczby młodych ludzi identyfikujących się jako osoby transpłciowe i kierowanych do pediatrycznych i dorosłych klinik genderowych.

Aktywiści WPATH twierdzą, że tożsamość transseksualna ma źródła biologiczne, a ten nagły wzrost jest spowodowany zmianą postaw społecznych i większą akceptacją osób transpłciowych, co im ułatwia wyjście z ukrycia. Krytycy zaś wskazują na presję rówieśniczą i tworzenie się mody.

Doktor Levine, jeden z byłych członków WPATH, gdzie pełnił funkcje przewodniczącego Komitetu Standardów Opieki, twierdzi, że nagłe wzrosty liczby osób doświadczających dysforii płciowej mają podłoże kulturowe lub socjologiczne, a nie biologiczne: „Struktura genetyczna naszego gatunku nie zmieniła się w ciągu ostatnich 20 lat. Badania pokazują, że zwiększone występowanie nowych przypadków w określonych szkołach pojawia się wśród określonej grupy przyjaciół". Takie wypowiedzi budzą agresywne reakcje środowisk LGBTQ+, w 2022 r. aż 10 organizacji z Ohio napisało list otwarty adresowany do uniwersytetu Case Western Reserve, a także do szpitala klinicznego oraz stanowej izby lekarskiej z prośbą o zerwanie wszelkich więzi z dr Levine'em, który „uczynił pracę swojego życia zaprzeczeniem opieki zdrowotnej dla osób transpłciowych i niezgodnych z płcią".

Wydaje się jednak, że coś się zmienia. Ostatnio sąd stanu Tennessee zakazał chemicznej kastracji i genitalnej modyfikacji dzieci, argumentując, że organizacja WPATH nie przedstawiła wystarczających danych na temat długoterminowych skutków fizycznych, psychologicznych i neurorozwojowych, które wynikają z podawania dzieciom blokerów dojrzewania i krzyżowych hormonów płciowych. Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych dla Szóstego Okręgu poparł wejście w życie ustawy stanu Tennessee.

We Francji grupa senatorów chce złożyć projekt ustawy zakazującej zabiegów zmiany płci u osób poniżej 18. roku życia. Senacki raport mówi, że operacja zmiany płci u nieletnich może być „największym skandalem etycznym w historii medycyny". Raport przytacza zeznania rodziców, których dzieci przeszły zabieg zmiany płci: „Dziecko nie jest wystarczająco dorosłe, by prosić o zmianę swojego ciała. Moja córka potrzebowała jedynie zaświadczenia od psychiatry, które uzyskała po godzinnej konsultacji".

Powołując się na brytyjskie, szwedzkie i amerykańskie badania, raport stwierdza, że liczba dzieci identyfikujących się jako transseksualne eksplodowała w ciągu ostatniej dekady. Jeden ze szpitali w Paryżu co roku otrzymuje ok. 40 nowych wniosków od nieletnich, z czego 16 proc. to osoby poniżej 12. roku życia. Wiele z nich cierpi z powodu innych problemów. Jedna czwarta dzieci hospitalizowanych w szpitalu Pitié-Salpêtrière z powodu dysforii płciowej porzuciła szkołę, 42 proc. było ofiarami nękania, a 61 proc. doświadczyło depresji. Jedna osoba na pięć próbowała popełnić samobójstwo. Do podobnych wniosków doszli brytyjscy eksperci badający londyńską klinikę Tavistock w związku z masowym stosowaniem operacji zmiany płci u nieletnich. David Bell, brytyjski psychiatra i psychoanalityk, odkrył, że jedna trzecia dzieci konsultowanych w klinice Tavistock cierpiała na zaburzenia autystyczne, a wiele z nich było ofiarami przemocy w rodzinie lub miało trudności z akceptacją lub wyrażaniem homoseksualności, a mimo to poddawano je pospiesznej zmianie płci.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

11 LISTOPADA

Nie od razu po 1918 r. ustanowione zostało w II RP Święto Niepodległości. Poszukiwania odpowiedniej daty trwały aż do kwietnia 1937 r. Wybrany został dzień zakończenia wielkiej wojny. Wybór daty – 11 listopada, czyli dzień zakończenia pierwszej wojny światowej w Europie – był kompromisem, możliwym do przyjęcia przez wszystkie polskie orientacje polityczne. Niezbyt długo cieszyli się Polacy oficjalnie tym świętem, zaledwie przez dwa lata 1937–1938.

Po upadku Polski i jej podbiciu przez Niemców i Sowietów we wrześniu 1939 r. święto stało się nielegalne w obu zaborach. Niemcy ostrzegali wprost, że „kto 11 listopada 1939 r. dokona zaburzenia spokoju i porządku publicznego […], polskie barwy w jakimkolwiek zestawieniu będzie pokazywał, brał udział w pochodach, albo przez przemówienia, względnie niedozwolone zebrania ludności podburzał, będzie surowo ukarany". Polacy szybko się przekonali, co to są kary niemieckie. Pod zaborem sowieckim było podobnie. Masowe aresztowania inteligencji i kolejne fale wywózek setek tysięcy ludzi na Sybir bardzo szybko osłabiły wolę walki i oporu, a tym bardziej publicznego świętowania.

Mimo to Święto Niepodległości było cały czas obchodzone nielegalnie, na miarę możliwości. Tym bardziej że powołane zostało Polskie Państwo Podziemne z jego agendami cywilnymi i wojskowymi, a celem jego istnienia było odzyskanie niepodległości.

W 1945 r., po upadku III Rzeszy i zajęciu całej Polski przez Armię Czerwoną i dywizje NKWD, sowieccy komuniści w Polsce natychmiast przystąpili do utworzenia swojego „święta" i zniesienia Święta Niepodległości 11 listopada. Ich „świętem" stał się dzień 22 lipca, który był jakoby dniem „powstania suwerennej władzy Narodu Polskiego". Miało to być „Narodowe Święto Odrodzenia Polski". Zarówno data, jak i święto były od początku fałszywe. Ogromna część wschodniej Polski stała się częścią Związku Sowieckiego, a tzw. Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego powstał wcześniej niż 22 lipca, w dodatku w Moskwie, a nie na jakimkolwiek skrawku Polski Lubelskiej. 11 Listopada przestał być świętem państwowym.

W wymiarze praktycznym to święto zostało zakazane, a instytucje represyjne komunistycznego państwa miały je bezlitośnie tępić. Na przykład osławiona Informacja Wojskowa (sowiecki Smiersz w „ludowym" WP) już w październiku 1945 r. miała nakazane wzmocnić czujność. Zajścia nadzwyczajne, czyli obchody nielegalne, miały być tłumione, a prowodyrzy podlegali „szybkiej i możliwie spokojnej likwidacji".

Marsze Niepodległości w latach 2007–2014 również były pacyfikowane. Jak będzie teraz? ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Wielkie plany Stefana Batorego

Za największy sukces króla uważa się trzy zwycięskie kampanie przeciwko Moskwie, do których zaczął przygotowania już niemal od czasu swojej koronacji (1 maja 1576 r.). Wojnę prowadził ze szczęśliwym skutkiem, czego efektem był bardzo korzystny rozejm zawarty na 10 lat w Jamie Zapolskim. Batory uważał zresztą, że to tylko chwilowa przerwa, gdyż sprzyjała mu sytuacja polityczna, ponieważ w marcu 1584 r. zmarł Iwan Groźny, a jego następca był osobnikiem ograniczonym psychicznie. Rosja przeżywała kryzys wyczerpana wojnami z Polską i szaleńczymi rządami zmarłego cara, a Batory był zbyt doświadczonym politykiem, by zmarnować podobną okazję. Nie przejmował się też specjalnie podpisanym rozejmem, gdyż śmierć Groźnego właściwie rozwiązywała mu ręce. Liczyło się tylko, że Moskwę można było odepchnąć daleko na wschód i zapewnić bezpieczeństwo Rzeczypospolitej.

Nie wiadomo jednak, jak daleko sięgały plany króla. Można bowiem podejrzewać, że myślał o podboju Rosji i założeniu czapki Monomacha na swoją głowę. Nie było to nierealne, gdyż część moskiewskiego bojarstwa z tęsknotą obserwowała swobody szlacheckie w Polsce i na Litwie. Różnice wyznaniowe również nie stwarzały problemu, gdyż w Rzeczypospolitej nie brakowało prawosławnych i nikt ich nie prześladował.

Trudno zresztą ustalić, czy był to ostateczny cel Batorego czy też władca traktował przyszłą wojnę z Moskwą jako wstęp do udziału w lidze antytureckiej mającej na celu usunięcie Osmanów z Europy. Przy okazji odzyskano by też część Węgier okupowanych przez wojska padyszacha, co zawsze Batoremu leżało na sercu. Ale był zbyt wytrawnym politykiem, by samotnie wdawać się w awanturę z Turkami. Pamiętał doskonale o losie Władysława Warneńczyka, a dobro Rzeczypospolitej było dla niego najwyższym prawem.

Sukcesy Batorego obserwowano jednak w Europie bez specjalnego entuzjazmu. Habsburgowie od dawna byli sprzymierzeńcami Moskwy i traktowali związki z Kremlem jako element nacisku na Polskę i Litwę. Turcja nie była zachwycona wywyższeniem jej byłego lennika, który mógł stać się niebezpieczny, a Francja tradycyjnie pielęgnowała dobre stosunki z Osmanami. Nawet w dalekiej Anglii z niepokojem obserwowano poczynania polskiego króla, gdyż nad Tamizą przykładano wielką wagę do handlu z Rosją. Nic zatem dziwnego, że na kontynencie pilnie obserwowano zdrowie polskiego władcy, które niestety nie było najlepsze. I ten najwybitniejszy polski król elekcyjny panował niestety tylko niewiele ponad 10 lat, a przyczyn jego śmierci do dzisiaj w pełni nie wyjaśniono. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

I z czego się śmiejecie?

Łukasz Czarnecki

W Polsce najlepiej znamy błazna Stańczyka, który na obrazie Matejki ze smutkiem dostrzega zapowiedź przyszłych nieszczęść Polski. Trefnisie, którzy mogli dostrzec i powiedzieć więcej niż inni, zjawiali się u boku władców od wielu wieków

Błazen to jedna z najważniejszych figur europejskiej kultury, choć wieści o nim dobiegają także spoza jej kręgu. Miał swego trefnisia choćby krwiożerczy Qin Shi Huangdi – pierwszy cesarz zjednoczonych Chin. Jak dowiadujemy się z „Zapisków historyka", żyjącemu w III w. p.n.e. despocie prawdę potrafił powiedzieć tylko jego błazen. Gdy władca zbudował w swoim pałacu ogromny, naśladujący dzicz park, by w sztucznej grocie oddawać się medytacji w nadziei na osiągnięcie taoistycznego stadium Nieśmiertelnego, jedynie dworski wesołek miał odwagę wytknąć tyranowi, że goni za ułudą, stwierdzając, iż zbudowany wielkim nakładem środków ogród udający las przyda się, gdyż na dworze cesarskim „pełno jest jeleni". Być może, gdyby Qin Shi Huangdi i jego następca chętniej nadstawiali ucha dla dowcipów chińskiego Stańczyka, ich imperium przetrwałoby dłużej niż zaledwie jedno pokolenie.

PROTOPLAŚCI

Na drugim końcu świata, w kręgu kultury śródziemnomorskiej, postać wyczyniającego ucieszne igrce trefnisia widzimy właściwie od zarania czasów historycznych. Po raz pierwszy pojawia się on w starożytnym Egipcie w czasach VI dynastii panującej w latach

eprasa.pl 0ffd589c24

Na obrazie Jana Matejki tylko Stańczyk zdaje sobie sprawę z tego, co czeka Rzeczpospolitą

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

2350–2190 p.n.e. Młody faraon Pepi I, wysyłając misję na południe do legendarnej krainy Punt, nakazał jej kierownikowi zdobyć dla siebie Pigmeja, wiele bowiem o członkach tego ludu słyszał i pragnął zobaczyć jakiegoś na własne oczy. Sługa tronu spisał się wyśmienicie i po kilku miesiącach rzeczywiście na dworze pojawił się mały czarnoskóry człowieczek. Zafascynowany nim Pepi uczynił Pigmeja nadwornym błaznem i kazał mu się rozśmieszać wykonywaniem plemiennych tańców.

Żyjący w III w. n.e. grecki uczony Atenajos w księdze „Uczta sofistów" przytacza napisany 600 lat przed jego czasami list opisujący udział w wesołej macedońskiej biesiadzie, w której trakcie gości bawił trefniś Madrogenes. Z treści pisma dowiadujemy się, że był on potomkiem całej długiej dynastii błaznów wywodzących się od niejakiego Stratona z Aten. Czyli mamy tu już do czynienia nie tylko z figlarzem i żartownisiem do wynajęcia, lecz także z człowiekiem legitymującym się fachem przekazywanym z ojca na syna!

Panujący w I w. n.e. cesarz Domicjan z dynastii Flawiuszów również posiadał ulubionego wesołka. Mężczyzna ten był karłem cieszącym się dużą estymą swego pana. Niestety, dla małego trefnisia władca miał skłonności sadystyczne i nic mu tak nie sprawiało przyjemności, jak cudzy ból, dość powiedzieć, że jego ulubioną zabawą było wyrywanie skrzydeł muszkom. Pewnego dnia znudzony imperator nakazał swemu ulubieńcowi stanąć pod ścianą z rozłożonymi na krzyż rękami, po czym złapał za łuk i przeszył jedną z dłoni karła strzałą, przyszpilając ją do ściany. Gdy wrzeszczący z bólu błazen próbował za pomocą drugiej ręki się uwolnić, również ją cesarz przygwoździł celnym strzałem, po czym, czerpiąc niewysłowioną rozkosz z męki zadanej drugiemu człowiekowi, poszedł sobie, zaśmiewając się w głos.

Upadek zachodniego cesarstwa rzymskiego zaowocował ogromnym regresem we wszystkich dziedzinach kultury, ale błaznowi udało się przetrwać kryzys, by rozświetlać pogrążoną w mrokach średniowiecza Europę swymi żartami.

Pierwszy znany nam z imienia trefniś żyjący w tym okresie pojawia się w źródłach już w roku 503. Nosił on imię Bertoldo i zimą 503 r. został sprowadzony na dwór germańskiego władcy Lombardii – Albina, by dać barbarzyńskiemu monarsze możliwość rozrywki kosztem biednego kaleki, będącego wzrostu dziecka, a zarazem obdarzonego garbem. Jak można było się spodziewać po na wpół dzikim władyce i jego otoczeniu, zebrani na uczcie, na której zaprezentowano nieszczęśnika, ubawili się po pachy, szydząc z niego i obrzucając go resztkami jedzenia. Bertolodo tylko spojrzał na nich melancholijnym wzrokiem, po czym powiedział: „Myślałem, że król ma więcej rozumu". Za tę obrazę majestatu Albin skazał mężczyznę na śmierć, ten jednak wyprosił dla siebie „łaskę" wyboru drzewa, na którym zostanie powieszony. Okrutny monarcha przystał na to, a Bertoldo wskazał katowi… sadzonkę niewiele wyższą od pęku trawy! Koncept ten tak rozbawił germańskiego władcę,

eprasa.pl 0ffd589c24

że darował nieszczęśnikowi życie i uczynił go swoim trefnisiem.

Awans ten nie oznaczał bynajmniej końca kłopotów Bertolda, którego jeszcze wielokrotnie spotykały na dworze sytuacje grożące śmiercią – pewnego dnia żona Albina próbowała wręcz rzucić karła na pożarcie dwóm wściekłym brytanom, ocalał tylko dzięki temu, że zawczasu zaopatrzył się w królika, którym rozproszył uwagę nacierających na niego bestii.

JEDYNY, KTÓRY MÓWI PRAWDĘ

Wraz z upływem wieków postać błazna coraz mocniej wrastała w tkankę średniowiecznej Europy. Stopniowo kolejne dwory królewskie oraz książęce zatrudniały etatowych wesołków mających bawić swoich panów żartami. Działo się to także w Polsce: gdy Zbigniew – przyrodni brat Bolesława Krzywoustego – powracał do kraju po latach spędzonych na wygnaniu w klasztorze, towarzyszyła mu liczna (budząca zgorszenie pobożnych ludzi) kompania błaznów, śpiewaków i innych pieczeniarzy.

O tym, że ziemie Piastów nie pozostawały w tyle w kwestii funkcjonowania zawodu trefnisia, świadczy intrygujący wpis z kroniki Wincentego Kadłubka. Wedle słów dziejopisa po bitwie nad Mozgawą, która rozegrała się 3 września 1195 r., biskup krakowski Pełka, nie mogąc się doczekać nadejścia oficjalnych informacji na temat wyniku starcia, wysłał na pobojowisko jednego z podległych mu księży, dla bezpieczeństwa przebranego w strój błazna. Wynika z tego, że pod koniec XII w. ludzie tego typu byli już dobrze zadomowieni w naszych stronach, co więcej – uznawano ich za nieszkodliwych i stanowili na tyle powszechny widok, że obecność jednego z nich w miejscu bitwy nie budziła zdziwienia ani wrogości – czy to żołnierzy zwycięskiej strony, czy też obdzierających trupy z dobytku miejscowych.

Co ciekawe, wydaje się, że na błaznowaniu – nie tylko przy pańskim dworze, lecz także po gościńcach i w domach mieszczan – można było całkiem nieźle zarobić. Jeden ze statutów wydanych przez księcia wielkopolskiego Władysława Odonica dotyczył statusu prawnego wsi podarowanej klasztorowi przez mężczyznę, którego zawód określono łacińskim słowem oznaczającym żonglera lub błazna. Pozostaje zadać sobie pytanie, które postawił już autor monumentalnej monografii „Błazen. Dzieje postaci i motywu" – Mirosław Słowiński – czy darczyńca zbił taki majątek na działalności komedianta, że stać było go na zakup całej miejscowości, czy też pochodził z rycerskiego rodu i odziedziczył ją w spadku? Tylko czy rycerz poniżyłby się do założenia czapki trefnisia? Wbrew pozorom odpowiedź nie jest wcale oczywista, we Włoszech zdarzali się błaźni pochodzący ze stanu duchownego, kilku z nich służyło wręcz na papieskich dworach, bawiąc namiestników Piotrowych igrcami kompletnie nieprzystającymi do mnisiego (bo w większości byli to członkowie zakonów żebraczych) habitu.

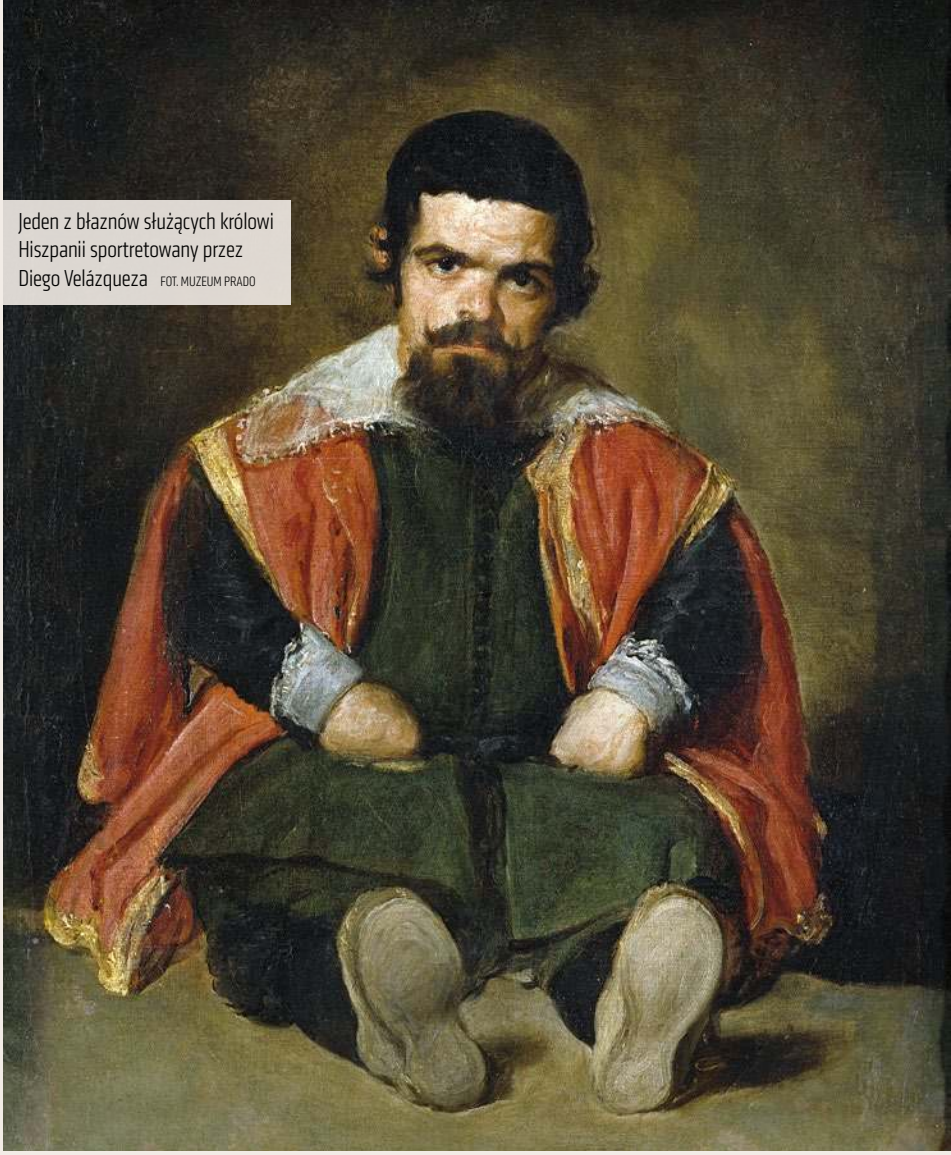

Jeden z błaznów służących królowi Hiszpanii sportretowany przez Diego Velázqueza FOT. MUZEUM PRADO

Na błaznowaniu można było nieźle zarobić nie tylko przy pańskim dworze, lecz także w domach mieszczan

Trudno określić, w którym z europejskich krajów stanowisko dworskiego żartownisia po raz pierwszy stało się nieodłącznym elementem życia dworu. Badacze zagadnienia, piszący jeszcze w XVIII w., wskazywali na Francję, ich dzisiejsi duchowi potomkowie mają jednak co do tego wątpliwości. Wiadomo jednak, że oficjalny urząd błazna dworskiego, rozumiany jako urząd państwowy, podobny choćby podczaszemu, powstał mocą werdyktu francuskiego króla Filipa V Długiego, który wydał w tej sprawie odpowiedni dokument w roku 1316. Trefnisie w pałacach Kapetyngów byli już jednak obecni od wieków, a sam edykt stanowił tylko formalne potwierdzenie istniejącego stanu rzeczy i miał za

eprasa.pl 0ffd589c24

zadanie przekonać ulubionego królewskiego błazna Geofreya do pozostania w Paryżu – szykował się on bowiem do ruszenia w świat i poszukania bardziej hojnego pracodawcy niż ten dotychczasowy.

Moda na dworskich komediantów powoli rozlewała się po całej Europie, a oni sami i ich rola stopniowo ewoluowali. Początkowo koronowane głowy bawiły głównie kawały oparte na przemocy, grubiaństwie i fizjologii. Najstarsze żarty ówczesnych trefnisiów często kończyły się finałem, w którym ktoś (bądź sam dowcipniś, bądź upatrzona przezeń ofiara) zostawał oblany fekaliami.

W późniejszych wiekach jednak wytworzył się nowy typ błazna, który zrodzony pod italskim niebem w przededniu renesansu zaczął powoli wypierać swych gruboskórnych kolegów. Zamiast nurzać się w kale czy robić inne równie „przyjemne" performance'y, trefnisie nowego rodzaju stawiali raczej na dowcip językowy, co więcej – dowcip inteligentny. Do zawodu przygotowywali się długo, prowadząc studia nad literaturą, które dziś uczyniłyby z nich profesorów uniwersyteckich. Nasz sławny Stańczyk biegle znał łacinę i był tak dobrze obeznany z toczącymi się za jego czasów sporami religijnymi, że biskup warmiński Marcin Kromer, pisząc jedno ze swych dzieł, przed puszczeniem go w obieg wysłał egzemplarz mądremu błaznowi ostatnich Jagiellonów do oceny!

Równocześnie na dworach monarszych rozwinęła się zasada, wedle której błazen był zwolniony z odpowiedzialności za swoje występki (bo zakładano, że z samej racji wykonywanego zawodu jest on niespełna rozumu). Postawiło to dworskiego żartownisia w komfortowej sytuacji – pośród płaszczących się dworaków on jeden, mimo że w praktyce znajdujący się na najniższej społecznej pozycji spośród wszystkich dworzan, mógł trzymać głowę prosto i mówić władcy prawdę prosto w oczy. Tam, gdzie inni prawili komplementy, błazen śmiało nakłuwał balon patosu, waląc z jednej strony wprost, z drugiej ubierając nieprzyjemne treści w tak dowcipne słowa, że krytykowany monarcha nie tylko się nie obrażał i nie słał go na szafot, lecz także dobrze się bawił, słuchając wylewanych na siebie pomyj.

W Polsce ostatnim władcą mającym na usługach pełnoprawnego błazna był Jan III Sobieski

To, że trefniś mógł cieszyć się bezkarnością na dworze, budziło zazdrość zwykłych ludzi żyjących w ramach sztywnego sytemu feudalnego. Nie powinno zatem dziwić, że gdy po śmierci aktualnego królewskiego błazna (utarło się bowiem, że pełnili oni tę funkcję dożywotnio) zwalniał się etat, do konkursów mających wyłonić następcę bawiącego obecnie dusze w Hadesie nieboszczyka zgłaszał się tłum kandydatów. Istnieją nawet przesłanki za tym, że niektóre miasta lub rodziny wyspecjalizowały się w dostarczaniu nowych śmieszków. Inna rzecz, że gdy spojrzy się w średniowieczne źródła, włosy potrafią stanąć na głowie – jedna z takich „fabryk błaznów" dawała klientom gwarancję na piśmie, że jej absolwenci wskutek przebytego szkolenia (a raczej tresury) do swych nowych pracodawców trafią jako kompletni pomyleńcy!

U schyłku średniowiecza i w początkach renesansu trefniś był zatem jedynym człowiekiem cieszącym się pełną wolnością wypowiedzi. Paradoksalnie towarzyszyło temu zniewolenie w sensie fizycznym – błazna uznawano za część inwentarza jego pana i mógł on być przez niego podarowany komuś lub zapisany w testamencie. Mimo że z samej racji wykonywanego zawodu musieli pozbyć się godności osobistej, krążące po Europie przysłowie mówiło, iż jedynymi wolnymi ludźmi na świecie są władcy i ich trefnisie. Dworskich wesołków nazywano niekiedy „kaznodziejami książąt", doceniając rolę, którą odgrywali w przekazywaniu swym pracodawcom niewygodnych prawd.

MILKNĄCY ŚMIECH

W okresie odrodzenia własnego błazna posiadał każdy europejski dwór. Na Wawelu działał nasz słynny Stańczyk, w innych krajach mnogość jego odpowiedników. Sytuacji tej nie zmieniło nadejście epoki baroku, w XVII w. wielcy królowie i cesarze nadal zatrudniali chętnie ludzi mających ich rozśmieszać.

Niekiedy możemy nawet spojrzeć im w twarz, bo zachowały się portrety kilku z nich. I tak np. wielki hiszpański artysta Diego Velázquez namalował trefnisiów służących królowi Hiszpani Filipowi IV (1605–1665). Studia te olśniewają swym wykonaniem, jednakże oglądającym wizerunki habsburskich błaznów widzom może zrodzić się w duszy pewien dysonans – przedstawieni na płótnach mężczyźni są co do jednego porażająco ponurzy! Całkiem możliwie, że na madryckim dworze, ujętym w ramy sztywnej etykiety i opanowanym przez atmosferę przeradzającej się w fanatyzm dewocji, nawet tym, którzy zarabiali na swój kawałek chleba opowiadaniem żartów, bynajmniej nie było do śmiechu. A że – jak poświadczą wszyscy, którzy mieli do czynienia z takim widokiem – nie ma na świecie nic bardziej przykrego niż smutny klown, efekt obcowania z tymi portretami jest porażający.

W Polsce ostatnim władcą mającym na swych usługach pełnoprawnego błazna był Jan III Sobieski. Na dworach późniejszych monarchów funkcja ta nadal figurowała, jednak pełniący ten urząd nie mieli już dawnych powinności. Wciąż chętnie śmiano się (niestety) z ludzi kalekich, zwłaszcza karłowatych, i ten szpetny obyczaj przetrwać miał aż do początku XX w., zwłaszcza wśród pospólstwa, ale dla igrców, którzy w żartobliwy sposób mówili królom prawdę, w upadającej Rzeczypospolitej miejsca już nie było. Ostatni królewski błazen służył przy boku Augusta III Sasa, jednak jego głównym zadaniem było podawanie temu niedorobionemu monarsze fajki, gdy króla nachodziła ochota zapalić. Stanisław August Poniatowski po swej intronizacji oficjalnie zerwał z pozostającą już fikcją tradycją, nie obsadzając wakującego urzędu trefnisia. Również na Zachodzie fach ten stopniowo odchodził w niepamięć; błaźni bawili koronowane głowy głównie w rozdrobnionych na liczne księstwa Niemczech i na carskim dworze w Petersburgu, co nie powinno nikogo specjalnie dziwić, bo – jak wiadomo – Moskale w każdej kwestii, w tym poczucia humoru, pozostają daleko w tyle za resztą świata…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Z Wacławem Holewińskim, pisarzem i wydawcą
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

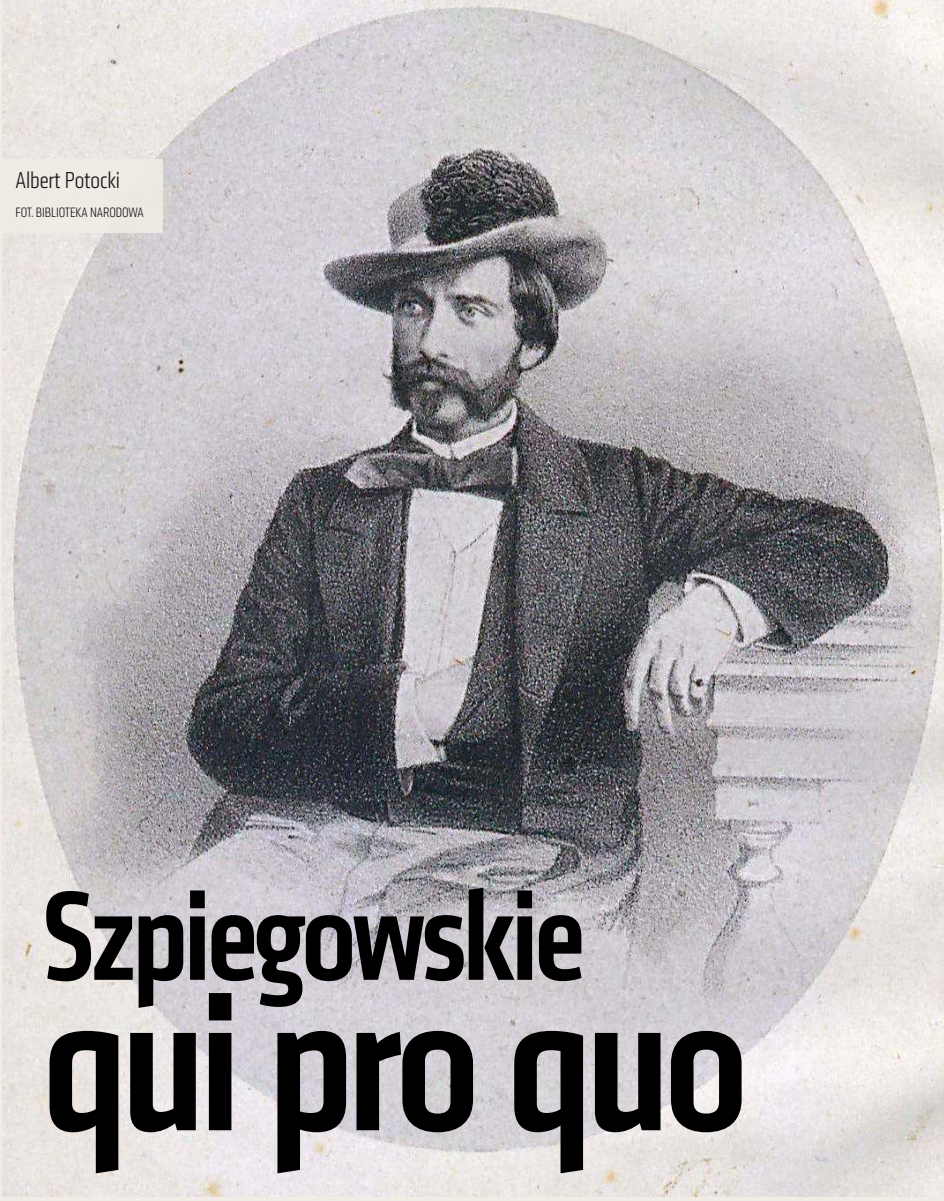

Albert Potocki
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Szpiegowskie qui pro quo

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Alfred Potocki alias Julian Aleksander Bałaszewicz to pierwszy bohater szwarccharakter w pańskiej prozie?

WACŁAW HOLEWIŃSKI: Uściślijmy, pierwszy występujący w roli wiodącej, wokół niego snuje się nić fabularna. Był człowiekiem niezwykłym, jeżeli chodzi o umiejętności i skalę manipulację innymi ludźmi. Bezbłędnie rozpoznawał ich słabości, przywary, mankamenty i potrafił je doskonale wykorzystać. Wyrządził kolosalne szkody polskiej i rosyjskiej emigracji połowy XIX stulecia. Wydatnie przyczynił się do krachu powstania styczniowego.

Wykazywał liczne zainteresowania.

Parał się poezją, ale jego debiutancki – i jedyny zarazem – tomik wierszy, zatytułowany „Niezabudki z brzegów Newy", opublikowany w nakładzie – używając współczesnej terminologii – niszowym, nie odniósł sukcesu. Jako oficer armii carskiej też się nie sprawdził. Podobnie jak w roli wydawcy. Zgromadził za to, odkupioną potem przez cara, potężną kolekcję starożytności, którą do dziś można oglądać w Ermitażu. Specjalnego wykształcenia ani obycia nie miał, lecz zdołał zaciekawić swą osobą znaczące figury swoich czasów. Dajmy na to metropolitę moskiewskiego Cerkwi prawosławnej w imperium Romanowów, nieprzyjmującego byle kogo, czy też brata ówczesnego cara, któremu przesłał pieczołowicie przygotowany memoriał. Musiał zawierać ważne dokumenty, przekonując o dużej wiedzy ofiarodawcy i jego przydatności dla Rosji.

Stał się chyba najważniejszym szpiegiem rosyjskim w okresie powstania styczniowego, kilka lat przed nim i parę po jego upadku.

Działał nie tylko w obszarze polskiej emigracji (chociaż głównie), lecz także rosyjskiej. Potrafił skłócić najważniejsze postaci tych kręgów. Planował nawet zastąpić Karola Marksa w I Międzynarodówce. Być może ten śmiały projekt by się powiódł, gdyby Rosjanie w większym stopniu zaangażowali się w jego wsparcie. Zwłaszcza finansowe.

Jak to możliwe, że przez tyle lat nie został zdemaskowany?

To rzeczywiście zdumiewająca zagadka. Przybrał tożsamość zmarłego hrabiego Alfreda Potockiego, starszego od niego o lat 30. Zdumiewające, tym bardziej że żyli przecież jeszcze ludzie znający arystokratę.

Może Bałaszewicz opłacił ich milczenie, z funduszów carskich rzecz jasna?

Warto pamiętać, że ponad półtora wieku temu obieg informacyjny był znacznie mniej rozwinięty i funkcjonował znacznie wolniej niż teraz. Przesyłki krążyły tygodniami, gazety przekazywały informacje z opóźnieniem, a fotografia dopiero raczkowała. To była jednak zupełnie inna rzeczywistość. Tak czy inaczej nierozpoznanie prowokatora dowodzi olbrzymiej naiwności, niekiedy ignorancji, naszej emigracji, podejmującej go z atencją i zaufaniem. Dość powiedzieć, że działania Bałaszewicza/Potockiego legitymizował listownie sędziwy gen. Henryk Dembiński, dzielny uczestnik wojen napoleońskich, powstania listopadowego i Wiosny Ludów.

eprasa.pl 0ffd589c24

Dlaczego Bałaszewicz zszedł na manowce?

Bez wątpienia kierowały nim pobudki materialne. Niemniej marzył też o zaistnieniu na scenie, jako istotna persona polskiej emigracji. W innej niż agenturalna konfiguracji szanse na to miał znikome. Nie był bogaty – pochodził ze zubożałej szlachty zagrodowej osiadłej na Wileńszczyźnie, brakło mu kwalifikacji, kulał językowo. Cechowało go poczucie niedoceniania, jednocześnie kipiał energią, a w swej działalności wykazywał niezwykłą inicjatywę. Trudno także nie docenić jego sprytu, przebiegłości i inteligencji.

Nie byłoby Bałaszewicza/Potockiego bez pewnego Rosjanina…

To prawda, to Jakub Tołstoj, rezydent wywiadu carskiego na Europę Zachodnią, nie tylko dostrzegł w nim ten zadziwiający talent, lecz także stał się jego protektorem.

Epicentrum działań szpiegowskich Bałaszewicza/Potockiego stanowiło powstanie styczniowe?

Bardzo przyczynił się do krachu tej rebelii. Po pierwsze, dzięki porozumieniu zawartemu z prefektem policji paryskiej zyskał możliwość perlustracji całej (sic!) korespondencji polskiej emigracji. Wykorzystując wiadomości z listów, choć nie tylko pochodzące stamtąd, spowodował, że liczne transporty broni i amunicji dla powstańców wpadły w ręce Rosjan albo Austriaków, którzy także je rekwirowali.

Po wtóre, potrafił skonfliktować polską emigrację polityczną. Jej reprezentanci oskarżali się nawzajem o zdradę, co powodowało szalone awantury, wzmagało poczucie nieufności oraz podejrzliwości. Sparaliżowało to działania zbrojne, finansowe i propagandowe wspierające powstanie styczniowe, ponieważ w takiej atmosferze trudno funkcjonować skutecznie.

Układ z policją francuską wyszedł na jaw.

Bałaszewicz/Potocki musiał opuścić stolicę Francji. Wyjechał do Londynu, gdzie kontynuował żywot ze skradzioną tożsamością. I znów nikt nie ujawnił jego prawdziwej roli.

Niewiarygodne!

Niewiarygodne! Co więcej, niebawem stał się czołową postacią polskiej emigracji w Anglii. O jego randze przekonuje choćby to, że kiedy Wyspy Brytyjskie odwiedził Giuseppe Garibaldi, listy zachęcające do pomocy dla bijącej się o niepodległość Polski wręczał mu właśnie bohater mojej powieści.

W pańskiej powieści losy bohatera opisują trzy postaci.

O hrabim Tołstoju już wspomniałem. Z jego perspektywy śledzimy pełne niesnasek i intryg wydarzenia dziejące się zarówno w Petersburgu czy Moskwie, jak i ambasadzie Rosji w Paryżu. Poprzez nie, a także obrazki z życia rodzinnego dyplomaty usiłowałem ukazać rosyjską mentalność.

Aleksander Butkowski to również postać autentyczna. Urzędnik ministerialny z Warszawy, osobnik o niemałych zdolnościach lingwistycznych, niewątpliwie rosyjski szpicel, dokooptowany do pomocy Bałaszewiczowi/Potockiemu. Służył mu ochoczo i wiernie, ale do czasu. Najpewniej trawiony niedowartościowaniem, biedą i narastającym nałogiem alkoholowym zdecydował się wydać swego pryncypała. Początkowo mu nie uwierzono, lecz przedstawione dokumenty okazały się aż nadto przekonujące.

Nim to się stało, Bałaszewicz/Potocki wkradł się w łaski rosyjskich przeciwników caratu…

Zwrócił uwagę Aleksandra Hercena i Michaiła Bakunina, śląc do jednego z nich pisma sygnowane pseudonimem Abrakadabra. I adresat, który nigdy nie wchodził w dyskusję z anonimami, nagle zaczął korespondencję z nadawcą. Ten wyrachowany agent miał rzadki dar wpływania na ludzi. Umiał ich sobie owinąć wokół palca.

A co wiadomo o jego życiu prywatnym?

Nigdy się nie ożenił, nie pozostawił potomstwa… Wiemy o nim niewiele. Brakuje świadectw, relacji, wspomnień. Dane czerpiemy jedynie z wydanej przed półwieczem dwutomowej edycji „Raportów szpiega", opracowanej przez prof. Rafała Gerbera. Toteż rekonstruując życiorys i dokonania opisywanego, musiałem oczywiście posiłkować się wyobraźnią. A także rozmaitymi archiwaliami, celem uwiarygodnienia realiów.

Z jakiej przyczyny zajął się działalnością antykwaryczną?

Przypuszczam, że umożliwiło mu to zaistnienie pośród elity. Jego klientelę stanowili ludzie zamożni, ustosunkowani, wpływowi, nierzadko obcokrajowcy. Znajomości te z pewnością mogły mu się przydać. Nie tylko zresztą w procederze agenturalnym. Przynosiła mu też po prostu pieniądze.

Jego trop urywa się we mgle.

W Londynie zdiagnozowano u niego suchoty, jak wtedy nazywano gruźlicę. Wilgotny klimat wyspiarski nie służył leczeniu, więc przeprowadził się na Lazurowe Wybrzeże – zakotwiczył w Nicei. To ostatni ślad w jego curriculum vitae. Intuicja podpowiada mi, że ponieważ we Francji został zdemaskowany, zamierzał rozpocząć kolejny etap w życiu. Może zmienił personalia i popłynął do Stanów Zjednoczonych, które po wojnie secesyjnej dla wielu Europejczyków stały się ziemią obiecaną? To tylko moja intuicja.

A dalsze losy Tołstoja i Butkiewicza są mniej tajemnicze?

Pierwszy dożył swych dni – otoczony dostatkiem i szacunkiem – w swojej rosyjskiej posiadłości. Drugi przepadł w pomroce dziejowej. Ponieważ dysponował niebezpieczną wiedzą, mógł zostać zlikwidowany przez Rosjan. Choć wydaje mi się raczej, że w Szwajcarii – dokąd trafił – stoczył się na margines, dokonując żywota w przytułku względnie więzieniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wacław Holewiński – pisarz, wydawca (współzałożyciel Przedświtu, czołowej oficyny drugiego obiegu), radiowiec, autor kilkunastu powieści, m.in.: „Lament nad Babilonem", „Przeżyłem wszystkich poetów", „Za późno na modlitwę", „Choćbym mówił językiem ludzi i aniołów", „Szwy", „Honor mi nie pozwala", tryptyku „Pogrom", „Krew na rękach moich", „Oraz wygnani zostali", „Cieniem będąc, cieniem zostałem" oraz najnowszej – „A potem już tylko mgła". Laureat Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza za książkę „Opowiem ci o wolności".

eprasa.pl 0ffd589c24

Czego pragną

Witold Repetowicz

Celem irańskiej polityki nie jest zniszczenie Izraela, lecz budowa międzynarodowej pozycji Iranu jako regionalnego mocarstwa. Ideologia odgrywa jednak bardzo ważną rolę, a interes Islamskiej Republiki nie zawsze jest zbieżny z interesem Irańczyków. Innego Iranu jednak nie ma i nikt nie ma zamiaru go „wyzwalać"

Izraelska aktywistka Emily Schrader zaapelowała w mediach społecznościowych, by nie mówić o konflikcie Izraela z Iranem, lecz z Islamską Republiką, gdyż – jak stwierdziła – „Izrael jest sojusznikiem Iranu", a Islamska Republika nie tylko nie reprezentuje Irańczyków, lecz także jest ich wrogiem.

To oczywiście część izraelskiej propagandy, choć faktem jest, że „Islamska Republika" i „Iran" to nie to samo. Relacja między tymi dwoma pojęciami jest mniej więcej taka, jak między PRL a Polską, choć oczywiście do wszelkich analogii trzeba podchodzić z ostrożnością. Wiarygodnych badań opinii publicznej w Iranie nie ma, a w wyborach prawo do kandydowania mają wyłącznie osoby popierające obowiązujący ustrój, a zatem trudno powiedzieć, jaki odsetek popiera wprowadzoną w 1979 r. Islamską Republikę i jej politykę zagraniczną, a jaki ją odrzuca.

Zwolennicy Islamskiej Republiki stanowią jednak znaczący odsetek wśród Irańczyków, choć nie absolutną ich większość. Poza tym Iran nie jest okupowany przez Marsjan, którzy przylecieli z kosmosu i napadli na ten kraj, a teraz narzucają obce Irańczykom zasady. W przeciwieństwie do PRL, który nie powstał z woli naszego narodu, Islamską Republikę stworzyli sami Irańczycy i nigdy nie opierała się ona na obcej sile. Tyle że nastroje i oczekiwania Irańczyków się zmieniły. Jednak w Iranie nie ma demokracji, która umożliwiłaby im zmianę władzy i jej kursu, a Islamska Republika zwalcza z równą zaciętością swoich wrogów zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

IRAN ZATEIZOWANY

Iran jest przedmiotem skrajnych stereotypów. Jedni widzą w Irańczykach prymitywnych fanatyków, którzy w święto Aszury biczują się łańcuchami i kaleczą siebie i swoich synów nożykami, zalewając się w ten sposób krwią. Jak mówili Rzymianie: volenti non fit iniuria (chcącemu nie dzieje się krzywda). Nikt od tego nie wylatuje w powietrze, a to nie oni organizują zamachy w Europie. Sama Aszura to święto upamiętniające śmierć imama Husajna, kluczowej postaci dla szyitów, którzy stanowią ponad 90 proc. populacji Iranu. Poza tym ten zwyczaj samookaleczania się (zwany tatbir) jest bardziej popularny wśród arabskich szyitów, a Najwyższy Przywódca Iranu Ali Chamenei wprost go zakazał.

Innym z kolei wydaje się, że jak ktoś jest w Iranie miły dla cudzoziemca z Zachodu, to znaczy, że jest w opozycji do Republiki Islamskiej, a jedno z drugim w rzeczywistości nie ma nic wspólnego. Iran jest i zawsze był krajem bezpiecznym dla obcych, pod warunkiem że respektowali miejscowe zasady. Te obyczaje są dzisiaj bardzo różne, gdyż z jednej strony są osoby bardzo konserwatywne, z drugiej zaś takie, które odrzucają nakazy narzucone przez Islamską Republikę, a często również sam islam. Iran ma obecnie opinię jednego z najbardziej zateizowanych państw w świecie muzułmańskim.

Świat Islamskiej Republiki i świat Iranu to nie rozłączne i całkowicie sprzeczne ze sobą porządki. W wielu rodzinach są zarówno osoby kontestujące Islamską Republikę, jak i takie, które ją popierają i niekoniecznie muszą się wzajemnie nienawidzić. Z kolei Islamska Republika nie odrzuca nieislamskiego dziedzictwa Iranu, a wiele osób z jej elit politycznych i wojskowych (w tym z Sepah, czyli osławionej Gwardii Rewolucyjnej) się do niego odwołuje. Na organizowanych przez ambasadę Iranu 21 marca obchodach Nowruzu, czyli nowego roku irańskiego, nie wszystkie Iranki były w obowiązkowych w Iranie chustach (hidżabach) i nie przeszkadzało im to w toczeniu przyjaznych

eprasa.pl 0ffd589c24

Irańczycy?

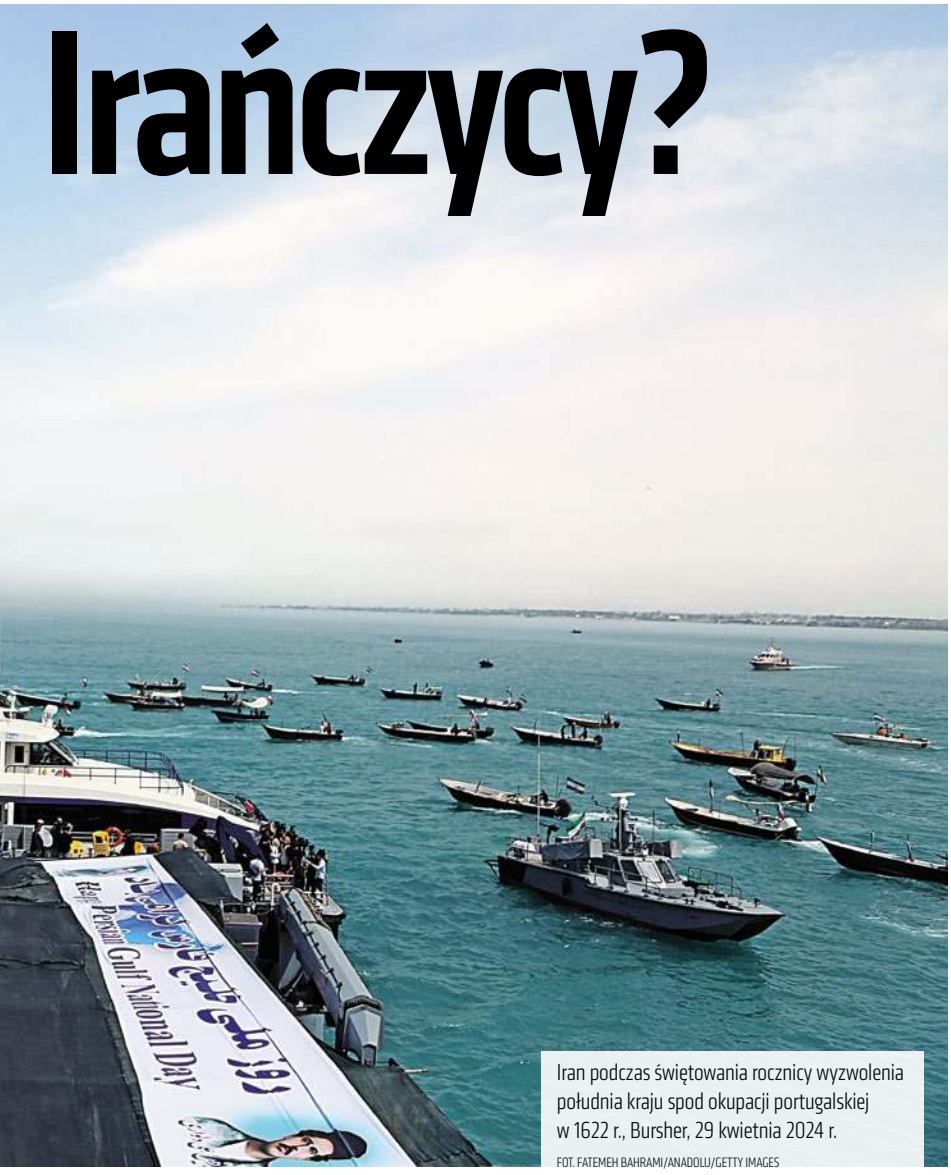

Iran podczas świętowania rocznicy wyzwolenia południa kraju spod okupacji portugalskiej w 1622 r., Bursher, 29 kwietnia 2024 r.

FOT. FATEMEH BAHRAMI/ANADOLU/GETTY IMAGES

pogawędek z dyplomatami swojego kraju, którzy teoretycznie powinni uznać je za bezbożnice godne surowej kary. W całej uroczystości niewiele było akcentów islamskich. Jednak ci, których Islamska Republika uważa za zagrożenie, muszą się liczyć z jej bezwzględnością. Dlatego dopóki cudzoziemiec nie miesza się do jakiejś zakazanej przez Iran aktywności, dopóty może liczyć na legendarną irańską gościnność i włos mu z głowy nie spadnie. Bo Iran to bardzo bezpieczny kraj.

Irańczycy nie mają powodu, by być awangardą walki z Izraelem, a także by widzieć w nim sojusznika. Iran nie jest przecież krajem arabskim, a – co prawda – jest muzułmańskim, ale szyickim, natomiast Palestyńczycy są sunnitami. Paradoksalnie to właśnie dlatego Iran uczynił ze sprawy palestyńskiej jeden z fundamentów swojej ideologii. Chodzi o to, że na zdominowanym przez Arabów Bliskim Wschodzie i w świecie muzułmańskim, w którym głównym nurtem jest sunnizm, Iran pozostaje obcym, który nie może pretendować do przywództwa. Twórcy Islamskiej Republiki przekonali się o tym w 1979 r., gdy po rewolucji chcieli eksportować ten model do innych krajów muzułmańskich. Od lat 60. ich relacje z sunnickimi islamistami spod znaku Bractwa Muzułmańskiego były całkiem dobre. Ale gdy okazało się, że niearabski i niesunnicki podmiot chce przewodzić, wywołało to sprzeciw. Cały świat arabski stanął później po stronie Saddama Husajna, gdy iracki dyktator postanowił zaatakować Iran.

WRÓG NUMER JEDEN

Dzisiaj Iran żeruje na hipokryzji państw arabskich, które mają dość wspierania sprawy palestyńskiej i wolą robić interesy z Izraelem, ale jednocześnie boją się reakcji arabskiej ulicy. Dzięki temu Iran może prezentować się jako główny patron walki Palestyńczyków, a to, że Izrael uznaje go za wroga numer jeden, dodaje temu wizerunkowi wiarygodności. W ten sposób Iran wzmacnia swoje wpływy na Bliskim Wschodzie i w szeroko rozumianym świecie muzułmańskim. Oczywiście wielu religijnych muzułmanów uważa za swój obowiązek wspierać braci w wierze. Inni, bez względu na stosunek do Islamskiej Republiki, współczują mieszkańcom Gazy tak, jak robi to znaczna część światowej opinii publicznej, gdy widzą zniszczone domy i słyszą o kolejnych zabitych dzieciach. Wielu Irańczyków nie ma jednak nic przeciwko istnieniu Izraela, zwłaszcza że w kilkutysięcznej historii obu narodów nie mieli żadnych konfliktów. Z kolei Arabowie przecież najechali ich w VII w. i położyli kres starożytnemu imperium. Później zaś wspierali Saddama, gdy ten popełniał zbrodnie w wojnie z Iranem. Dla wielu Palestyńczyków dawny iracki dyktator wciąż jest bohaterem.

„Islamska Republika", nawet gdyby chciała, nie może dokonać normalizacji relacji ani z Izraelem, ani z USA, gdyż określenie ich jako odpowiednio „Małego Szatana" i „Wielkiego Szatana" to jej credo. Tu również jest pełno paradoksów. Kilka lat temu widziałem zdjęcie z jednej z rytualnych demonstracji antyamerykańskich w Teheranie. Dwóch młodych chłopaków, niewyglądających bynajmniej na jakichś islamskich bojowników, robiło sobie pamiątkową fotkę, trzymając w ręku transparent z napisem „Marg bar Amerika", co po persku znaczy „śmierć Ameryce". I nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że jeden z nich miał na sobie koszulkę z napisem „I love NYC". Trzydzieści pięć lat temu, gdy Irańczycy obalali szacha, mieli powody, by nienawidzić Ameryki, ale to było dawno i od tego czasu wiele się

eprasa.pl 0ffd589c24

zmieniło. Dziś wiele osób jest przekonanych, że Rosja jest naturalnym sojusznikiem Iranu. Tyle że Iran ma bardzo długą historię wojen z tym państwem, a ostatnia z nich została stoczona raptem w 1941 r. Tymczasem do 1953 r. Iran nie miał żadnych negatywnych doświadczeń z Amerykanami. Wręcz przeciwnie – w muzeum w Tebrizie jest ekspozycja poświęcona bohaterowi irańskiej rewolucji konstytucyjnej Howardowi Baskerville'owi, nauczycielowi urodzonemu w Nebrasce i zabitemu przez rosyjskich kozaków w irańskim Tebrizie.

ZACHÓD OBALAŁ DEMOKRACJĘ

Paradoksem jest też to, że Zachód nigdy nie próbował wprowadzać w Iranie demokracji, ale za to co najmniej dwa razy przyczynił się do jej obalania. Za pierwszym razem zrobili to Brytyjczycy (wespół z Rosjanami, no ale ci to wszak Azjaci). W 1906 r. Irańczycy zmusili nieudolnego szacha do wprowadzenia konstytucji (wzorowanej na belgijskiej) i stworzenia parlamentu, a ówcześni szyiccy przywódcy Iranu uznali, że zwalczanie demokracji jest jednym z najgorszych występków przeciwko religii i zasługuje na karę śmierci. Słaby władca był jednak wygodny dla zagranicznych potęg rozkradających dzięki temu Iran. Natomiast w 1953 r. haniebną rolę odegrali Amerykanie, którzy obalili w miarę demokratycznie wybranego premiera Mohammada Mosaddegha, przeprowadzając niepotępioną do dziś operację „Ajax". Narzucili Mohammada Rezę Pahlaviego, którego dyktatorskie rządy otworzyły drogę do rewolucji islamskiej w 1979 r.

Jego syn, Reza, w ubiegłym roku odwiedził Izrael, co oczywiście zostało mocno wykorzystane propagandowo. Reza próbował w ten sposób wykreować się na lidera opozycji przeciwko Islamskiej Republice, a Izrael pokazać, że wspiera „prawdziwych" Irańczyków, zwalczając reżim, który ich gnębi. Miało to miejsce w czasie, gdy w Iranie trwały protesty po śmierci Mahsy Amini, młodej dziewczyny zakatowanej na śmierć przez policję obyczajową za to, że miała według tych strażników moralności źle nałożony hidżab. Problem jednak w tym, że działania Izraela nie tylko nie przyniosły poprawy życia Irańczyków, lecz także spowodowały znaczne pogorszenie, a Islamska Republika daleka jest od upadku. Zresztą można mieć głębokie wątpliwości, czy Izraelowi akurat zależy na tym, by do niego doszło, czy też chce po prostu osłabienia tego państwa.

Gdy w 2015 r. zawarto z Iranem porozumienie w sprawie jego programu nuklearnego (JCPOA), rządzili tam otwarci na współpracę z Zachodem pragmatycy. Sprzyjało to rozluźnianiu rygorów, a także poprawie ogólnej zamożności. Izrael jednak naciskał na USA, by wycofały się z JCPOA i uderzyły na irańskie instalacje atomowe. Ówczesny szef irańskiej dyplomacji, Dżawad Zarif – nawiasem mówiąc, wykształcony na amerykańskich uczelniach – skwitował te starania stwierdzeniem, że „Izrael jest gotowy do walki z Iranem do ostatniego żołnierza… amerykańskiego". Izrael przekonywał przy tym świat, że Iran chce zdobyć broń atomową, by go nią zaatakować. Irańczycy natomiast twierdzili, że program ma charakter pokojowy, a sam Najwyższy Przywódca wydał fatwę (religijny edykt), że broń nuklearna jest sprzeczna z islamem. Oczywiście można podawać w wątpliwość szczerość tego stwierdzenia, ale nie ma też żadnych dowodów, by Iran chciał wyjść poza status państwa progowego (czyli takiego, które nie ma broni nuklearnej, ale może ją szybko stworzyć). Prawdopodobnie Iran już jakiś czas temu doszedł do tego poziomu, ale nie przekracza czerwonej linii, bo oznaczałoby to utratę przez niego międzynarodowej wiarygodności, na której bardzo mu zależy.

Kompletnym absurdem jest natomiast teza, że Iran chciałby takiej broni użyć do ataku na Izrael, gdyż byłoby to samobójstwo Islamskiej Republiki. Odpowiedź byłaby druzgocąca i nikt nie stanąłby po stronie Iranu. Tymczasem jego władze nie działają bynajmniej irracjonalnie, a teza, że zdolne byłyby do takiego kroku w imię religijnego fanatyzmu, jest po prostu śmieszna.

DOKRĘCANIE ŚRUBY

Wycofanie się z JCPOA przez Trumpa, co ucieszyło Izrael, bynajmniej nie było marzeniem Irańczyków. Nałożenie sankcji, powrót napięć w relacjach między Iranem a Zachodem i zwrot w kierunku Rosji i Chin, przyniosły pogorszenie się poziomu życia. Natomiast antyrządowe protesty zostały stłumione i wielu młodych Irańczyków niepotrzebnie zginęło. Nigdy bowiem perspektywa obalenia ustroju w taki sposób nie była realna. Z polityki wyeliminowano pragmatyków i reformatorów, a reżim zaczął coraz mocniej dokręcać śrubę. I ostatnią rzeczą, o jakiej w takich warunkach marzyli Irańczycy, jest to, aby ktoś zaczął bombardować ich kraj. Oczywiście Republika Islamska nie upadłaby w wyniku takich nalotów, a inwazja lądowa jest szaleństwem i o niej też nikt w Iranie nie marzy. A już szczytem abstrakcji jest pomysł, by Iran miał być wyzwalany przez Izraelczyków. Oni chętnie zostawią to USA i jego europejskim sojusznikom, np. Polakom.

Oczywiście inna jest perspektywa części irańskiej diaspory, która jest od dawna oderwana od irańskich realiów. Chodzi tu w szczególności o pieszczochów Izraela, czyli monarchistów Rezy Pahlawiego oraz łączących marksizm z islamizmem mudżahedinów ludowych. Obie grupy mają znikome poparcie w Iranie, a ci drudzy przez ponad 20 lat byli sojusznikami Saddama Husajna i przez USA uznawani byli za terrorystów. Potem nagle przebranżowili się na liberalnych demokratów, by zyskać poparcie amerykańskich neokonserwatystów i Izraela. Izrael wspiera też wszelkiej maści separatystów w Iranie, a zdecydowana większość niechętnych Islamskiej Republice Irańczyków to nacjonaliści, więc raczej im się to nie podoba. W 2023 r. jedna trzecia członków Knesetu podpisała się np. pod listem wzywającym do uznania niepodległości „Azerbejdżanu Południowego", czyli dwóch północnych prowincji Iranu, w których „separatyzm" jest fikcją wymyśloną przez reżim Alijewów w Baku.

Iran z kolei podkreśla, że nie ma żadnego problemu z Żydami. W Iranie mieszka ich ok. 8 tys., ale są wpisani do konstytucji jako jedna z trzech, obok chrześcijan i zaratusztrian, legalnych mniejszości religijnych. Mają też swojego przedstawiciela w parlamencie, a także szkoły, obiekty sportowe, szpital i liczne synagogi. Choć trudno nazwać ich sytuację idyllą, to w ceremoniach religijnych nikt im nie przeszkadza. Władze Iranu ochoczo współpracują też z tymi Żydami, którzy mają negatywny stosunek do Izraela, np. ultraortodoksami uznającymi to państwo za bluźnierstwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. INSTAGRAM/FIT_AITANA/THE CLUELESS

PIERWSZE WYBORY SZTUCZNEJ MISS

Sztuczna inteligencja wkracza w kolejne obszary do tej pory zarezerwowane tylko dla ludzi. Po tym, jak AI wykreowała nieistniejącą w rzeczywistości influencerkę Aitanę Lopez (ma gigantyczną rzeszę obserwujących w sieci i przynosi dochody na poziomie 100 tys. euro miesięcznie), ogłoszono pierwszą edycję konkursu Miss AI. Konkurs będzie częścią World AI Creator Awards. Cyfrowi twórcy mogą nadsyłać projekty postaci powstałe przy udziale sztucznej inteligencji. Ocenie podlegać będą wygląd, wykorzystanie narzędzi AI oraz wpływowość w social mediach (liczba obserwujących, zaangażowanie fanów itd.).

NOWA POSADA DLA SYNA

Przywódca Czeczenii Ramzan Kadyrow ogłosił w mediach społecznościowych, że jego 16-letni syn zdobył nową posadę (wcześniej został już bowiem m.in. naczelnikiem służby bezpieczeństwa oraz kuratorem batalionu imienia szejka Mansura). Adam Kadyrow został kuratorem na Uniwersytecie Sił Specjalnych im. Władimira Putina w Gudermesie. Nikt nie wie, na czym polegać będzie jego rola kuratora, za to wiadomo, że nowa posada oznaczać będzie w przeliczeniu ok. 2 tys. zł pensji miesięcznie dla 16-latka oraz liczne premie i nagrody.

MINISTER ROLNICTWA ZA KRATAMI

Jedni urzędnicy z Ukrainy proszą cały świat o wsparcie, inni w tym samym czasie próbują okradać własny kraj. Sąd nakazał aresztowanie ministra rolnictwa Mykoły Solskiego. Ukraińskie Narodowe Biuro Antykorupcyjne poinformowało, że zarzuty wobec niego dotyczą nabycia gruntów będących własnością państwa o wartości odpowiadającej ok. 29 mln zł i prób zdobycia gruntów o wartości 1,9 mln zł. Urzędnikowi grozi do 12 lat więzienia.

REKORD W PRZYTULANIU

Niejaki Abubakar Tahiru, student z Ghany, zapragnął w USA zwrócić uwagę na „kluczową rolę drzew w ekosystemie i pilną potrzebę ochrony środowiska". W związku z tym w Tuskegee National Forest w amerykańskim stanie Alabama ustanowił rekord Guinnessa w przytulaniu się do drzew. Objął 1123 rośliny w godzinę.

FATALNA POMYŁKA W ZOO

Od 2017 r. w zoo w Osace przebywał samiec hipopotam Gen-chan. Pracownikom od początku coś nie pasowało, ale dopiero po siedmiu latach zdecydowano się na badania DNA. Te potwierdziły, że Gen-chan jest samicą. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Trump uratuje Europę?

Były amerykański prezydent i faworyt Partii Republikańskiej w tegorocznym wyścigu do Białego Domu Donald Trump powiększa w sondażach przewagę nad prezydentem Joe Bidenem. Według nowego sondażu dla CNN obecnego prezydenta USA popiera 43 proc. respondentów, tymczasem Donald Trump może liczyć na 49 proc. głosów.

Lewicowe media uparcie próbują wmówić swoim odbiorcom, że ponowna wygrana rzekomo prorosyjskiego Trumpa będzie katastrofą nie tylko dla Ameryki, lecz także dla Europy. Tymczasem chłodna analiza wskazywałaby, że administracja byłego prezydenta była wobec Kremla dużo ostrzejsza niż gabinet Obamy.

Wygrana Trumpa dla Starego Kontynentu mogłaby się okazać dużo korzystniejsza niż druga kadencja prezydenta Joe Bidena. I to nie tylko dlatego, że Trump jeszcze za pierwszej kadencji wybudził Europejczyków z niebezpiecznego snu o świecie bez wojen i bez zbrojeń. Strach, że Trump mógłby wycofać USA z NATO, a także groźby wobec krajów, które wciąż nie wydają na obronność nawet 2 proc. PKB, sprawiły, że Europejczycy przestali być wreszcie pasażerem na gapę w NATO i zaczęli modernizować własne armie. Być może dzięki drugiej kadencji Trumpa Europa wreszcie zrozumie, że bezpieczeństwo i dobrobyt są ważniejsze niż Zielony Ład.

Trump nie ukrywa, że światem nie rządzi polityczna poprawność, lecz siła i pieniądze. I choć lewica zrywała boki, gdy mówił, że za jego kadencji Putin bałby się dokonać inwazji na Ukrainę, to niewykluczone, że i tu miał rację. Za Trumpa świat był spokojniejszym miejscem niż dziś. Jeśli wygra, to Ameryka znów może budzić respekt.

eprasa.pl 0ffd589c24

Turystyka w cieniu

Maciej Pieczyński

Inwazja rosyjska zniszczyła wiele gałęzi ukraińskiej gospodarki. Paradoksalnie jednak wojna nie tylko nie doprowadziła do załamania się turystyki w zaatakowanym kraju, lecz także w pewnym sensie otworzyła przed nią nowe możliwości

Wojna trwa już trzeci rok. Trudno oczekiwać, aby przez tak długi czas Ukraińcy odmawiali sobie wypoczynku. Jednocześnie trudno się dziwić, że próbują wykorzystać uwagę świata, skupioną na nich z powodu wojny, i przyciągnąć zagranicznych turystów. Oczywiście tych, którzy szukają nie tyle ciepłej wody i palącego słońca, ile mocnych wrażeń. Od wielu lat rośnie popularność tzw. mrocznej turystyki (ang. dark tourism). Tym terminem określane jest podróżowanie do miejsc niebezpiecznych lub związanych ze śmiercią. W tę tendencję idealnie wpisuje się zwiedzanie Ukrainy po 24 lutego 2022 r. A już szczególnie tych jej terenów, które zostały bezpośrednio dotknięte inwazją.

Najbogatszą „wojenną" ofertę dla swoich klientów przygotowało biuro podróży Visit Ukraine. Trzysta siedemdziesiąt euro kosztuje pięciogodzinna wycieczka po wyzwolonych spod okupacji miastach obwodu kijowskiego. Na trasie m.in. Bucza, Irpień i Hostomel. Propozycja adresowana jest do dziennikarzy, dyplomatów, „liderów opinii". Dlatego określana jest mianem „wycieczki prasowej". Bazą wypadową jest Kijów. Pierwszym przystankiem jest „miasto bohater Irpień" [tytuł nadawany przez władze ukraińskie na wzór sowieckich miast bohaterów, czyli miast, szczególnie doświadczonych podczas drugiej wojny światowej – przyp. red.]. „Przejeżdżamy przez most Romanowski i zajeżdżamy na ulicę Uniwersytecką. Tutaj robimy przystanek na cmentarzu sprzętu wojskowego, zniszczonego w walkach o Irpień, podczas ewakuacji, czy spalonego w rezultacie ostrzałów z powietrza […] Bucza. Zajeżdżamy do miasta i przecinamy ulicę Jabłońską. To ta sama ulica, z której pochodzą przerażające kadry rozstrzelanych cywilów. Przejeżdżamy ulicę Wokzalną, na której została zniszczona kolumna składająca się z blisko 30 jednostek ruskiego sprzętu wojskowego, idziemy przez centrum miasta do cerkwi […]. Właśnie na tym terenie znajduje się masowy pochówek obywateli ukraińskich, rozstrzelanych przez rosyjskich żołnierzy" – czytamy w treści oferty dla turystów. Zyski z organizacji wycieczek dla prasy w całości przekazywane są na odbudowę Ukrainy.

„WYCIECZKI DARCZYŃCÓW"

Biuro organizuje też „wycieczki darczyńców", połączone z misją humanitarną. Projekt reklamowany jest jako inicjatywa mająca przyciągnąć zagranicznych turystów na te tereny kraju, gdzie prowadzone były działania wojenne. Celem tego rodzaju wycieczek jest wsparcie gospodarki ukraińskiej, sfinansowanie misji humanitarnych na południu Ukrainy, wreszcie – maksymalne rozpowszechnienie informacji na temat sytuacji w kraju. „Każdy uczestnik, który przyjechał na Ukrainę, będzie mógł doświadczyć kilku dni pracy w charakterze wolontariusza, pomagać ludziom i zwierzętom, dołożyć swój wkład w zwycięstwo, poobserwować od środka życie w walczącym kraju, poznać kulturę oraz porozmawiać z ludźmi, którzy zobaczyli tę straszną historię na własne oczy" – w taki sposób Visit Ukraine reklamuje „wycieczki darczyńców". Dwudniowa przygoda w Mikołajowie to koszt 1462 dol. W cenie: nocleg, dwa śniadania, usługa przewodnika, kurs pierwszej pomocy, spacer po Mikołajowie, pamiątkowa czapka i T-shirt, usługa profesjonalnego fotografa. A ponadto – certyfikat wolontariusza. Dodatkowo trzeba zapłacić za obiad. Za 1871 dol. można kupić rozszerzony wariant wycieczki. W ramach tej opcji oprócz Mikołajowa przewidziany jest wyjazd do dwóch czy trzech wiosek obwodów mikołajowskiego lub chersońskiego, które ucierpiały w rezultacie działań wojennych. Podczas takiej wycieczki „istnieje możliwość porozmawiania z mieszkańcami oraz wolontariuszami". W oba warianty wliczone jest konkretne wsparcie dla Ukrainy. Dziesięć procent zysków z każdego sprzedanego na wycieczkę biletu jest przeznaczane na Fundację Wsparcia Ukraińskich Uchodźców. Poza tym 500 dol. z każdego biletu idzie na wsparcie odbudowy zrujnowanego wojną południa kraju. Co więcej, turysta sam może zdecydować, na jaki dokładnie cel pójdą te pieniądze. Do wyboru: zakup żywności, środków higieny, karmy i leków dla zwierząt, leków

eprasa.pl 0ffd589c24

wojny

Spacerowicze w parku Jana Pawła II we Lwowie, 13 kwietnia 2024 r.
FOT. STANISLAV IVANOV/GLOBAL IMAGES UKRAINE/GETTY IMAGES

dla ludności cywilnej, ogrzewanie domów, a także wsparcie finansowe organizacji wolontariackich, pomoc dzieciom, zakup materiałów budowlanych do odbudowy domów, agregatów prądotwórczych czy baterie słoneczne.

Władze ukraińskie zamierzają przyciągać zagraniczne inwestycje w odbudowę turystyki. To ma być już w najbliższej przyszłości znów dochodowa gałąź gospodarki. Kijów planuje rozwijać turystykę. Ma powstać mapa tras do miejsc pamięci. Takie plany na 2024 r. w lutym ogłosiła Państwowa Agencja Rozwoju Turystyki (DART). – Każdy region, każda lokalizacja na Ukrainie są niepowtarzalne. Pracujemy nad tym, aby hromady [hromada to podstawowa jednostka samorządu terytorialnego na Ukrainie, odpowiednik gminy – przyp. red.] zrozumiały, że mają już wszystko, co potrzebne, aby rozwijać potencjał turystyczny: wspaniałą przyrodę, dziedzictwo kulturowe i historyczne, oryginalną kuchnię – przekonuje szefowa DART Mariana Ołeśkiw w rozmowie z portalem RBK Ukraina. Jej zdaniem wystarczy tylko odpowiednio „opakować" lokalne ukraińskie atrakcje i wybudować odpowiednią infrastrukturę, aby można było zarabiać na turystyce.

Zwiedzających mają oczywiście przyciągać również miejsca związane z trwającą wojną. DART zbiera dokładne dane na temat działań na froncie i tworzy mapy tras szlakiem miejsc pamięci. Pierwsza taka mapa ma powstać dla obwodu kijowskiego.

Już za kilka tygodni oficjalnie wystartuje sezon turystyczny w Odessie nad Morzem Czarnym, która po utracie przez Ukrainę Krymu jest najpopularniejszym miejscem letniego wypoczynku na Ukrainie. Od czasu pandemii, a szczególnie po inwazji rosyjskiej praktycznie przestali tam przyjeżdżać zagraniczni turyści. Wciąż jednak tę czarnomorską „riwierę" chętnie odwiedzają sami Ukraińcy. I to pomimo grożącego nieustannie niebezpieczeństwa. Odeskie plaże strzeżone zostaną otwarte na początku czerwca, o ile nie zdarzy się jakaś katastrofa, w rodzaju zeszłorocznego wybuchu tamy w Nowej Kachowce. Zanim to się jednak stanie, musi być zapewnione bezpieczeństwo potencjalnym plażowiczom. Przed udostępnieniem dla turystów plaże będą sprawdzane przez żołnierzy, ratowników i przedstawicieli władz. Policja ma pilnować, by turyści nie ryzykowali swojego życia, plażując w miejscach negatywnie zweryfikowanych pod kątem bezpieczeństwa. Latem 2022 r. plaże były zamknięte. Rok później początkowo również. W końcu jednak zdecydowano się na ich otwarcie. W sierpniu 2023 r. na kilkanaście odeskich plaż otwarto sześć. Decyzję w tej sprawie podjęła Obwodowa Administracja Wojskowa. Korzystanie z uroków czarnomorskiego kurortu było jednak obwarowane pewnymi obostrzeniami. Na przykład na plaży nie można było przebywać podczas alarmu przeciwlotniczego. Wykluczone były też sporty wodne – po wodach przybrzeżnych mogły pływać jedynie jednostki ratownicze. Zapewne identycznie będzie tego lata. Jednak jako że temperatura nad Morzem Czarnym już pod koniec kwietnia przekroczyła 20 st. C, mieszkańcy Odessy już teraz rozpoczęli nieoficjalnie sezon wypoczynkowy. Plaże w mieście zapełniły się po brzegi.

Nie ma natomiast większych szans na odbudowę turystyki w wielu pozostałych kurortach obwodu odeskiego. Niedostępna dla plażowiczów jest Zatoka – malowniczo położona na mierzei Bugaz, oddzielającej Morze Czarne od limanu Dniestru. Kurort padł kilka razy ofiarą rosyjskich ostrzałów i nic nie wskazuje na to, by w tym roku przyjął urlopowiczów. Za to na turystów otworzy się miasteczko Wyłkowe na południowym zachodzie obwodu odeskiego. Położone nad Dunajem, tuż przy granicy z Rumunią, nazywane jest „ukraińską Wenecją". Sezon turystyczny zostanie tutaj otwarty po raz pierwszy od momentu wybuchu pełnoskalowej wojny. Możliwe będą rejsy po Dunaju czy spacery po urokliwym miasteczku.

TURYSTYKA PATRIOTYCZNA

Wreszcie są też na Ukrainie miejsca kompletnie z wojną niezwiązane, za to cieszące się niesłabnącym zainteresowaniem turystów. Należy do nich Park Rekonstrukcji Historycznej „Ostwycja" nad brzegiem jeziora Basiw Kut, w mieście Równe na Wołyniu. Jest to skansen – rekonstrukcja osady z czasów Rusi Kijowskiej. Jedną z największych atrakcji parku są rejsy po jeziorze replikami wczesnośredniowiecznych łodzi. „Ostwycja" to też swego rodzaju agroturystyka – na terenie skansenu pasą się kozy, owce, świnie, a półoswojone nutrie jedzą turystom i pracownikom parku z ręki. Nagrania ze zwierzętami są w Internecie nawet bardziej popularne niż filmy z rejsów starodawnymi łodziami. Czasem też turystyka w naturalny i zgrabny marketingowo sposób łączy się z wojenno-patriotycznym patosem. Jeden z filmów, opublikowanych na Facebooku „Ostwycji", przedstawia następującą scenę. Wołodia, zajmujący się zwierzętami pracownik parku, walczący na froncie w szeregach Sił Zbrojnych Ukrainy, w ramach przepustki odwiedził swoją podopieczną… świnię Frosię. Ta rozpoznała go od razu i zaczęła, na oczach turystów, wykonywać sztuczki, których ją nauczył opiekun. „To było wzruszające spotkanie. Wojna rozdziela nie tylko ludzi. Im więcej środków, tym więcej martwych moskali. Nawet niewielki datek pomoże nam przepędzić zło z naszej ziemi. Dziękujemy za wsparcie! Sława Ukrainie!" – tak ta scena została opisana na facebookowym fanpage'u „Ostwycji". Opis nagrania tresowanej świni został uzupełniony o numer konta, na który można wpłacać pieniądze na zakup dronów. Film zebrał kilkaset tysięcy polubień. Turystyka patriotyczna z elementami bambinizmu – czego chcieć więcej, aby chwycić za serce zachodniego odbiorcę?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

Kłopotliwie wysoki cyfrowy ślad węglowy

Jakub Wozinski

Projekt zeroemisyjności zakłada bezprecedensową cyfryzację przestrzeni publicznej, lecz korzystanie z technologii informatycznych na tak dużą skalę wiąże się z kolosalnym zużyciem energii

Jednym z podstawowych, choć rzadko dostrzeganych dogmatów idei zrównoważonego rozwoju jest przekonanie, że historyczne dzieło odejścia od paliw kopalnych może się dokonać tylko przy pomocy nowoczesnych, cyfrowych technologii. Wprawdzie mogłoby się wydawać, że redukcja emisji szkodliwych związków do atmosfery mogłaby również polegać na rezygnacji z metod produkcji i gospodarowania wprowadzonych w okresie rewolucji przemysłowej na rzecz tych praktykowanych uprzednio, lecz tego typu dywagacje dość szybko są odrzucane jako niedorzeczne i nienaukowe. W ten właśnie sposób celebrowane niedawno w światowej prasie badanie przeprowadzone przez naukowców z Uniwersytetu Michigan miało wykazać, że prowadzenie przydomowego ogródka generuje średnio sześciokrotnie większy ślad węglowy niż posiadanie nowoczesnej ultraekologicznej i kontrolowanej przy pomocy nowoczesnych gadżetów uprawy.

EKOLOGIA CYFROWO-KORPORACYJNA

Okazuje się tym samym, że znane od zarania dziejów metody hodowli, upraw czy produkcji z definicji nie mogą zasłużyć na miano ekologicznych, jeśli nie zostaną podłączone do cyfrowego systemu analityczno-zarządzającego oraz do korporacyjnego systemu zasilania kredytem. Dopiero nowe technologie mogą zapewnić ludzkości uwolnienie od ciężaru korzystania z paliw kopalnych, ponieważ stoi za nimi wyższa cyfrowa instancja agregująca wszystkie dane i wyznaczająca właściwy kierunek rozwoju ludzkości.

Eksperci od świetlanej przyszłości przekonują nas, że jako ludzkość mamy osiągnąć zeroemisyjność, korzystając m.in. z aplikacji umożliwiających wspólne korzystanie z aut, zliczających ślad węglowy każdej naszej czynności czy pomagających w znalezieniu używanych ubrań. Spotykane coraz częściej tzw. inteligentne domy szczycące się etykietą zeroemisyjności są również naszpikowane wszelkiego rodzaju urządzeniami cyfrowymi, które pozwalają minimalizować zużycie wszelkich zasobów.

eprasa.pl 0ffd589c24

FOT. ADOBE STOCK

Im bardziej jednak ludzkość pogrąża się w projekcie zeroemisyjności, tym więcej zbiera się chmur danych. Nie jest absolutnie dziełem przypadku to, że rynek centrów danych jest jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się segmentów światowej gospodarki, rozwijającym się w tempie nawet 13 proc. rocznie. Tylko w Polsce, która przyciąga coraz więcej tego rodzaju inwestycji, były w 2023 r. aż 143 tego rodzaju placówki, a w kraju będącym światowym liderem na rynku, czyli w USA, ponad 5,3 tys.

CHMURA ENERGII

Każde centrum danych pochłania ogromne ilości energii. Wynika to wprost z tego, że w przeciwieństwie do pralek, pieców, telewizorów czy lamp serwery, ale w praktyce również wszystkie urządzenia komputerowe, wymagają stałego dopływu energii. Cała branża informatyczno-komunikacyjna wymaga utrzymywania centrów danych w stałej gotowości 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. W wielu krajach, które nawiedza fala upałów, wielkim wyzwaniem staje się już sprostanie zapotrzebowaniu na prąd zgłaszane przez działające na masową skalę urządzenia chłodzące. Przyrastające na dużą skalę centra chmurowe sprawiają natomiast, że obciążenie całego systemu wzmaga się nie tylko okresowo, lecz także w trybie ciągłym. Według szacunków z 2022 r. cały sektor informatyczno-komunikacyjny zużywał 1,5 tys. terawatogodzin energii rocznie, czyli 10 proc. światowej produkcji elektrycznej (mniej więcej tyle samo co Japonia i Niemcy razem wzięte). Same centra danych zużywają obecnie 3 proc. wytworzonej na świecie energii, a przeciętne duże centrum – od 20 do 50 MW.

Wcześniejsze prognozy wskazywały, że przyrost zapotrzebowania na energię przez centra danych będzie dość umiarkowany. Gwałtowny rozwój sztucznej inteligencji, która konsumuje wyjątkowo dużą ilość energii, sprawił jednak, że ostatnio zostały mocno skorygowane. Według danych Międzynarodowej Agencji Energii globalne zużycie energii przez centra danych wzrośnie do 2026 r. aż dwukrotnie, co oznacza, że będą konsumowały tyle samo energii co cała Japonia. W przypadku Irlandii, która przyciąga rekordową liczbę inwestycji chmurowych, bardzo realny staje się scenariusz, w którym tamtejsze centra danych będą już za dwa lata konsumowały aż jedną trzecią energii elektrycznej wytwarzanej w całym kraju.

Giganci branży Big Tech chwalą się niezmiennie tym, że będąc świadomi zagrożeń dla naszej planety, starają się korzystać wyłącznie z „czystej energii". Według zapewnień Google jego centra danych korzystają w 34 proc. z odnawialnych źródeł energii, a firma Apple nawet w 100 proc. O ile dany kompleks nie posiada własnej elektrowni, o tyle tego typu zapewnienia należy jednak interpretować wyłącznie jako zabieg marketingowy, ponieważ decydujący jest udział OZE w całej sieci. Firmy, które szczycą się korzystaniem z energii wolnej od paliw kopalnych, są co najwyżej posiadaczami niewiele znaczących zielonych certyfikatów poświadczających nieprawdę.

W centrach wielkich metropolii wiodące banki i korporacje coraz częściej prześcigają się w etykietowaniu swoich biurowców jako spełniających wszelkie normy polityki klimatycznej. W praktyce jednak nawet jeśli dany budynek inteligentnie zarządza wodą z opadów, stosuje przyciemnianie świateł oraz jest zbudowany z najbardziej ekologicznych materiałów, to i tak działające w nim komputery korzystają z niezwykle energochłonnych serwerów, które oczywiście są zlokalizowane z dala od centrów wielkich miast.

TARYFY ULGOWE

Niezwykle uderzającym aspektem opisywanego tu zjawiska jest to, że zazwyczaj drapieżne względem innych branż media i środowiska zielonych lobbystów zachowują daleko idącą społegliwość względem branży informatyczno-komunikacyjnej. Wśród ekspertów zajmujących się tą sprawą pada czasami zdawkowa uwaga, że branża ma przed sobą wiele wyzwań, lecz zasadniczo nikt nie ciska w nią gromów. W czasach, gdy rządzący ustalają przy okazji międzynarodowych konferencji w coraz bardziej jawny sposób mające w przyszłości obowiązywać limity zużycia poszczególnych zasobów (m.in. ilość kupowanych ubrań, odbytych lotów czy zużytej wody), sektor cyfrowy ma zapewnioną nieograniczoną wręcz przestrzeń do wzrostu i konsumpcji.

Świętych krów w zakłamanej krainie zrównoważonego rozwoju jest znacznie więcej. Szacunkowe dane od lat wskazują na to, że aż 30 proc. zawartości całego Internetu stanowią materiały pornograficzne. Dane te nie przekładają się oczywiście automatycznie na dokładnie taki sam udział w energochłonnych centrach danych, niemniej jednak na światowych salonach inicjatywy na rzecz walki z pornografią są praktycznie nieobecne.

Równie energochłonne są także choćby znaczne w swoich rozmiarach centra tradingowe należące do wielkich funduszy, firm inwestycyjnych czy banków. Światowe giełdy są niemal

eprasa.pl 0ffd589c24

w 100 proc. skomputeryzowane, a dodatkowo najbardziej liczące się podmioty korzystają z rozbudowanych narzędzi analitycznych wymagających pracy potężnych serwerów. Pomimo tego pod ostrzałem establishmentu i tak znalazł się sektor kryptowalut. Jest w tym oczywiście sporo prawdy, ponieważ kopalnie bitcoinów już w 2022 r. zużyły taką samą ilość energii co całe Włochy. Z oczywistych względów stawianie pod pręgierzem właśnie bitcoina jest podyktowane względami politycznymi, a nie ekologicznymi.

Na największego z konsumentów energii wyrasta jednak w ostatnim czasie sztuczna inteligencja. Rewolucjonizujące światową gospodarkę rozwiązanie może w najczarniejszych scenariuszach zwiększyć zużycie energii przez centra danych nawet dziesięciokrotnie (przy założeniu, że niemal cała sieć będzie działać w oparciu o sztuczną inteligencję). Wynika to z tego, że w swej pracy AI stosuje właściwie nieustanną analizę wszelkich zgromadzonych w Internecie zasobów informacji. Zwolennicy tezy o antropogeniczności globalnego ocieplenia już od dłuższego czasu przekonują, że sztuczna inteligencja to niemal jedno z najważniejszych narzędzi, które pozwolą opanować kryzys klimatyczny, dlatego należy się spodziewać, że jego rola będzie tylko rosła – a wraz z nią konsumpcja energii.

WYJĄTKI DLA WYJĄTKOWEJ BRANŻY

Aby sprostać zapotrzebowaniu na energię zgłaszanemu przez rosnące jak grzyby po deszczu centra danych, władze są coraz bardziej skłonne, aby brać politykę klimatyczną w większy lub mniejszy nawias. W Stanach Zjednoczonych walczące o przyciągnięcie do siebie centrów danych władze stanowe coraz częściej bezceremonialnie opóźniają realizację harmonogramu dążenia do zeroemisyjności. Wirginia postanowiła przedłużyć funkcjonowanie swoich elektrowni opartych na węglu i gazie, podobnie jak Wisconsin czy Maryland. Decyzje te uzasadniono „publiczną wygodą i koniecznością".

Co szczególnie ciekawe, w wielu miejscach centra danych powstają na miejscu byłych elektrowni. Wynika to z tego, że tego typu lokalizacje posiadają już gotową infrastrukturę potrzebną do przesyłu dużej ilości energii oraz będąc położonymi przy zbiornikach wodnych, ułatwiają chłodzenie całego kompleksu. Mniejsze jednostki są w stanie korzystać z tradycyjnych systemów chłodzenia, lecz większe nie są w stanie obyć się bez wody. Największe centra danych należące do Big Techu wykorzystują dziennie ok. 2,1 mln litrów wody, co nie przedstawia się jako wybitnie ekologiczny osiąg.

Podążając ścieżką zeroemisyjności, ludzkość naraża się na coraz bardziej totalitarne metody zarządzania społeczeństwem

Absolutnie nierealistyczny projekt zeroemisyjności zakłada, że do połowy wieku nawet 100 proc. energii ma pochodzić z odnawialnych źródeł energii. Powodzenie tego planu zakłada, że w nieodległej przyszłości uda się jakoś opracować technologię magazynowania energii. Gwałtownie rozwijający się przemysł technologii cyfrowych zgłasza jednak tak ogromne zapotrzebowanie na energię, że można co najmniej powątpiewać w to, czy farmy fotowoltaiczne i wiatrowe będą kiedykolwiek w stanie mu sprostać. O wiele bardziej prawdopodobne wydaje się to, że powołując się na „dobro publiczne", dla centrów danych i całego sektora informatyczno-komunikacyjnego jeszcze długo będzie się czyniło spore wyjątki od brutalnych dla innych reguł dekarbonizacji.

Całkowicie pomijana w debacie problematyczność przyrastającej energochłonności branży cyfrowej sprawia, że cały klimatyzm zaczyna coraz bardziej stawać się wirtualną zabawą. Wyposażeni w nowoczesne gadżety i skomputeryzowane systemy obywatele są przekonani, że coraz szybciej odrywają się od ubrudzonej paliwami kopalnymi rzeczywistości ku czystej i ekologicznej cyfrowej chmurze. Tymczasem okazuje się, że chmura ta korzysta wciąż ze znacznej ilości „brudnej" energii, a na dodatek jej rozwój w znacznym stopniu jest uzależniony od zmarginalizowania odnawialnych źródeł energii.

Świętej krowie branży cyfrowej oszczędzone będą jednak słowa krytyki i ponaglenia w marszu ku zeroemisyjności, ponieważ jej znaczenie wykracza daleko poza usprawnienie całego procesu. Jak pokazuje choćby przykład Chin, technologie informatyczne odgrywają szczególną rolę w kontekście łamania społecznego oporu. Zeroemisyjność to nie tylko ekologia, lecz także rozbudowany system kontroli i inwigilacji. Optymalizując zużycie zasobów mieszkaniowych czy transportowych, władze będą musiały wywłaszczyć niejednego obywatela lub zakazać korzystania mu z jego własności, a walcząc o pełny recykling, konieczne będzie skorzystanie z całej armii dronów czy kamer monitorujących. Wszystkie te narzędzia będą wymagały coraz większych mocy obliczeniowych. Podążając ścieżką zeroemisyjności, ludzkość nie tylko wkracza tym samym w pułapkę wysokich kosztów życia, ograniczeń w dostępności towarów i usług czy też uzależnienia się od wielkich korporacji, lecz także naraża się na coraz bardziej totalitarne metody zarządzania społeczeństwem.

Całkowicie pomijana dziś w debacie publicznej problematyczność gwałtownego rozwoju technologii cyfrowych wypłynie kiedyś na pierwsze strony gazet, gdy okaże się, że świadomie okaleczane w imię zielonej ideologii systemy energetyczne poszczególnych krajów zachodnich nie będą w stanie udźwignąć funkcjonowania wirtualnej sieci w zadowalający dla wszystkich sposób. Być może dopiero związany z tym zjawiskiem szok poznawczy zadziała na wiele osób otrzeźwiająco i wyrwie je z klimatycznego snu.

Warto więc kolejny raz przypomnieć, że w czasie, gdy Europa dokonuje przyspieszonego gospodarczego samobójstwa w imię osiągnięcia zeroemisyjności, w Chinach czy Indiach otwiera się wciąż nowe elektrownie działające w oparciu o węgiel. W samym tylko pierwszym półroczu 2023 r. w Państwie Środka otwarto jednostki o mocy 37 GW oraz ogłoszono nowe projekty o łącznej mocy 41 GW. Z kolei w Stanach Zjednoczonych przemysł łupkowy wciąż zwiększa swoje moce przerobowe i eksportowe. Cyfrowy nadzór nad klimatycznie perfekcyjną Europą będą sprawować zapewne inne kontynenty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 0ffd589c24

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Agenci wpływu i Zielony Ład

Jak oni to robią, że są aż tak skuteczni? Mam na myśli wszystkie te prawicowe, antyunijne partie, rozsiane po wszystkich państwach członkowskich UE. Partie podobno niby małe, niby niewiele znaczące, a jednak coraz bardziej zmieniające nastawienie obywateli państw UE – na coraz bardziej niechętne UE.

Ot, choćby w Polsce, gdzie w ciągu ostatnich trzech lat znacząco spadła liczba ludzi dostrzegających przewagę zalet nad wadami Unii; odsetek euroentuzjastów zmniejszył się bowiem w tym czasie aż o 11 pkt. proc. Jeszcze pod koniec 2020 r. w badaniu IBRiS dla „Rzeczpospolitej", odpowiadając na pytanie: „Co przeważa – zalety czy wady członkostwa Polski w UE?", na zalety UE wskazywało 64,4 proc. z nas, a w niedawnym badaniu – już tylko 53,5 proc. Natomiast na równoważenie się wad i zalet w 2020 r. stawiało 15,8 proc. Polaków, a dziś – już aż 24,7 proc.

No i przecież nie trzeba być nie wiem jak przenikliwym obserwatorem „życia UE", by dodać dwa do dwóch i powiązać przyczyny ze skutkami. A to oznacza: by wskazać na unijny Zielony Ład – coraz ostrzej i ostrzej wprowadzany w życie, i to na coraz trudniejszych do zniesienia dla obywateli państw UE warunkach, oznaczających coraz większe dla nich koszty – jako na głównego sprawcę spadającego poparcia dla pozostawania ich państw w strukturach UE. I co za tym idzie – rosnącego zainteresowania opuszczeniem przez nie UE.

No i teraz rodzi się zasadnicze pytanie: Jak owym eurosceptycznym siłom politycznym, nie najsilniejszym przecież w swych krajach, udało się dokonać tego dzieła? Jakichże wpływów musiały użyć? Do jakich sposobów się uciec? Jakich sztuczek spróbować? I jakich niecnych postępków nie unikać?

Wydaje się bowiem rzeczą coraz bardziej oczywistą, że owe sceptycznie nastawione do UE siły – czy raczej „siłki" – polityczne musiały po prostu użyć, i to na niespotykaną wcześniej skalę, swej jakże rozległej agentury wpływu, sprawnie poumieszczanej w prounijnie nastawionych siłach politycznych. I właśnie poprzez tę swoją agenturę tak mocno forsować ów niedorzecznie absurdalny i monstrualnie kosztowny dla obywateli państw UE unijny Zielony Ład, że aż zaczął on – na wielką i wciąż rosnącą skalę – coraz potężniej obrzydzać obywatelom państw UE całą ową UE.

A że musi to być prawdą, najlepiej dowodzi to, że przecież niemożliwe jest, by prounijni piewcy Zielonego Ładu byli aż takimi cymbałami, żeby sami z siebie działali w sposób, który raczej prędzej niż później doprowadzi do unicestwienia ich ukochanej UE. No, chyba że jednak są aż takimi cymbałami… ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

CPK nie będzie

Proszę państwa, CPK nie będzie. Ale za to będą podatek od rejestracji samochodów spalinowych, strefy czystego transportu, dyrektywa budynkowa, ETS2, droższe gaz i prąd, kary za „mowę nienawiści", no i kładka w Warszawie. To znaczy – kładka nawet już jest. I to jest CPK na miarę naszych możliwości. A dokładnie – możliwości uśmiechniętego rządu.

Że rząd Donalda Tuska nie ma serca do projektu CPK, było wiadomo od początku. Wszak nie bez powodu pełnomocnikiem do spraw jego budowy został pan Maciej Lasek, jeden z najzagorzalszych przeciwników projektu od jego zarania. Lecz początkowo można było uznać, że to tylko taki prztyczek w nos dla złych pisowców, a projekt i tak zostanie zrealizowany.

Przylatuje człowiek na Okęcie z przesiadką, potem cyk do Radomia i już jest w drugim samolocie

Szczególnie można było tak sądzić po tym, jak w początkowych tygodniach istnienia rządu jego niejasne stanowisko wobec CPK wywołało powszechny sprzeciw i zaowocowało głośnym listem otwartym, firmowanym przez Klub Jagielloński. I faktycznie – przez moment mogło się zdawać, że niechętnie, bo niechętnie, ale jednak rząd do projektu się zabierze. Okazało się jednak, że słynne audyty jakoś nie mogą zostać sporządzone, unieważniano jeden przetarg za drugim, aż w końcu w ubiegłym tygodniu gruchnęła wieść, że CPK to będzie, ale w 2035 r. – czyli kiedyś tam może, ale może nie – za to szybko, a konkretnie za pięć lat, rozbuduje się Okęcie, a na czas przebudowy część lotów przeniesie się do Radomia i Łodzi.

Wyobrażają sobie państwo, jaka to nowatorska koncepcja? Przylatuje człowiek na Okęcie z przesiadką, potem cyk – szybciutko 100 km do Radomia i już jest w drugim samolocie.

Osoby umiejące czytać mapę patrzą na bezpośrednie otoczenie lotniska Chopina – dwie drogi ekspresowe, węzeł autostradowy, tory kolejowe – i zastanawiają się, jakim cudem ma się dać tam cokolwiek rozbudować. To wie tylko umysł tak wielki jak ten Macieja Laska. A może nawet jeszcze większy, jak ten Donalda Tuska.

A co do CPK – pomarzyliście sobie, polaczki, a teraz wracać do szparagów. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

VOLVO EC40

FOT. JAP

To jeden z nielicznych dostępnych na rynku modeli z silnikiem elektrycznym, który z chęcią na dłużej zaparkowałbym w swoim garażu. W testowanej wersji Twin Motor model EC40 to szybki (napęd mocy 408 KM pozwala przyspieszyć od zera do setki w zaledwie 4,7 s), ponętnie wyglądający crossover (zwłaszcza w czarnym ubarwieniu i z pięcioramiennymi 20-calowymi felgami) z kabiną wykończoną nowocześnie, ale nadal elegancko.

Nie jestem fanem zmuszania kogokolwiek do elektromobilności. Nie tylko dlatego, że nie lubię zmuszania w ogóle, lecz także dlatego, że chociaż uwielbiam bezszelestną jazdę i błyskawiczne sprinty spod świateł, to jednocześnie bardzo nie lubię patrzeć, jak zasięg topnieje w oczach, drżeć, czy na pewno autostradą dojadę na miejsce, ani na wszelki wypadek wyłączać klimatyzacji w upalny weekend. Nowe EC40 – przed niedawną zmianą nazewnictwa w Volvo nazywane po prostu C40 Recharge – to model, którego konstruktorzy ewidentnie mieli już okazję dłużej pojeździć elektrykami i byli świadomi wad e-aut i postanowili się z nimi zmierzyć.

Inżynierowie Volvo wyeliminowali kwestię nie tylko małego, lecz także nieustannego „oszukiwania" kierowcy. W wielu autach konkurencji to prawdziwa zmora. Czasem bywa tak, że wsiada się do pachnącego nowością auta elektrycznego, komputer pokazuje 300 km zasięgu, a po przejechaniu ledwie 20 km zasięg topnieje do 250 km i nadal co kilometr na autostradzie spada jak szalony, chociaż prawa noga już naprawdę ledwo muska pedał gazu, a prędkościomierz nie wskazuje już nawet setki. W EC40 tego problemu nie zaobserwowałem. Przeciwnie, kilkukrotnie zdarzyło mi się dojechać do celu, zużywając mniej energii, niż wstępnie kalkulował to komputer. Średnie zużycie energii elektrycznej podczas testu oscylowało w granicach 17,2 kWh/100 km w cyklu mieszanym, choć przy bardzo oszczędnej jeździe zszedłem do średniej wynoszącej 15,3 kWh/100 km.

Przydatna jest też funkcja szacowania zasięgu w nawigacji: po wpisaniu adresu docelowego otrzymujemy nie tylko informację o tym, ile procent baterii powinno zostać po dojechaniu na miejsce (np. 41 proc.), lecz także jak mocno będzie rozładowany akumulator, gdy wrócimy do domu (np. 29 proc.). Podawany przez producenta zasięg wynoszący 552 km byłby co prawda trudny do powtórzenia, ale już pół tysiąca kilometrów przy rozważnej jeździe w cyklu mieszanym jest rzeczywiście osiągalne. Jednocześnie w wersji Twin Motor model EC40 potrafi być piekielnie szybki jak na praktycznego crossovera.

Przestronna kabina jest wykonana z materiałów wysokiej jakości. Bagażnik ma 404 l pojemności.

Najtańsze EC40 w wersji z napędem Single Motor i najsłabszym wyposażeniem kosztuje 243,9 tys. zł. Wersja wyposażenia ultra oraz napęd Twin Motor podwyższa cenę do ok. 302 tys. zł. Testowany egzemplarz wyposażony we wszystko, co się dało, by się dziennikarzowi podobało, kosztował 328,8 tys. zł. ©℗

SŁUCHAWKI SENNHEISER ACCENTUM PLUS WIRELESS

Wygoda użytkowania, dobre brzmienie, szybkie ładowanie, długi czas działania na jednym ładowaniu oraz adaptacyjny system tłumienia hałasu ANC – to największe zalety bezprzewodowych słuchawek wokółusznych niemieckiej firmy Sennheiser w półce cenowej do tysiąca złotych.

Wzornictwo jest minimalistyczne. Jak dla mnie aż nadto, ale o gustach się nie dyskutuje. Niewątpliwie słuchawki są intuicyjne w obsłudze i bardzo wygodne. Miękkie poduszki nauszników dobrze dopasowują się do uszu. Dzięki temu można nosić je na głowie godzinami bez poczucia dyskomfortu.

Testowane słuchawki obsługują kodeki aptX, aptX Adaptive, AAC i SBC, co zwiększa szanse na zachowanie dobrej jakości dźwięku podczas słuchania muzyki przy połączeniu bezprzewodowym. Tych, którzy jeszcze bardziej doceniają wysiłek włożony przez artystów w nagranie płyty, ucieszy wiadomość, że w zestawie znajdują się dwa kable, które pozwalają słuchać muzyki przewodowo (jeden z wejściem na minijacka, a drugi USB-C) i dzięki temu odnajdywać w ulubionych utworach dźwiękowe detale.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W aplikacji Sennheiser Smart Control można łatwo dostosować brzmienie słuchawek do swoich upodobań za pomocą pięciopasmowego korektora.

Model ACCENTUM PLUS daje też możliwość odcięcia się od miejskiego gwaru, a przynajmniej zredukowania niechcianego hałasu. System ANC jak na tę półkę cenową działa dość przyzwoicie, stosunkowo skutecznie redukując niechciane dźwięki ze świata zewnętrznego w tramwaju, pociągu czy na zatłoczonych ulicach Warszawy. W razie potrzeby błyskawicznie można też przejść z tłumienia dźwięków do trybu Transparency, w którym można np. usłyszeć kontrolera biletów lub kupić coś w przydrożnym sklepiku bez konieczności zdejmowania słuchawek. Niestety, nie można po prostu wyłączyć ANC lub trybu Transparency, lecz wybiera się między jednym a drugim trybem.

Po stronie plusów zapisać trzeba baterię pozwalającą na 50 godzin pracy na jednym ładowaniu oraz szybkie ładowanie, dzięki któremu wystarczy na 10 minut podpiąć rozładowane słuchawki do prądu, aby móc korzystać z nich przez pięć godzin. Aby naładować je do pełna, potrzeba ok. 3,5 godziny. Słuchawki mogą też wykrywać, że nie mamy ich na głowie, i automatycznie przełączać się do trybu oszczędzania energii. W zestawie znajduje się futerał ułatwiający bezpieczne przenoszenie słuchawek. Nowy model dostępny jest w kolorach czarnym oraz białym. Cena: 989 zł. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wojskowe koła lisowczyków

JACEK KOMUDA

W naszym kraju jest wiele pomników dawnych bitew, ale żadnych miejsc pamięci po lisowczykach, dzielnej i okrutnej formacji lekkich jeźdźców. Na początku XVII w. przysłużyli się w wojnach Rzeczypospolitej i Habsburgom. Powstali zaś w okresie wielkiej smuty moskiewskiej z oddziałów lekkiej jazdy dowodzonych przez płk. Aleksandra Józefa Lisowskiego.

Miejscem ich narodzin jest miasto Mohylew na Białorusi. 12 stycznia 1615 r. Lisowski ogłosił tutaj uniwersał, w którym zwoływał grabiących Rzeczpospolitą swawolników, zapowiadając, aby skupili się pod jego dowództwem, w przeciwnym razie zostaną rozbici przez chorągwie hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Służyć mieli bez żołdu, jednak sławny pułkownik obiecywał szybko wyprowadzić ich do Moskwy, gdzie mogli zdobyć łupy. Dlatego pod jego rozkazy zjechało się ok. 600 ludzi, z których utworzono sześć pierwszych chorągwi lekkiej jazdy. Lisowski poprowadził ich pod Briańsk, a potem dalej w głąb Moskwy. Nie wiemy niestety, gdzie w październiku 1616 r. zmarł. Od tego czasu formacja nosiła imię lisowczyków. Prawdopodobnie do wyłonienia kolejnego dowódcy – Stanisława Czapińskiego – doszło w Rzeczycy koło Homla na dzisiejszej Białorusi – gdzie rozłożona była na leżach lekka jazda. Nie wiadomo też, czy był to kandydat wskazany przez hetmana czy też żołnierze zwołali koło wojskowe i dokonali formalnego wyboru przywódcy. Pułk liczył wówczas ok. 1 tys. ludzi

RYS. MART

FOT. DOMENA PUBLICZNA

i wziął udział w wyprawie królewicza Władysława na Moskwę.

Po zakończeniu wojen z Moskwą lisowczycy zostali zatrzymani na służbie na wypadek niebezpieczeństwa tureckiego. Ponieważ jednak Czechy zbuntowały się przeciwko Habsburgom, a wspierający ich książę siedmiogrodzki Bethlen Gabor obległ Wiedeń, król Zygmunt III Waza wysłał na pomoc Habsburgom oddziały lekkiej jazdy, które przez Karpaty wkroczyły do Siedmiogrodu. 11 listopada 1618 r. zebrali się w Jaśliskach, obecnie wsi, wtedy miasteczku nad granicą z Węgrami. Lisowczycy, których było zapewne nieco ponad 2 tys., zwołali koło generalne wojskowe, potwierdzając władzę Walentego Rogawskiego i uchwalając artykuły wojskowe. Dziś w małych i sennych Jaśliskach nie pozostały po tym żadne pamiątki, a przecież było to znaczące wydarzenie w dziejach sławnego pułku lekkiej jazdy. Oddziały przeszły przez Przełęcz Dukielską i uderzyły na zaskoczonych Węgrów pod Humennem, na dzisiejszej Słowacji, zadając im srogą klęskę.

Następne miejsce związane z pobytem lisowczyków to okolice Dukli – być może w pobliżu dzisiejszego Barwinka, gdzie doszło do zwołania kolejnego koła, na którym obalono Walentego Rogawskiego i oddano buławę Adamowi Lipskiemu. Ostatecznie doszło do podziału pułku na cztery grupy – Stanisława Jędrzejowskiego, Idziego Kalinowskiego, znanego infamisa, Jarosza Kleczkowskiego i wspomnianego Rogawskiego. Ponaglani listami króla lisowczycy ruszyli na Śląsk, kolejnym zaś miastem, które odwiedzili, był – jak podaje Henryk Wisner – dzisiejszy Nowy Żmigród. Tutaj większość pułku zebrała się i ostatecznie wybrano jednego wodza – Jarosza Kleczkowskiego.

Granicę Rzeczypospolitej ze Śląskiem jeźdźcy przekraczali w Siewierzu na zachód od Zawiercia. Zapewne tutaj ich dowódca wydał lub wygłosił sławną mowę przeciwko Rzeczypospolitej – obwiniając ją, że nigdy nie nagrodziła ich krwawej służby. Twierdząc, że „wszędzie im będzie lepiej, bo żołnierz, któremu bogactwo zapewnia męstwo, cały świat ma za ojczyznę". Kleczkowski ponoć po jej wygłoszeniu odwrócił się od opuszczanej Polski, „jako na niewdzięczną ziemię plując", przesiadł się na innego wierzchowca i ruszył na Śląsk – po łupy i sławę.

Kolejnym, lecz nie ostatnim, związanym z pobytem lisowczyków miastem była wielkopolska Wschowa. Tutaj właśnie, na ratuszu, który choć pochodzi z XVI w., to jednak został mocno przebudowany w XIX, w grudniu 1622 r. płk Stanisław Stroynowski ogłosił rozwiązanie formacji, która budziła strach i trwogę z powodu szybkości, waleczności, okrucieństwa i grabieży. Przedstawił w obecności królewskiego wysłannika i złożył chorągwie podległych mu oddziałów, po czym wpisał do ksiąg grodzkich oświadczenie o rozwiązaniu lisowczyków. Nie był to jednak wcale prawdziwy ich koniec. Ten nastąpił bowiem dopiero po zakończeniu wojny o ujście Wisły w 1629 r., kiedy zostali po prostu wcieleni do armii koronnej. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Asparagus, czyli młody pęd

Szparagi to w istocie fuzja mocy i smaku – są zdrowe i niskokaloryczne. Są lekkostrawne, ale zawierają składniki odżywcze takie jak kwas foliowy i selen. Pierwszy doskonały jest dla kobiet w ciąży, drugi dla osób z problemami tarczycy. Jedynie osoby z chorobą nerek powinny uważać na liczbę spożywanych szparagów.

Pierwsze wzmianki o szparagach pojawiły się 5 tys. lat temu, znane były w starożytnym Egipcie i uchodziły za towar pożądany i luksusowy. Może dlatego, że uchodziły za afrodyzjak? Zajadali się nimi Juliusz Cezar oraz inni wielcy tego świata. Do Europy dotarły w średniowieczu – najpierw do Anglii i Francji, ich uprawą zajmowali się zakonnicy. W XVIII w. trafiły do Polski.

Kupując te warzywa, powinniśmy zwrócić uwagę, aby były one jędrne, zdrowe i miały wyraźny kolor. Z odmian mamy białe, zielone i fioletowe (te ostatnie są bardzo rzadko spotykane). Białe uprawiane są w naszym kraju, głównie w Wielkopolsce. Zielone przybywają z Francji i Ameryki. Białe doskonale nadają się do zup, a zielone do dań i przekąsek.

Sezon na szparagi nie jest zbyt długi, jeśli mówimy o szparagach w przyzwoitej cenie i od polskich producentów, warto więc go wykorzystać i najeść się szparagów do syta.

Sposobów na ich przyrządzenie jest mnóstwo – może to być szybka przekąska albo danie główne. Idealnie komponują się z jajkami, makaronem, a zapiekane w szynce parmeńskiej i posypane parmezanem są prawdziwą poezją smaku. Doskonale smakują z sosem holenderskim.

Jeśli gotujemy szparagi, to dobrze mieć do tego odpowiedni, wysoki garnek. Jeśli go nie mamy, to należy pamiętać, żeby podczas gotowania ich zielone główki nie były zanurzone w wodzie, ale aby gotowały się dzięki parze. Główki są bardzo delikatne i szkoda byłoby je przegotować.

FOT. ADOBE STOCK (X2)

Szparagi zapiekane z szynką parmeńską

- 1 opakowanie szparagów
- tyle plasterków szynki, ile mamy sztuk szparagów
- sól, pieprz
- 1 opakowanie parmezanu tartego

Szparagi wkładamy do wrzątku i gotujemy 3 min, odkładamy. Każdego szparaga solimy, przyprawiamy pieprzem, owijamy szynką, posypujemy parmezanem i wkładamy na 10 min do piekarnika nagrzanego do 180 st. C. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Pakowanie

JOANNA BOJAŃCZYK

Lubię sceny filmowe, w których osoba żeńska, pokłóciwszy się z osobą męską, wpada w złość i postanawia opuścić siedzibę rodową. Wyjmuje walizkę i w pośpiechu, z furią wrzuca do niej zawartość szafy. Wszystko trwa 10 minut, walizka gotowa i drzwi za furiatką zamykają się z trzaskiem.

Też bym tak chciała – nie mówię o kłótni, ale o pakowaniu. Dziesięć minut i po sprawie. Filmowej bohaterce zawartość jednej szuflady wystarczy widocznie na całe życie po rozwodzie. W moim przypadku (pomijając, że nie mam zamiaru się wyprowadzać) potrzebne byłyby kontener i firma przeprowadzkowa.

Nawet kiedy bez awantury, z niewielkim bagażem wybieram się na kilka dni, pakowanie jest czymś, co psuje mi najprzyjemniejszą perspektywę. Bo łączy się z przewidywaniem, planowaniem, a tego nie lubię.

Walizka większa czy mała? W małej albo plecaku wszystko będzie pogniecione. Jaka będzie pogoda? Przekonałam się, że najbardziej marznie się w południowych krajach. W Andaluzji, gdzie wzięłam tylko cienką kurtkę i sweter, wszyscy chodzili w puchowych płaszczach, szalikach i czapkach, tak samo w Pulii, gdzie od morza ciągnął lodowaty powiew. Doszłam do wniosku, że najbezpieczniej jest jechać tam, gdzie zimno, przynajmniej człowiek się nie oszuka.

Odrębna sprawa to buty. Najczęściej te wygodne są sprawdzone, ale brzydkie i rozklepane. Elegancja czy uroda? Jest z tym o tyle łatwiej, że nawet w europejskich miastach zapomniano już o skórzanych dressing shoes, 90 proc. ludzi chodzi w butach sportowych, nawet garniturowcy. „Economist" zdziwił się i zmartwił, że paryżanki nie chodzą już w szpilkach. Bo Amerykanie lubią stereotyp wdzięcznej Francuzki w szpilkach i w sukience w groszki. Nic z tego – dzisiaj dżinsy i adidasy dla wszystkich między 18. a 80. rokiem życia. Ciekawam swoją drogą, w czym chodzi autor artykułu. Doszło już nawet do tego, że sandały ze skarpetkami przestały być uważane za symbol wschodnioeuropejskości. No bo skoro tak każe Miuccia Prada...

Przy kontroli bezpieczeństwa na taśmie przyglądam się zawartości walizek, bo niektórzy oczywiście zapomnieli zapakować kosmetyków w przepisową przezroczystą torebkę i teraz muszą przepakowywać. Widzę porządnie, równo, poskładane rzeczy. Chyba panie z tego filmu, na którym wrzucały rzeczy z furią do walizki, lecą innym samolotem. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Dwa wywiady

Ostatnio mieliśmy do czynienia z dwoma ważkimi medialnie wywiadami. Ich cechą wspólną było jedno podobieństwo i jedno przeciwieństwo. Otóż doszło do wywiadu z ambasadorem Izraela – zaraz po ataku armii izraelskiej na konwój humanitarny, w którym zginął m.in. Polak. Drugim wywiadem była rozmowa z ambasadorem Iranu – zaraz po tym, jak zaczął się konflikt Iran – Izrael, jak ten ostatni zbombardował ambasadę drugiego w Damaszku. A teraz podobieństwa.

Oba wywiady przeprowadzili przedstawiciele prywatnych (zaznaczę: niekorporacyjnych) mediów społecznościowych. Teraz ważnymi tematami zajmują się już tylko niszowi amatorzy, gdyż świat mediów wielkich popadł w klincz sytuacyjnej poprawności politycznej. Zwłaszcza w Polsce, gdzie doszło do ideologicznego mariażu mediów prywatnych i publicznych – człowiek nie ma gdzie pójść, by dowiedzieć się, jak jest naprawdę.

A przecież w takich momentach to co najmniej media publiczne powinny posłuchać obu panów ambasadorów, by wyjaśnić publiczności, co się dzieje. A tu nic – Mazurek i Szewko ze swymi blogowymi kamerkami zastępują wielomiliardowe medialne molochy, strażników ideologii, że „niedobra o tym mówić". Kiedyś to przynajmniej publiczna TVP trzymała w szachu media liberalne i jak jedne coś przemilczały, to drugie to grzały. Choć akurat w temacie Izraela jestem pewien, że i tu doszłoby do medialnego „porozumienia ponad podziałami".

A teraz obiecane przeciwieństwa. Warto porównać wypowiedzi obu ambasadorów, z tym że ta izraelska to raczej monolog wyższości i pouczania, w chwili gdy nawet już nie wystarczy po prostu przeprosić. Po drugiej stronie – rzeczowy, spokojny Pers, a przecież miał być straszny, z pianą na ustach i bombą za pasem. No, nawet w komentarzach pod tym wywiadem gros publiczności skupiło się na porównaniu obu ambasadorów. Z wiadomym wynikiem.

A więc media, te niezależne, robią różnicę. Bez Mazurka nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co myśli o nas Izrael. Trzeba więc mediów „piwnicznych", by chociażby dzięki dr. Szewce usłyszeć od ambasadora Iranu pytanie do polskich władz o powód jednodniowego braku potępienia ataku na konwój. Wszystkie praktycznie kraje to zrobiły, nawet te, w których nie zginął żaden z ich obywateli. Polska zaś nie.

Kontrolna rola mediów zatoczyła wielkie ideologiczno-technologiczne koło i wróciła do medialnego suwerena. Niemożliwe stało się możliwe – resztę dostaniesz za abonament. Mamy znowu dwa obiegi, z tym że dziś ten państwowy cenzuruje już za zgodą wielkiej części społeczeństwa. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Inne czynności „zdrowotne"

W poniedziałek 29 kwietnia zapadł wyrok w sprawie byłego wiceprezydenta Gdańska Piotra Kowalczuka, oskarżonego o dokonanie „innych czynności seksualnych z osobą nieletnią". Sąd orzekł rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na trzy lata, finansową karę zadośćuczynienia, a także zakaz zbliżania się do ofiary, którą jest młody chłopak. Wyrok nie jest prawomocny – adwokat zapowiada apelację.

W 2018 r., w TVP, w „Warto rozmawiać", zajmowaliśmy się tematem kontrowersyjnej edukacji seksualnej w gdańskich szkołach. Program „Zdrovve love", jako cykl nieobowiązkowych zajęć, prowadzony był przez zewnętrznych „edukatorów". Do studia zaprosiliśmy rodziców, nauczycieli, a także przedstawiciela ratusza gdańskiego odpowiedzialnego za ten projekt. Był nim właśnie wiceprezydent Kowalczuk.

Rodziców zaniepokoiły treści i opis programu zajęć zawarte w ulotce informacyjnej. Treści kierowanych do rodziców ulotek są raczej ogólnikowe. Na zajęciach edukatorzy poczynali sobie już nieco „śmielej". Ale nawet treść (opatrzonej zdjęciem Pawła Adamowicza) broszurki pozwalała zrozumieć, że nie o zdrowie tu chodzi. Autorzy broszurki bez żenady nawiązują do tzw. standardów edukacji seksualnej WHO zakładających uczenie dzieci do lat czterech dotykania miejsc intymnych, do lat sześciu – doświadczania radości i przyjemności, przyzwolenie dotykania miejsc intymnych, do lat dziewięciu – uczenie o seksualnych prawach dzieci, o różnych metodach antykoncepcji, o akceptowalnym współżyciu seksualnym „za zgodą obu stron", a powyżej dziewięciu lat – o radości masturbacji. Potem jest tylko gorzej. W programie dzieci informowane są np., że niektóre osoby mają pociąg do płci przeciwnej, inne zaś do tej samej. Wymowa materiałów edukacyjnych ukazuje seksualność wypreparowaną z kontekstu małżeństwa, rodziny, więzi i odpowiedzialności. Całość podana jest typowym, ideologicznym żargonem, z terminami: płeć kulturowa, orientacja seksualna itp.

Nadużycia seksualne, o które oskarżony jest promotor „Zdrovve love", wpisują się w serię podobnych przypadków. Apostołowie wyzwolenia seksualnego, jak Wilhelm Reich, Alfred Kinsey, pracownicy WHO dopuszczający się seryjnych gwałtów w Afryce czy polski seksuolog Andrzej Samson, okazywali się osobami głęboko zaburzonymi, których pasje zawodowe wynikały z osobistych, chorych motywacji. Ta sprawa to także kolejny sygnał, żeby z daleko idącą ostrożnością patrzeć na innych promotorów „zdrowia seksualnego", np. tych, którym dziś szefowa MEN powierza opracowanie programu edukacji zdrowotnej. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Odłóż telefon, jak wchłaniasz

Nowsza wersja Kazimierza Marcinkiewicza, Jacek Protasiewicz (lat 57), wytłumaczył nam wszystko. Stop. Otóż, jak publicznie napisał, w wieku 35 lat, kiedy brał ślub kościelny, był po prostu niedojrzały, dlatego teraz chce zgłosić się do Kościoła i unieważnić to małżeństwo, żeby mógł zawrzeć w Kościele nowe, gdyż oświadczył się swojej najświeższej kobiecie w kościele właśnie. Stop. Traf chciał, że kiedy niedojrzały Protasiewicz 22 lata temu brał ślub kościelny, rodziła się właśnie Daria Brzezicka (22 lata), która to oświadczyny pana Jacka – aktualnie bez zajęcia – przyjęła. Stop. Miłość przezwycięży wszystko, a młodym życzymy dalszego dostarczania nam radości. Stop.

Dzięki mediom społecznościowym poznaliśmy bliżej Grzegorza Janiczaka, członka Rady Krajowej Nowej Lewicy. Stop. Pan Grzegorz (32 lata) na portalu X publicznie podrywał 18-latka, który nie jest z kolei gejem, co się w dzisiejszej Polsce jeszcze zdarza. Stop. Rankiem, gdy podstępnie wróciła do pana Grzegorza trzeźwość, przeprosił za amory, zrzucając winę na alkohol, który mu się wchłonął poprzedniego dnia. Stop. Nie wiemy, co pija Lewica, wiemy natomiast „in vino veritas" i że weź odłóż telefon, jak wchłaniasz.

Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz ogłosił 15 marca, że Parlament Europejski to „cmentarzysko politycznych słoni", na które się nie wybiera, po czym 24 kwietnia ogłosił, że jednak będzie startował do Parlamentu Europejskiego. Stop. Albo Sienkiewicz strasznie przytył, albo kiepsko się czuje...

„Zakaz mowy nienawiści będzie stosowany tylko i wyłącznie w przypadkach najbardziej ohydnych" – stwierdził wiceminister sprawiedliwości Krzysztof Śmiszek, który też chce do Parlamentu Europejskiego. Odwieczne pytanie: „Kto pilnuje strażników?" przyjmuje dziś formę: „Kto zdecyduje o ohydzie, Śmiszek?". Stop.

Zdrada w obozie patriotycznym, po trzykroć zdrada! Stop. Patriotyczne OKO.press ujawniło, że z Ziobrowych pieniędzy z Funduszu Sprawiedliwości korzystał, a jakże, patriotyczny, chociaż niemiecko-szwajcarski Axel Springer, wydawca „Faktu" czy „Newsweeka". Stop. Że dostał 2 mln zł zgodnie z prawem, lecz jednak. Stop. Wtenczas odezwał się w obozie demokratycznym naczelny moralista, były naczelny „Newsweeka", niejaki Lis, pisząc: „Obywatele przez lata zastanawiali się, dlaczego przez lata musieli czytać i słuchać rzeczy od razu wydających im się wykwitem kłamstwa i bezczelności. Już wiedzą. Dlatego". Bezlitości internauci napisali temu Lisowi, że pieniądze do AS spływały także, kiedy był szefem „Newsweeka". Stop. Przykra sprawa... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

„Dwuznaczna sprawa"

Bardzo kontrowersyjnym pomysłem popisał się minister obrony narodowej Władysław Kosiniak-Kamysz. Rząd ukraiński zaostrzył ostatnio zasady poboru oraz wprowadził nową ustawę mobilizacyjną. Powodem tych decyzji są coraz większe trudności z pozyskaniem na Ukrainie kandydatów do wojska. W ramach nowych regulacji ukraińscy mężczyźni w wieku poborowym nie będą mieli dostępu do usług konsularnych, świadczonych przez placówki dyplomatyczne poza granicami kraju. Władze zamierzają jeszcze intensywniej poszukiwać przyszłych żołnierzy, uniemożliwiając im uchylanie się od poboru lub ucieczkę z kraju. Według oficjalnych danych tylko w granicznej rzece Cisa utonęło, od rozpoczęcia wojny, kilkudziesięciu uciekających do Rumunii mężczyzn.

Minister Kosiniak-Kamysz odniósł się do starań władz ukraińskich na antenie Polsat News. „Obywatele Ukrainy mają obowiązki wobec państwa. My już dawno sugerowaliśmy, że jesteśmy w stanie pomóc stronie ukraińskiej w tym, żeby ci, którzy są objęci obowiązkiem służby wojskowej, udali się na Ukrainę" – oświadczył w kategoryczny, nietypowy dla siebie sposób. Zapytany, czy władze zamierzają deportować przebywających u nas Ukraińców, Kosiniak-Kamysz odpowiedział enigmatycznie: „Wszystko jest możliwe". Po kilku dniach wypowiedzi swojego kolegi skomentował minister Radosław Sikorski. „Tutaj rzeczywiście inicjatywę musi wykazać Ukraina, bo dla nas to jest etycznie dwuznaczna sprawa. Chociaż oczywiście rozumiemy, że Ukraina potrzebuje swoich obrońców do obrony ojczyzny" – wyznał dręczony etycznymi dylematami minister.

Pomoc w „udaniu się na Ukrainę" dotyczyć miałaby zwykłych mężczyzn, którzy w Polsce uczą się lub uczciwie pracują, płacąc podatki i przyczyniając się do funkcjonowania naszej gospodarki. Często mają oni w Polsce rodziny i dzieci, na których edukację wydajemy z budżetu znaczące kwoty. W obliczu kryzysu demograficznego ich obecność w Polsce jest cenna i pożądana. Chętnym do powrotu na Ukrainę rządowa „pomoc" nie jest do niczego potrzebna, świadczona niechętnym miałaby z konieczności charakter przymusowy. Nawet młodzi Amerykanie, uciekający przed poborem w czasie wojny wietnamskiej, nie byli nigdy deportowani „do woja" z Kanady ani Meksyku. Działania takie byłyby niezmiernie szkodliwym, a przy tym widowiskowym bezprawiem. Trwale zatrułyby one relacje pomiędzy sąsiadującymi ze sobą narodami. Z wytęsknieniem czeka na nie propaganda każdego kraju, chcącego wbić klin pomiędzy społeczeństwa Polski i Ukrainy. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Bez steru

Ameryka jest krajem dla ludzi wewnątrzsterownych. Duże, zagospodarowane przestrzenie tego kraju są terenem, na którym widać aktywność ostatnich 10 pokoleń. W Stanach Zjednoczonych zwykły problem rodzi często skrajne decyzje. Aktywność przybiera niezwykłe rozmiary, takie jak wykorzystywanie niewolników, mobilizacja w czasie obu wojen światowych czy loty na Księżyc, a problemy z brakiem motywacji rodzą czasem zbiorowe samobójstwa lub szkolne morderstwa. Zagubienie młodego pokolenia jest zjawiskiem dość powszechnym w dzisiejszych społeczeństwach zachodnich. W Stanach Zjednoczonych z zagubienia tego wynikają czasem spektakularne tragedie.

Film „Rudderless" („Bez steru") jest opowieścią o przyczynach pewnej tragedii i samego zagubienia. Kiedy pracownik pewnej korporacji dowiaduje się, że jego syn nie przyszedł na spotkanie, bo w strzelaninie w jego szkole zginęło parę osób, przez dłuższy czas nie wiemy, co się właściwie stało. Matka odeszła w nowe małżeństwo i macierzyństwo, a ojciec uciekł od świata, żyje na jachcie i maluje domy. Odkrywa wprawdzie piosenki syna, ale pociągają go one przez depresyjne strofy. Zaczyna śpiewać te piosenki w miejscowym barze i inspiruje do tych występów młodych chłopaków żądnych sukcesu scenicznego. Kiedy dziewczyna syna wyjawia zespołowi, że jego ojciec wykorzystuje twórczość syna, dowiadujemy się w końcu, że sprawcą strzelaniny w szkole był właśnie syn. Przy tablicy upamiętniającej jej ofiary ojciec w końcu załamuje się nad losem swojego dziecka, również chyba nie do końca rozumiejąc, gdzie leżą przyczyny tragedii. Depresja syna nie wystarcza, by ojciec mógł ją pojąć, bo jemu samemu brakuje steru. Jego rozmowa z byłą żoną, której przekazuje nagrania syna, może wskazywać, że obojgu zabrakło troski o własne dziecko. Ale czy do końca to zrozumieli?

Powstaje pytanie, czym naprawdę jest tytułowy ster, którego brakowało bohaterom filmu: synowi, a także jego rodzicom. Tym sterem jest nie tylko aktywność jako taka. Ojcu wystarczała praca w firmie, synowi – pisanie piosenek. Ojciec wykonywał zresztą utwory syna nie tylko po to, żeby zrozumieć podłoże tragedii, lecz także by wyrazić własne nieszczęście. W obu przypadkach zabrakło poczucia sensu, a tym, co daje poczucie sensu, jest miłość rozumiana jako troska o dobro drugiego człowieka.

Brak sensu wynikający z braku miłości jest chorobą współczesnej cywilizacji zachodniej. Przypomina się nieszczęsna aktywistka aborcyjnego Dream Teamu, która z uśmiechem politowania wyjaśniała dyskutantom w TV Republika po poruszających filmie o dr. Bernardzie Natansonie, że ona sama jedynie pomaga zagubionym dziewczynom w rozwiązywaniu ich problemu z ciążą. Filmu chyba nie widziała, bo nic na to nie wskazywało. Na pytanie, czy nie czuje, że wspomaga zabijanie bezbronnych, małych ludzi, z równą dezynwolturą odparła, że zaraz łyknie tabletkę „dzień po", a sama dokonała kiedyś aborcji. To zaś, czego się pozbyła, to coś bezkształtnego. Sama nie pamięta oczywiście, że też kiedyś była czymś bezkształtnym, bo o tym lepiej nie pamiętać.

Spokój i uśmiech działają czasem gorzej niż emocje. Nazywanie ekipy, która wedle słów papieża Franciszka organizuje „zabójstwa na zlecenie", Dream Teamem jest szyderstwem z doskonałości. Asertywność przykrywa przerażający brak empatii. Dojrzały człowiek potrafi okazać minimum uczuć wobec innych. Jeśli nie potrafi, to musiał ich nie doznać w dzieciństwie.

Czy można zatrzymać ten łańcuch braku steru, braku sensu i miłości? Od cynicznego uśmiechu lepszy jest płacz ojca przy grobie ofiar swojego syna. Z tego płaczu może rodzić się nadzieja, z wyniosłych uśmiechów raczej nie. ©℗

Spokój i uśmiech działają czasem gorzej niż emocje. Nazywanie ekipy, która wedle słów papieża Franciszka organizuje „zabójstwa na zlecenie", Dream Teamem jest szyderstwem z doskonałości.
Asertywność przykrywa przerażający brak empatii. Dojrzały człowiek potrafi okazać minimum uczuć wobec innych. Jeśli nie potrafi, to musiał ich nie doznać w dzieciństwie

eprasa.pl 0ffd589c24

ŻABA I ŻETON

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dostaję dużo więcej zapytań o to, czy warto zamieszkać w USA. Jedni szukają ucieczki, bo są zmęczeni tym, co w Polsce, inni szukają bezpiecznego lokum, gdyż są przestraszeni sytuacją wojenną i ogólnym upadkiem cywilizacji i porządku w Unii Europejskiej. Zagrożenia rodzą myśli o emigracji. Dokąd wiać?

Moim zdaniem do USA nie warto – to nie jest bezpieczny azyl, choćby dlatego, że Ameryka będzie pierwszym celem ataku w wojnie mocarstw, gdyby do niej doszło. Więc jeśli ktoś szuka bezpieczeństwa, to niech szuka poza USA. Dziś to jest bardzo słaby kraj. Jego wielkość i moc to są nasze wspomnienia, a prawda jest taka, że albo Trump wygra i podniesie upadające mocarstwo, albo Ameryka będzie pokonana, a być może wprost zaatakowana przez Chiny. W tej sytuacji bezpieczniej chować się w Polsce.

Polska się nie liczy – jest słaba i nie stanowi celu. Jeżeli mocarstwa światowe są jak wilki, to Polska jest wobec nich jak żaba. Do kogo zaczną strzelać najpierw? Ja bym żabę zostawił na koniec. Do żaby nawet strzelać nie trzeba, wystarczy rozdeptać lub rozjechać. Wilki najpierw zajmą się sobą nawzajem.

***

Polska na arenie międzynarodowej nie liczy się wcale; w ogóle, nic a nic. Chciałbym, aby się liczyła. Mamy strategiczne położenie i moglibyśmy rozgrywać światowe mocarstwa na zasadzie podobnej, jak to robi Izrael. Ale… nie robimy tego. Zamiast stawiać warunki i wymagać, stale obiecujemy naszym „sojusznikom", że „spełnimy nasz obowiązek". A czym jest ten „obowiązek", definiują oni, a nie my. Polska nie stawia warunków, a jedynie spełnia warunki postawione przez innych. Tak samo, jak w czasach drugiej wojny światowej – my wypełnialiśmy nasze zobowiązania, a Brytyjczycy nas wykorzystywali jak naiwną dziwkę.

Hasło „Za wolność naszą i Waszą" jest szkodliwe dla Polski, bo to zawsze my walczymy za ich wolność, a nie przypominam sobie, by któryś z „sojuszników" walczył kiedykolwiek za wolność naszą. Oszukujemy się, że oni to zrobią, a oni tego nigdy nie robią. W Jałcie nas wystawili do wiatru i sprzedali Stalinowi. Polska była żetonem na stole, a nie podmiotem przy stole. Wcześniej, na początku wojny, nasi „sojusznicy" (byli nimi jedynie na papierze traktatów) nie wykonali swoich zobowiązań i oddali nas w ręce Hitlera – gdy we wrześniu 1939 r. Polska została zaatakowana, Francuzi i Brytyjczycy mogli zacząć strzelać Hitlerowi w nerki, ale woleli tego nie robić, bo „nikt nie chce ginąć za Polskę". Życie można oddać za siostrę, za brata, ale nie za samotny żeton na stole.

***

Polska jest żetonem w światowym kasynie – niewiele warta i nie decyduje o sobie samodzielnie. Żeton się rzuca na stół, bez pytania żetonu, czy on się na to zgadza. A skoro Polska jest krajem, którym kupczą mocarstwa, to jest jednocześnie bezpiecznym miejscem, by się tu ukryć przed wojną – tak uważam.

Ameryka będzie pierwszym celem ataku, np. Chin. Bo to konflikt i wojna o wpływy oraz panowanie nad światem. Teraz Chiny chcą panować. A kto im w tym przeszkadza? Ameryka im przeszkadza – dlatego Ameryka musi być głównym celem ataku. A skoro tak, to nie warto uciekać do Ameryki. Lepiej się ukryć w prowincjonalnej Polsce, którą oni sobie zostawią na sam koniec, lub po prostu wszystko przeleci górą, bo szkoda amunicji na prowincję bez znaczenia militarnego i gospodarczego.

***

Coraz więcej pytań o to, dokąd uciekać… To kto w takim razie będzie bronił Ojczyzny? Ludzie chcą wiać, a nie bronić. I ja ich rozumiem. Bo czy dzisiejsza Polska Kaczyńskiego i Tuska da się lubić? (O kochaniu nawet nie wspominam).

Aby ktokolwiek chciał bronić Polski własną piersią, własnym życiem, własnym majątkiem, musi ją najpierw kochać bardziej niż własne życie, własny majątek, dobrobyt, własną rodzinę… Ilu takich jest?

Nikomu niczego nie wytykam! Jestem obserwatorem, analizuję, jestem antropologiem kultury i wychodzi mi to, co wychodzi: Statystyczny Polak w obliczu ataku na Polskę spakuje rodzinę i zacznie wiać na Zachód, tak samo jak to zrobiły miliony Ukraińców. Czasy, gdy dla Ojczyzny poświęcało się WSZYSTKO, z karierą, majątkiem, wolnością i rodziną włącznie, dawno minęły.

***

Obserwacja:

Czy komuś w zeszłym tygodniu przeszkadzało komunistyczne święto 1 Maja? Święto stojące w OPOZYCJI do 3 Maja. 1 Maja to marksistowski internacjonalizm, rewolucja, która ma zlikwidować państwa narodowe – antyteza 3 Maja, czyli święta niepodległości, suwerenności, samostanowienia. I co? I jajco! Polaków interesowała „majówka", czyli tydzień bez roboty. Dodatkowy dzień wolny od pracy się liczył, a to, że w tym dniu świętowaliśmy zbrodnicze ideologie, jakoś nie przeszkadzało.

***

Majówka zbudowana z kilku kolejnych dni jest szkodliwa dla gospodarki, dla przedsiębiorców, którzy płacą pensje – w tym roku to było dziewięć dni przestoju. Gdyby zlikwidować dzień wolny 1 maja, przerwa w produkcji trwałaby tylko trzy dni. I tak miało być.

Gdy przywrócono dzień wolny od pracy na Trzech Króli, to miał być dzień za dzień: 6 stycznia w zamian za 1 maja. To miał być znak powrotu do niepodległości po czasach komunistycznych.

A jak jest? Polska świętuje zaprzeczenie własnej niepodległości, a dwa dni potem wspomina Konstytucję 3 maja. Czego chcesz, Polaku? Likwidacji twojego kraju czy niepodległej RP? Polacy chcą jednego i drugiego – być w Unii (likwidacja suwerenności), a jednocześnie, gdy ich zapytać o suwerenność, to tego też chcą. Jedno w połączeniu z drugim ma tyle sensu, co gorący chłodnik. ©℗

eprasa.pl 0ffd589c24

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

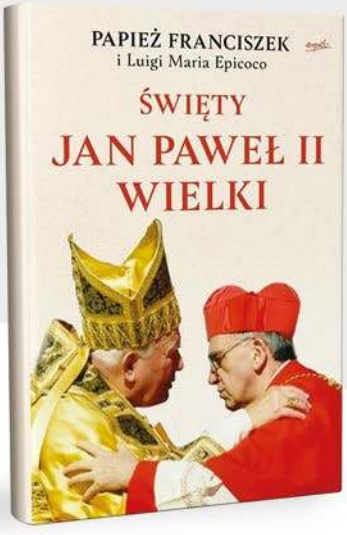

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

PAPIEŻ FRANCISZEK I KS. LUIGI MARIA EPICOCO:
„ŚWIĘTY JAN PAWEŁ II WIELKI"
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

489 ZŁ

234,00 ZŁ
OSZCZĘDNOŚĆ 255 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 0ffd589c24

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH

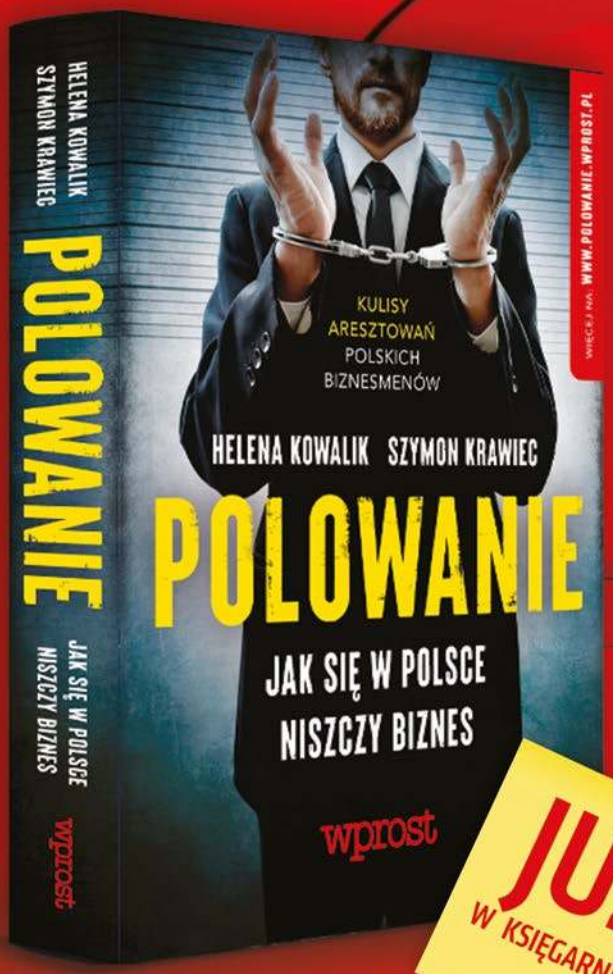

KULISY GŁOŚNYCH SPRAW I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE RELACJE

ROZMOWY Z EKSPERTAMI I LUDŹMI Z WYMIARU SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD 500 NAZWISK I FIRM

AUTORAMI SĄ DOŚWIADCZENI DZIENNIKARZE ŚLEDCZY

JUŻ W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.

Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt +48 539 953 631 , +48 508 040 664

PARTNERZY:

Polska Rada Biznesu · ZPP · WEI · Fundacja Court Watch Polska · Fundacja Pomyśl o przyszłości · Comparic.pl · My Company Polska · Towarzystwa Biznesowe · BRIEF

eprasa.pl 0ffd589c24